

mp3

Książki Audio

Edmund Niziurski

**Wiesz,
Istotna rzecz!**



Edmund Niziurski

Adelo, zrozum mnie!

Spis treści

•

Rozdział I – NIESPODZIEWANY EPILOG MECZU

•

Rozdział II – WAŻ ESKULAPA

•

Rozdział III – GORSZĄCE SCENY W AMBULANSIE

•

Rozdział IV – JEDZIEMY DO SZPITALA

•

Rozdział V – ADELA PO RAZ PIERWSZY

•

Rozdział VI – BOMBA NA ULICY BOLEŚĆ

•

Rozdział VII – ZYZIO WCHODZI NA ORBITĘ

•

Rozdział VIII – ZYZIO — PACJENT NIELEGALNY

•

Rozdział IX – AWANTURY SZPITALNE

•

Rozdział X – NIEPOKOJĄCY ROZWÓJ WYPADKÓW

•

Rozdział XI – TO JUŻ ZUPEŁNA HECA

•

Rozdział XII – TAJEMNICZA SPRAWA ADELI

•

Rozdział XIII – MÓJ ŚWIAT STAJE NA GŁOWIE

•

Rozdział XIV – ZAPRZYJAŻNIJMY SIĘ NA TYDZIEŃ

•

Rozdział XV – ADELA — PRZEDE WSZYSTKIM

•

Rozdział XVI – OSKARŻENIE

•

Rozdział XVII – STRASZNA PRZYGODA MATYLDY

•

Rozdział XVIII – W MAKULLI, CZYLI W JASKINI LWA

•

Rozdział XIX – OCEAN SMUTKU, CZYLI TAKIE JEST ŻYCIE

•

EPILOG

Rozdział I

NIESPODZIEWANY EPILOG MECZU

Pierwsze krople deszczu spadły na rozpalony stadion, ale nikt z podnieconej widowni nawet nie zauważył tego. Na boisku kończył się bowiem mecz między naszym Orionem a Siarką z Tarnobrzega, w ramach rozgrywek o Puchar Trzech Wojewodów. Był to mecz ostatni i decydujący. Musieliśmy go wygrać. Rzecz wydawała się prosta, a puchar — blisko, w zasięgu ręki, a ściślej mówiąc — nogi. Wprawdzie Siarce wystarczyło tylko remis, ale przecież graliśmy na własnym boisku. Atut własnego boiska — to zawsze się liczy. Piłka nie może oprzeć się temu rykowi tłumu łaknącego zwycięstwa, tym myśłom hipnotyzerskim (dwadzieścia tysięcy hipnotyzerów na trybunach), piłka musi bezwzględnie wpaść do siatki. A jednak...

Z troską spojrziałem na zegarek. Na dziewięć minut przed końcem stan był bezbramkowy. Słońce schowało się na dobre za brunatnymi chmurami. Deszcz padał już regularnie. Grzmiało całkiem niedaleko. I nagle poczułem, że jest potwornie zimno. Uświadomił mi to pierwszy podmuch wiatru.

— Chodź już — powiedziałem do Kwękacza, który stał najbliżej. — Tu się już nic nie zmieni. Orion nie wygra tego meczu, a po ostatnim gwizdku na pewno zaczną się hece i nie dociśniemy się do wyjścia. Szturchnij Zyzia, że idę...

— Zaczekaj — Kwękacz oblizwał spieczone wargi — właśnie coś się zaczyna...

Ale ja nie słuchałem, bo do naszych miejsc przepchała się zdyszana

Matylda Opat, fotoreporter naszej gazety i moja największa sympatia.

— Strasznie się spóźniłam — poprawiła nerwowo okulary, które

wciąż zjeżdżały jej ze spoconego nosa — ale nie mogłam wcześniej. W

zakładzie

piekło.

Mieliśmy

zatrzymany

pogrzeb.

Z

powodu

Furmankiewicza. Coś z jego ciałem było nie w porządku. Zarządzono sekcję zwłok i trzeba było czekać. A potem wszystko na hurra. Musiałam pomagać rodzicom, bo trzech pracowników choruje. Podobno żółtaczka... Jaki wynik?

— *Zero zero, jak dotąd.*

— *Cicho, potem będziecie paplać — zgasił nas podniecony Kwękacz.*

— *Patrzcie, Krystek przy piłce. Podaje Wielbutowi...*

Spojrzałem. Nowa nadzieja wstąpiła we mnie, bo rzeczywiście as naszego zespołu, dwumetrowy Wielbut, był przy piłce. Utrzymał się, przedarł lewą stroną... Czy będzie strzelał? Tak! Czy zdąży? Już podbiega tam obrońca Siarki, znany z brutalnych zagrań, niejaki Mamoń, nazywają go Złośliwym, ponieważ podczas gry boleśnie kopie przeciwnika w kostkę. Wyćwiczył się w tym doskonale i robi to zwykle tak sprawnie, że sędzia nie jest w stanie niczego zauważyć. Czy Wielbut da sobie z nim radę? Niestety... Wielbut już leży na ziemi jak długi! Pośliznął się na mokrej trawie, czy też Złośliwy Mamoń zdążył go już sfaulować? Publiczność nie ma wątpliwości — to sprawka Złośliwego Mamonia. Gwizdy! Ryk na trybunach. Wielbut wije się z bólu. Wszyscy wstają z miejsc. Krzyczą: faul! Czy będzie rzut wolny? Nie. Sędzia Ballaban nie dopatrzył się wykroczenia, każe grać dalej. Wielbut wciąż wije się na trawie, ale bezskutecznie. Sędzia Ballaban nie zmienia

decyzji. Wielbut wije się dalej, wreszcie łapie przebiegającego sędziego za nogę. W paroksyzmie bólu? Z powodu rozkojarzonej świadomości? Czy też umyślnie? Któż to stwierdzi! Sędzia przewraca się. Wielbut jest na wysokości zadania. Przytomnieje, przestaje się wić, zrywa się z ziemi i podnosi sędziego. Mimo to sędzia ma do niego pretensje, co bardzo nie podoba się publiczności. Sędzia jest zupełnie nieznosny. Ośmiela się pouczać znakomitego Wielbuta, grozić mu palcem. Doprawdy, wszyscy podziwiają cierpliwość Wielbuta, który stoi spokojnie przed sędzią — wielkie, niezdarne chłopisko — i wysłuchuje tych impertynencji.

Wreszcie, zachęcony przez publiczność, nabiera odwagi i przystępuje do polemiki. A sędzia nie chce z nim dyskutować, mimo że Wielbut jest w formie polemicznej. Naprawdę szkoda, dobra dyskusja na wielkim stadionie jest bardzo widowiskowa i chyba więcej warta niż głupie kopanie piłki. Dlatego rozczarowana publiczność wyje. Wielbut jest dalej w formie polemicznej. Bierze sędziego za rękę. Zapewne proponuje mu, aby razem poszli do Złośliwego Mamonia i wręczyli mu żółtą kartkę. Jednocześnie demonstruje na nodze sędziego, jak Mamoń złośliwie go kopnął, ale sędzia jest zupełnie nieobiektywny i zamiast Mamoniowi wręcza żółtą kartkę Wielbutowi. Wielbut nie chce jej przyjąć, dziękuje, wobec tego sędzia proponuje mu czerwoną kartkę. Kolor zdecydowanie nie podoba się Wielbutowi, wobec tego sędzia równie zdecydowanie wzywa milicjantów. Wyprowadzają Wielbuta. Sytuacja staje się groźna. Najlepszy gracz Oriona usunięty z boiska! Cała nadzieja teraz już tylko w Krystianie Kwękaczu, zwanym Bombą.

Zastygliśmy z wrażenia. A najbardziej Maciek Kwękacz. Bo ten Bomba to jego brat, nie rodzony wprawdzie, tylko stryjeczny, ale zawsze... Maciek uwielbia go i podziwia najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie. To prawda, że Krystian jest przeraźliwie skuteczny. Jego strzały są nie do obrony. Z wyglądu niepozorny, mały, przysadzisty, ale piekielnie niebezpieczny. To istny kłębek zgęszczonej energii, który potrafi eksplodować w najtrudniejszych momentach meczu i zmienić niekorzystny wynik. Chyba dlatego nazywają go Bombą. Jeśli teraz mu się uda, to będzie jego największy sukces. Zostanie człowiekiem numer jeden naszego miasta. Oczywiście część chwały spadnie także na Maćka, a przez Maćka na nas. Załatwi nam uzyskanie wywiadu dla naszej gazety. Taki wywiad z najslawniejszym człowiekiem miasta ostatecznie ugruntuje naszą przewagę nad Defonsiakami ze szkoły Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego i pogiębi ich organ prasowy oraz Grubego Cypka, który stoi na czele tego organu. Pogiębienie Grubego Cypka było głównym, acz nieoficjalnym celem naszej działalności od czasu, gdy udało mu się zdobyć względy Adeli.

Dlatego, mimo że drętwiałem stopniowo od chłodu, wpatrywałem się z rozpaczliwą nadzieją w boisko, a wraz ze mną wpatrywało się dwadzieścia tysięcy rozdrażnionych widzów. I oto szczęście jest blisko. Nowy atak Oriona sunie na bramkę Siarki. Bomba biegnie lewą stroną. Zajmuje dogodną pozycję. Czeką teraz na mądre podanie. Jest świetnie ustawiony, dziesięć, a może nawet osiem metrów od bramki Siarki. To mu daje wielką szansę! Żeby tylko środkowy napastnik, Szczurek, się

zorientował. Właśnie jest przy piłce... Atakuje go dwu obrońców Siarki. Co robi Szczurek? Będzie próbował się przedrzeć, czy poda piłkę Kwękaczowi? Na szczęście jest to wytrawny gracz i od razu trafnie ocenił sytuację. Bez namysłu podaje piłkę Kwękaczowi. Kwękacz już jest przy piłce. Publiczność zamiera z wrażenia. Czterdzieści tysięcy oczu wpatruje się teraz w prawą nogę Krystiana Kwękacza. Nie jest to piękna noga — krótka, gruba, muskularna, ale jest to sławna noga, której Odrzywoły zawdzięczają co tydzień wiele emocji, a od czasu do czasu nawet chwile triumfu na ogólnopolską skalę. Humor i dobre samopoczucie naszego miasta zależą od tej nogi. Nic więc dziwnego, że pan Łukasz Obara, jeden z trzech artystów mieszkających w naszym mieście, wyrzeźbił i odlał w brązie tę nogę, w dynamicznej pozycji, gdy gotuje się do wielkiego kopniaka, groźną, sprężoną w sobie. Noga ta zdobyła drugą nagrodę w konkursie na rzeźbę sportową i obecnie zdobi westybul tegoż muzeum. Teraz też od tej nogi zawisło wszystko, dlatego cały stadion patrzy na tę nogę... Kwękacz przymierza się precyzyjnie... Drżymy. Żeby tylko piłka nie zeszła mu z buta... Strzela! Bezbledny, piękny strzał! Alojzy Cumel, bramkarz gości, truchleje w bramce. Przed takim strzałem nie ma obrony! Ale co to? Dzieje się rzecz niepojęta. Piłka o centymetry mija bramkę. Przez tłum przebiega głuchy jęk, jak ostatnie westchnienie śmiertelnie ranionego olbrzyma. Zmarnowana taka szansa! Słyszać przeraźliwe gwizdy. To gwizdże wiatr i gwizdzą trybuny. Kwękacz Bomba stoi wciąż jeszcze w tym samym miejscu, oszołomiony, jakby zupełnie nie rozumiał, dlaczego

chybił. Nie wygląda już na bohatera. Wiatr wydyma mu koszulkę i spodenki. Teraz wszyscy widzą, że Kwękacz Bomba jest mały, śmieszny i pękaty jak baleron. On sam z tego zdaje sobie sprawę. Zwyczajem wszystkich Kwękaczy kręci zabawnie głową. Widać teraz, jaka jest duża i ciężka. Chwieje się raz na tę stronę, raz na drugą, trudno Kwękaczowi utrzymać ją prosto na karku. Czy z taką głową można skutecznie biegać po boisku? Bardzo wątpliwe. Dlatego Kwękacz stoi taki speszony i nieszczęśliwy. Zawiedziona publiczność nie kocha już Kwękacza, miota na niego obelgi, znieważa jego zasłużoną nogę.

— Baleron! Zejdź z trawy!

— Z taką nogą pod kościół!

— Baleron, kup sobie nową protezę!

— Precz z Baleronem!

— Do jatki z nim!

I już wiadomo, że odtąd Krystian Kwękacz będzie się zwać

Baleronem.

— Twój brat to fajans — powiedział do Maćka Zyzio. — Zawalić taką szansę! Ślepy by strzelił! Drewnianą nogą! Inwalida napoleoński!

— To wiatr... — wykrztusił Maciek z oczami pełnymi łez. — Dlaczego oni tego nie rozumieją?! Czuliście chyba... akurat był poryw wiatru... zniósł piłkę w lewo... zmieniła tor...

— Tere fere — skrzywił się Zyzio zapinając rozchełstaną koszulkę. —

Dobry piłkarz przewiduje wszystko, nawet wiatr! Twój brat się skończył

— dodał bezlitośnie.

— *Co powiedziałaś?!*

— *Skończył się — powtórzył Zyzio z wyraźną satysfakcją.*

— *Zbyt był nerwowy — wtrącił Kleksik dygocząc z zimna. — Mógł przeczekać tę sekundę, aż wiatr ścichnie...*

— *Tak, mógł przeczekać, mógł przeczekać! — złościł się Maciek. — Spróbujcie sami! Każdy jest mądry na trybunie...*

— *I co z tego? To nieszkodliwe — powiedział Zyzio. — Trybuny mogą być pełne głupców, byle nie pchali się na boisko i na afisz. A twój brat jest na afiszu i na boisku, no to możemy wymagać, nie?*

— *Więc uważasz, że on...*

— *Uważam, że jest fajansboj, konus i noga!*

Maciek posiniał, napęczniał z gniewu, zrobił się całkiem podobny do swego brata Balerona, chciał rzucić się na Zyzia, ale nagle oklapł jak przekłuty balon. Łzy zaczęły mu kapać z oczu.

— *Dajcie mu spokój — powiedziałem. — Gra to jest gra, każdemu się może zdarzyć słabszy dzień, ale to nie powód, żeby bluzgać na gracza. Krystian Kwękacz miał po prostu słabszy dzień...*

— *Nie! On jest dobry — zaprotestował przez łzy Maciek — on jest zawsze dobry... To wy... to wy go nie lubicie... Nigdy go nie lubiliście... żadnego z nas... ani mnie, ani Krystka!*

— *Co ty znowu... — próbowałem rozładować sytuację — nie wmawiaj nam takich rzeczy.*

— *Nie chcę was znać! — krzyczał Kwękacz.*

— *No, stary, tylko nie bluzgaj!*

Ale Maciek bluzgał dalej, a potem zerwał się z ławki i jak szalony zbiegł z trybuny roztrzając po drodze ludzi.

— Obraził się — mruknąłem.

— Szajba mu odbiła — pociągnął nosem Kleksik.

— Jutro się przeprosi — powiedział Zyzio. — Zresztą, mówiąc szczerze, miałem go dawno dosyć. On nie pasuje do nas...

Tymczasem sędzia, przy stanie 0:0, odgwizdał koniec meczu. Nie uspokoiło to jednak rozsierdzonej widowni. Dopiero teraz wybuchł prawdziwy tumult. Na boisko posypały się butelki i kawałki drewna, zapewne z połamanych ławek. Patrzyłem na to ze zgrozą pomieszaną ze wstydem! Okropna jest w naszym mieście publiczność. Zawsze przesadza w jakąś stronę. Wczoraj w tym uwielbieniu dla Kwękaczowej nogi, dziś w złości!

Bardzo możliwe, że doszłoby do bójki i rozruchów, tak jak na prawdziwych angielskich meczach, na szczęście kochane niebo odrzywolskie podjęło skuteczną interwencję. Oto bowiem trzasnął piorun, gdzieś zupełnie blisko, chyba za środkową trybuną, a potem rozpoczęła się regularna ulewa. To ostudziło nieco temperament kibiców. Korzystając z chwilowego zamieszania, pod osłoną zimnej ściany deszczu, sędzia i zawodnicy pośpiesznie opuścili boisko i chyłkiem przemknęli do szatni.

— Idziemy — powiedział Zyzio Gnacki.

— Poczekajmy trochę, aż przestanie... — szczęknął zębami Kleksik.

— Jak

będziemy

czekać,

zmarzniemy

jeszcze

bardziej

—

powiedziałem.

To fakt, że byliśmy zupełnie nie przygotowani na taką zmianę pogody. Kiedy o trzeciej szliśmy na ten mecz, było dwadzieścia osiem stopni w cieniu i pięć chmurek na niebie. Nic dziwnego więc, że nie wzięliśmy z sobą żadnych swetrów ani wiatrówek czy kurtek, nie mówiąc już o płaszczach.

— *Szybki bieg nas rozgrzeje — dodałem.*

— *Ja i tak muszę już iść — oświadczył Zyzio. — Przyrzekłem*

Agnieszce, że będę punktualnie o szóstej w domu.

— *Odkąd to słuchasz się swojej siostry — zdziwił się Kleksik. —*

Zawsze mówiłeś, że ona jest okropna.

— *Odkąd postanowiliśmy wspólnie upiec ciasto.*

— *Upiec ciasto? Ty?*

— *To ma być niespodzianka na jutrzejsze imieniny mamy —*

zamruczał Gnat. — Cały kłopot w tym, że dziś oboje byliśmy zajęci.

Agnieszka miała zbiórkę, a ja mecz. No więc postanowiliśmy, że ona wsadzi ciasto do pieca przed zbiórką, o czwartej, a ja wyjmę je z pieca po meczu, o szóstej...

— *W postaci pachnącego węgielka?*

— *W postaci wonnego smakołyku — rzekł ponuro Zyzio. — Dlatego muszę się śpieszyć. Mecz się przeciągnął trochę — spojrzał niespokojnie na zegarek.*

Argument ciasta w piecu przeważył i spiesznie we trzech opuściliśmy stadion.

Kleksik, jak się okazało, ma najbardziej troskliwą opiekę domową. Ledwie bowiem przekroczył bramę, doskoczyła do niego zakapturzona postać z wielkim czarnym parasolem, w której rozpoznaliśmy jego znakomitą ciotkę Eulalię.

— *No, teraz na pewno dostaniesz od ojca... Nie dość, że uciekasz z domu na takie obrzydliwe imprezy, to jeszcze w samej koszulce! Ty, ze swoim bronchitem! Wkładaj to natychmiast — i naciągnęła Kleksikowi na głowę gruby sweter.*

Pomachaliśmy mu rękami, niby to ze współczuciem, ale w gruncie rzeczy z zazdrością, i kuląc się z zimna, przemoknięci do suchej nitki popędziliśmy przed siebie. Do domu mieliśmy jeszcze co najmniej dziesięć minut drogi.

Byle do przystanku. W autobusie będzie już cieplej. Niestety, mieliśmy pecha. Kiedy zziajani dobiegliśmy do przystanku, autobus odjeżdżał właśnie, zresztą przepelniony niesamowicie. O dostaniu się do następnego też trudno marzyć. Na przystanku całe tłumy ludzi, jak zwykle, kiedy kończy się mecz. Rozglądaliśmy się bezradnie. Może jakaś okazja? Niekiedy kierowcy brali stąd na łebka, więc ruszyliśmy na

skrzyżowanie. Raptem, z piskiem hamulców i opon na mokrej jezdni, zatrzymał się koło nas zielony fiat. Z okna wychyliła się głowa szpakowatego kudłacza w wielkich przydymionych okularach.

— Gdzie tu szpital? — zachrypiał. — Mam w wozie dwu rannych chłopców...

— Rannych?

— Była kraksa na Drugich Krzyżówkach. Udzieliłem im pierwszej pomocy, ale muszę zaraz do szpitala, bo jeszcze wykitują mi w wozie...

— Szpital? — powtórzyłem podniecony. — Szpital jest na Tarnobrzeskiej... Musi pan najpierw Aleją Kusocińskiego prosto, a potem w czwartą przecznicę w prawo, to znaczy w ulicę Kościuszki, a potem w lewo Wróblewskiego, i znowu w lewo, zaraz za rondem, a potem w prawo na Hirszfelda i na ulicę Baonów a stamtąd już będzie prosto...

— Ja to mam wszystko spamiętać? — zdenerwował się kierowca. — Może jest jakiś bliższy szpital?

— Nie, nie ma.

— Ja panu pokażę drogę — zaofiarował się nagle Zyzio.

— Nie chciałbym cię fatygować...

— Mieszkam w tamtej stronie.

— No to wsiadaj! Tylko ostrożnie... — kierowca otworzył drzwi.

Zyzio wsunął się szybko. Wóz odjechał.

Niemal w tej samej chwili usłyszałem za plecami klakson.

Obróciłem się. Podjeżdżał do mnie fiat koloru niedojrzałej cytryny,

ostatni model, z bocznymi listwami, jak zdążyłem zauważyć. Z okna wychylił się czarny kudłacz w takich samych przydymionych wielkich okularach.

— Gdzie jest szpital? — wybelkotał, jakby w ustach miał gorące kartofle.

— Pan z tej kraksy? — zapytałem.

— Już wiesz?

— Przed chwilą jechał jeden... z dziećmi.

— Ja też wiozę dwu szczeniaków w bandażach. Boję się, że mają uraz czaszki, belkoczą coś od rzeczy. Gdzie ten szpital?

— Nie wiem, czy pan tam trafi, droga dosyć skomplikowana, ale mógłbym... — zawahałem się.

— Mógłbyś zabrać się z nami i pokazać? — podchwycił łapczywie kierowca.

— Tak... tylko że ja...

— Nie bój się, jeśli ci nie po drodze, ja cię odwiozę z powrotem, odstawię do samego domu — rzekł pośpiesznie kierowca. — Wsiadaj.

Nie namyślałem się dłużej. Chciałem wpakować się na przednie siedzenie, ale powstrzymał mnie.

— Tutaj siedzi mój syn. Nie widzisz?

Rzeczywiście, ktoś siedział na przednim siedzeniu.

— Pakuj się na tylne... i jeśli jesteś tak łaskaw, to siądź pośrodku, między tymi dwoma z wypadku...

— Dlaczego?

— *Będziesz ich trzymał. Oni mają jakieś zaburzenia...*

— *Jeśli pan uważa, że mogę pomóc im...*

— *Tak uważam — powiedział kierowca otwierając tylne, drzwi wozu.*

*Wsunąłem się do środka. W półmroku zamajaczyły jakieś postacie z obandażowanymi głowami. Słysząc było bezładną mowę i jęki. Jak mogłem najostrożniej, ulokowałem się między ofiarami wypadku. Od razu ten chłopak po prawej stronie chwycił mnie kurczowo za rękę i wybełkotał: *mamo...* Patrzyłem na niego z niepokojem. Rzeczywiście miał zaburzenia. Zastanawiałem się, czy go znam... Nie, z pewnością nie chodził do naszej szkoły, zapewne jakiś Defonsiak. Może go nawet znam z widzenia, ale trudno zidentyfikować. Całą twarz miał w bandażach, tylko ta ręka... Tak, to była na pewno ręka ucznia, dość niechlujnego zresztą, długie, brudne paznokcie i plamy od długopisu na palcach.*

— *Zmokłeś — powiedział kierowca przyglądając mi się uważnie. — Wracasz pewno z meczu. Zmarzłeś?*

— *Trochę.*

— *Przeziębisz się — powiedział z troską. — Mam tu na wierzchu sweter syna. Włóż go.*

— *Nie warto, wytrzymam jakoś — odparłem.*

— *To jednak może potrwać, zanim ulokujemy tych biedaków — kierowca wyciągnął wielki wełniany sweter, golf w białe i czarne pasy.*

— *Trzymaj!*

Nie zdołałem się oprzeć pokusie. Byłem przemoczony do suchej nitki

i skostniały. Pomyślałem, jak przyjemnie byłoby wtulić się w taki puszysty, ciepłutki sweter.

— Pomogę ci — powiedział kierowca i szturchnął syna — Andrzej, pomóż koledze, no, nie śpij. — Po czym obrócił się do mnie:

— Niewygodnie tu jest się przebierać, bo ciasno, ale pomożemy ci — to mówiąc do spółki z zaspanym synalem nadstawił i rozciągnął sweter tak, bym mógł łatwo się wsunąć.

— No, jazda, najpierw pakuj tę biedną łepetynę!

Wsadziłem pośpiesznie głowę, ale nie mogłem jej przepchać.

Uwięzła gdzieś w połowie golfa. Chciałem pomóc sobie rękami, lecz nagle stwierdziłem przerażony, że nie mogę wykonać nimi żadnego ruchu. Coś przycisnęło je mocno do mojego tułowia. Zdjęły mnie

najgorsze przeczucia. Strach ścisnął za gardło. Czyżbym był związany?!

Chciałem się zerwać z miejsca... Nadaremnie. Czyjeś ręce trzymały mnie mocno. Koło mnie działo się coś niedobrego. Słyszałem zdławione

szepty, sapanie i szelesty. Raz po raz dotykano mnie, coś przesuwano się przez moje plecy i piersi, coraz trudniej było oddychać. Zakładają mi

więzy, obwiązują sznurem — pomyślałem. Zebrałem wszystkie siły, zacząłem rzucać się jak ryba w sieci, próbowałem także krzyczeć, ale

zakrztusiłem się od razu, bo wełna dostała mi się do gardła, miałem jej pełne usta. Czuję, że się duszę.

— Co ty wyrabiasz? — usłyszałem głos kierowcy — po co te nerwy, spokojnie, zaraz wszystko będzie dobrze. Obciągnijcie mu sweter.

No, nareszcie, czyjeś ręce szarpnęły sweter u dołu i moja głowa

wydobyła się z duszących fałdów na powietrze. Patrzyłem oszołomiony. Byłem skrępowany rękawami swetra, opasywały mnie ciasno na krzyż, ich końce związane z tyłu. Rzekomi „chłopcy z wypadku”, wciąż jeszcze z głowami w bandażach, trzymali mnie mocno za ramiona. Trzeci chłopak, ów „synal kierowcy”, klęczał na opuszczonym oparciu przedniego fotela i flegmatycznie okręcał mnie, jak mumię, bandażem. Zaczerpnąłem tchu i zdjęty śmiertelnym strachem, wydałem okrzyk grozy. Ale niemal w tej samej chwili bandaż zacisnął mi się ciasno wokół ust.

I wtedy nie miałem już żadnej wątpliwości. To było zupełnie nieprawdopodobne, to było nie do uwierzenia, jednak... A jednak musiałem w to uwierzyć. Zostałem porwany.

Rozdział II

WAŻ ESKULAPA [\[top\]](#)

Przestałem szarpać się w więzach. To nie miało sensu. Zresztą opuściły mnie siły. Zapewne nie byłem tego dnia w najlepszej kondycji. Czuję, jak zamieniam się w kawał bezwładnego drewna. Nie dlatego, że zmokłem i chłód przenikał mnie do szpiku kości — po prostu drętwiałem ze strachu. Dokąd mnie wiozą? Co zrobią ze mną? Z pewnością można się spodziewać wszystkiego najgorszego. To lotry bez skrupułów! Tak mnie podstępnie związać i zakneblować! Najbardziej oburzał mnie ten knebel!

Oprawcy! Gdybym miał katar, udusiłbym się przecież. Czy o tym nie pomyśleli? A może im nie zależy na moim życiu? Nie, to zbyt

pesymistyczne przypuszczenie. Cóż by im przyszło z mojej śmierci? Z pewnością porwano mnie, aby wymusić okup. To najczęstszy powód porwania. Do licha, ale dlaczego akurat mnie? Wszyscy wiedzą, że moi rodzice są raczej biedni. Ile mogliby zapłacić za mnie? Nie wiem, czy stać by ich było na sto tysięcy, nawet gdyby sprzedali wszystko, co mają, łącznie z obrączkami małżeńskimi i dwoma pierścionkami mamy, łącznie z telewizorem i lodówką. Nie posiadamy przecież samochodu ani większej sumy na książeczkę oszczędnościowej w PKO, po prostu grosze... A może jednak zebraloby się sto tysięcy? Może nawet sto dziesięć? Gdyby ojciec sprzedał wszystkie medyczne książki i instrumenty... Sto dziesięć — stropiłem się. To już coś znaczy — pomyślałem przygnębiony. Dla znacznie mniejszych sum zabijano ludzi. Tak, to wcale niewykluczone, że zostałem porwany dla okupu, ale nie wolno mi tracić nadziei. Jeszcze dużo może się zdarzyć. Może zatrzymać ich milicja drogowa za przekroczenie szybkości... albo mogą wpaść w poślizg... albo skończy im się benzyna i będą musieli podjechać na stację... To wszystko daje mi szansę. Byle tylko mieć oczy otwarte na wszystko i nie przegapić okazji. Ostatecznie, taki człowiek w bandażach, jak ja, musi zwracać na siebie uwagę ludzi, a w dodatku człowiek o zabandażowanych ustach.

Swoją drogą ciekawe, czemu nie zawiązali mi także oczu.

Porywacze zwykle zawiązują ofierze oczy, aby nie mogła się zorientować, którędy i dokąd jest wieziona. Moi prześladowcy są widocznie zbyt pewni siebie. Widać to zresztą po ich jeździe. Wcale nie

śpieszą się, nie okazują żadnej nerwowości. Samochód sunie po mokrej jezdni raczej ostrożnie, nie wyprzedza nikogo, respektuje wszystkie przepisy drogowe. Mogę spokojnie śledzić trasę. Jedziemy na razie w kierunku szpitala. Czyżby jednak wmieszana w to była służba zdrowia? Nie! Mijamy szpital! Skracamy w Aleje Krasnopolskie. Co to?!

Ostupiałem z wrażenia. Co to ma znaczyć, do jasnej Andromedy!

Wjeżdżamy w bramę dobrze mi znanego uczyliszcza... na dziedziniec szkoły Galczyńskiego! Ogarnęły mnie najgorsze przeczucia. Tak, muszę być przygotowany na najgorsze. Tego się zupełnie nie spodziewałem!

Jestem na terenie Defonsiarni!

Z przedniego siedzenia rozległ się przykry rechot. To śmiał się ów gruby kierowca. Odpowiedział mu chichot tych szczeniaków, którzy mnie trzymali.

— Demontujemy gęby, panowie — rzekł kierowca, po czym ściągnął ze swojej twarzy wspaniałą czarną brodę oraz wąsy, zdjął okulary, a na końcu z wyraźną ulgą zerwał z głowy kudłatą perukę.

Za jego przykładem wszyscy okularnicy znajdujący się w wozie zdjęli okulary, a ci dwaj, którzy mnie przedtem trzymali, zaczęli sobie spiesznie odwijać bandaże oraz odklejać z policzków sztuczne pryszcze i blizny, a następnie ułożyli je starannie w specjalnym pudełku. Potem ten chłopak, który siedział z przodu, włożył pudełko razem z bandażami, okularami oraz sztucznym uwłosieniem kierowcy do plastikowego worka i rzucił pod siedzenie.

Patrzyłem na to wszystko ostupiały. Twarz kierowcy wydawała mi

się teraz zupełnie znajoma. Ależ tak! Nie mogłem się mylić. To Gruby Cypek z wrogiej nam szkoły nr 2, wódz obrzydłych Defonsiaków, przerośnięty łobuz z ósmej B.

W tym momencie przestałem się bać o życie, natomiast poczułem wstyd, bezsilną złość i upokorzenie, a to było bodaj jeszcze gorsze. Tak dać się podejść i zrobić w konia! Ale kto by pomyślał?! Nigdy nie widziałem Cypka przy kierownicy w samochodzie! I ta charakteryzacja!
— Ty draniu! — wykrztusiłem, zapominając ze wzburzenia, że wciąż mam zakneblowane usta!

Gruby Cypek, zdaje się, zrozumiał jednak dokładnie, co miałem mu do powiedzenia, bo poklepał mnie po łopatkach i powiedział:
— Niepotrzebnie się wściekasz i bulgoczesz, Okist. Uspokój się. Nie mam złych zamiarów. Uspokój się i posłuchaj. Zaraz rozwiążę ci usta i myślę, że się zachowasz kulturalnie, nie będziesz rozrabiał i wrzeszczał. Sensacja i rozgłos niepotrzebne są ani nam, ani tobie. Zastanów się tylko, czy chcesz, żeby cała szkoła wiedziała, że dałeś się nabrać i złapać jak dziecko? Co ja mówię: szkoła... całe miasto! Całe miasto śmiałoby się z ciebie, że zostałeś porwany najprostszym, klasycznym sposobem, tak prostym, że aż głupim, i związany jak prosię albo raczej baleron... No, czy chciałbyś?

Nie, do licha, nie miałem najmniejszej ochoty. Jedyнным moim marzeniem teraz było, żeby się nikt nie dowiedział. Taka kompromitacja, taki wstyd! Gdyby jutro się dowiedzieli w szkole, że dałem się Cypkowi tak łatwo wystrychnąć na dudka, byłbym

skończony, pogrążony na wieki w opinii. I nie pozabierałbym się już nigdy. Najmniejszy fąfel z pierwszej mógłby mi się rozeźmiać w nos... taka hańba!

— No więc, Okist, chyba mogę cię zacząć rozwiązywać — podjął Cypek. — Jeśli zgadzasz się ze mną, daj znak oczami, trzy razy zamknij powieki, a będę wiedział, że zawieramy umowę, ja cię rozwiążę, a ty nie będziesz robił przedstawienia, pieklił się i krzyczał...

Zamrugalem trzy razy powiekami...

— Rozwińcie mu usta — powiedział Cypek do Defonsiaków.

— Wierysz mu? — skrzywił się brzydal o ptasiej twarzy, z dużym, jakby obwisłym nosem, który od początku wydawał mi się znajomy.

Tak, teraz przypomniałem sobie. Ten chłopak był reporterem w gazecie Defonsiaków i nazywał się Zenon Krogulec.

— Jasne, że wierzę Okistowi — powiedział Cypek — bo wiem, że nie jest głupi. Na jego miejscu też bym się zgodził. Krogulec i ten drugi Defonsiak rozwiązali mnie niechętnie.

— Co to ma wszystko znaczyć? — wybuchnąłem. — Co chcecie ze mną zrobić?!

— Nie bój się — odparł Gruby Cypek — nie mam zamiaru robić ci przykrości. Ostatecznie, jesteś też redaktorem i pisarzem. My, literaci, powinniśmy trzymać wspólny front. Jedziemy na tym samym koniu.

Nic ci nie zrobię.

— Nic?

— Słowo daję, nawet nikomu nie powiem, że cię porwałem.

— *A oni? — wskazałem brodą na Defonsiaków.*

— *To moi ludzie — powiedział Cypek — ich obowiązuje tajemnica służbowa. Możesz być spokojny, Tomciu.*

— *To po co mnie porwał?! —*

— *To pomysł Otrębusa...*

— *Otrębusa? — wykrzyknąłem zdziwiony. — Doktora Otrębusa?*

Tego ze szpitala? — przed oczyma stanął mi poczciwy, wiecznie zalatany okularnik w białym kitlu, znakomity lekarz, a w dodatku zapalony aktywista, dusza wielu związków i stowarzyszeń naszego miasta.

— *Wiesz, że on ma hyzja na punkcie pracy z młodzieżą — ciągnął*

Cypek. — Niedawno został prezesem Oddziału PCK w naszym mieście i postanowił pozakładać czerwonokrzyskie koła we wszystkich szkołach.

Na pierwszy ogień poszła nasza buda. Nieopatrznie się zapisałem...

— *Nieopatrznie?*

— *Zawsze marzyłem, żeby robić zastrzyki — wyznał Cypek.*

Spojrzałem na niego podejrzliwie. Zgrywa dorosłego, a czasem palnie coś jak niedorozwinięty fafel.

— *I tylko z powodu zastrzyków?*

— *No i doktor Otrębuse obiecał mi, że jak zorganizuję koło, to postara*

się, żebym został prezesem — Cypek westchnął. — To była moja ostatnia

szansa, żeby coś znaczyć w szkole... Wiesz, że na wszystkie urzędy,

stanowiska i funkcje w naszej budzie powpychały się dziewczyny. Tak,

zostaliśmy zepchnięci na samo dno — westchnął smętnie — grozi nam

czarne niewolnictwo, używają nas do ciężkich robót i jeszcze skarżą

nauczycielom. Nie wiem, jak u was, ale my zostaliśmy zepchnięci.

Pomyślałem więc, że mogę chociaż w PCK być prezesem, ale nie wiedziałem, że ten Otrębus tak nas pogoni...

— Pogonił? W jakim sensie?

— Od razu urządził chyba z siedem kursów. Kurs pierwszej pomocy, higieny, pielęgnacji i jak skakać koło starców...

— Co ty?!

— A do tego jeszcze mamy kręcić film instruktażowy pod tytułem „Wypadek samochodowy”, czy też „Ratujmy ofiary wypadku!”, dokładnie jeszcze nie zostało ustalone...

— Dobrze — przerwałem mu nieco już zniecierpliwiony — ale ja wciąż nie rozumiem, dlaczego zostałem porwany.

— No właśnie ten film...

— Film ma być o ratowaniu, a nie o porywaniu — zauważyłem ostro.

— Oczywiście. Ale właśnie Otrębus kazał...

— Nie próbuj mi wmówić, że Otrębus kazał mnie porwać...

— To znaczy... nie uzgodniliśmy szczegółowo z Otrębusem, ale polecił mi już dawno, żebym nawiązał z wami kontakt.

— Z nami?

— Z młodzieżą z waszej szkoły... Żeby u was też założyć takie koło...

No i żeby w tym celu sprowadzić kogoś z was na rozmowę... Oczywiście wykręcałem się. Wszyscy wykręcaliśmy się. Otrębus nie wie, że my i wy dawno zerwaliśmy z sobą wszystkie kontakty i stosunki, nawet

dyplomatyczne. Po prostu nie wie, że między nami jest wojna. On by nawet tego nie rozumiał, gdybym mu próbował wytłumaczyć, on żyje w samarytańsko-higienicznym świecie. Dzisiaj akurat mamy kręcenie filmu i pokaz bandażowania i Otrębus postanowił was koniecznie sprowadzić, żebyście się przyjrzeni i żeby was zachęcić do założenia koła w waszej budzie. Wydał mi stanowczy rozkaz i nie mogłem się już dłużej wykręcać. Rozumiesz sam, w jak trudnej znalazłem się sytuacji.

Gdybym zwyczajnie do was przyszedł, na pewno byście mnie nie słuchali, dostałbym od razu kopa albo jeszcze gorzej... No i wtedy przyszła mi ta myśl do głowy... Chyba zdążyliśmy na czas — spojrzał na rozległy dziedziniec szkoły. — Zobacz, Otrębus właśnie robi przegląd sprawności drużyn ratowniczych, zaraz będą kręcić, kamery są już na stanowiskach...

Powiodłem oczami po terenie Defonsiarni. Roilo się tu od podnieconych Defonsiaków. Wzdłuż długiej alei przy boisku leżały „ranne ofiary wypadku”. Chyba, tak na oko, ze czterdzieści. Nad nimi pochylały się Defonsiaczki i „opatrywały” ich pośpiesznie, a obok czekali już „sanitariusze” w białych kitlach z noszami.

Powyżej, na tarasie szkoły, sławnym Słonecznym Tarasie o marmurowych

stopniach,

którego

tak

zawsze

zazdrościliśmy

Defonsiakom, stał wysoki osobnik w okularach jak dowódca operacji na wysuniętym przyczółku, w otoczeniu licznej świty adiutantów w białych fartuchach oraz filmowców z kamerami w rękach. To był właśnie Otrębus w całej chwale swojej.

— Zaraz mu zamelduję — powiedział Cypek czesząc się nader dokładnie.

Dopiero teraz zauważyłem, że był tego dnia wyjątkowo starannie domyty, różowy jak wypielegnowany prosiaczek i nawet miał wyczyszczone paznokcie, co mu się rzadko zdarzało.

— Pamiętaj, rób dobrą minę — pouczał mnie. — Otrębus będzie zachwycony. Ty też w nagrodę na pewno zostaniesz prezesem. Jeszcze mi będziesz wdzięczny, że cię schwytałem i dostarczyłem...

Zmierzyłem Cypka wściekłym wzrokiem.

— Ty jesteś wariat — syknąłem. — Różnie o tobie mówili, wiedziałem, że jesteś stuknięty, ale ty jesteś po prostu regularny wariat.

Cypek zarechotał.

— Każdy prawdziwy artysta jest wariat, możesz się spytać pana Gołąbka. Wszystko polega tylko na tym, żeby być stukniętym prawidłowo. Ciekawym, czy ty byś wymyślił lepszy sposób na sprowadzenie

cię

tutaj...

No,

może

byś

coś

zapropnował

skuteczniejszego i szybszego, słucham.

Odchrząknąłem sapiąc ze złości. Nie mogłem niestety nic wymyślić

ani zaproponować. Więc powiedziałem tylko:

— Gdyby Otrębus wiedział, jak ty werbujesz...

Cypek zaśmiał się.

— On się nigdy nie dowie. I nie potrzebuje wiedzieć. Oczywiście ty

mu nie powiesz — przejrzał się w lusterku, strzepnął pyłek z marynarki.

— No, to jesteśmy gotowi. Podjeżdżamy pod punkt dowodzenia.

Uruchomił ponownie samochód; podjechaliśmy powoli i dostojnie

pod sam taras.

— Kto to?! — zapytał zaskoczony Otrębus i zbliżył się do nas

zeskakując sprawnie z siedmiu tarasowych stopni.

Gruby Cypek wygramolił się z wozu i otrzepawszy powtórnie

marynarkę tudzież upewniwszy się, że ma paznokcie w porządku,

wyprężył się służbowo i zameldował:

— Dostawiłem Rejtaniaka, panie doktorze.

— Brawo — powiedział Otrębus — spisałeś się bardzo dobrze. Tak

właśnie powinien działać członek naszej organizacji w nagłych

wypadkach. Szybko i niezawodnie. Udzielam ci pochwały w imieniu

służby. Pokaż mi tego kolegę.

— *Tak jest!* — *Gruby Cypek wyprężył się ponownie i rzucił do*

Krogulca:

— *Otworzyć drzwi wozu! Podsunąć Okista!*

Krogulec otworzył drzwi, dwu pozostałych oprawców schwyciło mnie brutalnie i wystawiło na widok, nie opuszczając wozu. Otrębus wytrzeszczył oczy.

— *Co to? Dlaczego on jest w bandażu?*

— *Prosiłem go, żeby dał się zabandażować w ramach ćwiczeń — wyjaśnił nie zmieszany Cypek.*

— *Ale dlaczego zabandażowałeś go razem z rękami?*

— *To w ramach unieruchamiania złamanych kończyn — odparł szybko Cypek. — On się zgodził, żeby go zabandażować z rękami. On jest bardzo ideowy, proszę pana.*

Doktor Otrębus obrócił z powrotem do mnie swoją twarz zaciekawionej kobry.

— *To już drugi dzisiaj ze szkoły Rejtana — zauważył głośno.*

— *I drugi, który od razu zgodził się na bandażowanie.*

Znieruchomiałem z wrażenia. Drugi? Czy to znaczy, że Zyzio Gnacki też wpadł w ich ręce i też go tu przywieźli?

— *Brawo!* — *Otrębus spojrział na mnie z uznaniem. — Zawsze twierdziłem, że także w szkole Rejtana są ideowi chłopcy, a wy nie chcieliście wierzyć — rzekł z lekkim wyrzutem do Defonsiaków.*

Chciałem w tym miejscu gwałtownie sprostować i wyjaśnić, jak naprawdę stoją sprawy, ale w ostatniej chwili ugryzłem się w język. Lęk

przed hańbą i kompromitacją zwyciężył. I zamiast zdemaskować niecie praktyki Cypka, milczałem, a nawet zdobyłem się na kwaśny uśmiech, który zresztą zachwycił Otrębusa.

— Jak się nazywasz, mój kochany? — zapytał życzliwie.

— On się nazywa Tomek Okist — wyręczyli mnie usłudźnie

Defonsiacy — to jest syn tego okulisty Okista.

— Ach tak! — Otrębus rozjaśnił się jeszcze bardziej. — Znam bardzo dobrze doktora Okista — powiedział. — Cieszę się, Tomku, że idziesz w ślady ojca. Twój ojciec miał pewne... obawy... — chrząknął — to znaczy wyraził opinię, że tracisz czas i energię na zbijanie bąków i różne głupstwa... Tym lepiej, że otrząsnąłeś się z tego...

Zaczerwieniłem się.

— Proszę pana, to są przestarzałe opinie — wtrącił Gruby Cypek. —

Tomek już dawno otrząsnął się. On teraz jest aktywistą w klasie, razem z tym Gnackim. Pracują społecznie, proszę pana. Ja panu doktorowi przywiozłem najlepszy materiał, najbardziej wyrobiony społecznie.

— Znakomicie... znakomicie — powtórzył Otrębus wpatrując się we mnie niepokojąco swoimi przenikliwymi oczami kobry.

— To wspaniale, że wy obaj, ty i ten Gnacki, podeszliście do sprawy z zapalem i stawiliście się od razu na mój apel. Czekać was poważne funkcje i obowiązki w naszym ruchu. Mianuję was pełnomocnikami do spraw czerwonokrzyskich na terenie waszej szkoły. Liczę na to, że wkrótce zorganizujecie tam silne koło.

Czułem, że robi mi się słabo. Spojrzałem zezem na Grubego Cypka.

Uśmiechał się złośliwie. Przeklęty Marchoń! Żeby tak nas zrobić! Co za perfidny pomysł! To ich zemsta... Zemsta wszystkich Defonsiaków za to, że ich ośmieszaliśmy w naszej gazecie. Odegrali się, szkoda gadać!

— Prowadźcie dalej ćwiczenia — ciągnął Otrębus. — Po ćwiczeniach bliżej porozmawiam z Tomkiem Okistem i z Gnackim, a teraz przenieście Tomka do ambulansu...

— Czy można mu udzielić pomocy drugiego stopnia? — zapytał Cypek. — Chciałbym to opanować na medal, panie doktorze, jak już mam ochotnika... Pan doktor wie, że teraz mało chętnych na ochotników i do udawania pacjentów, każdy chce tylko bawić się w zabiegi...

— Dobrze, pod warunkiem, że potem Tomek z kolei będzie się wprawiał na tobie. No już, zabierajcie go szybko, musimy kończyć, bo zrobiło się późno. Sanitariusze do mnie! Załadować rannego na nosze! Podbiegło dwóch Defonsiaków, brutalnie wyciągnęli mnie z wozu i rzucili na nosze. Jęknąłem z bólu.

— Stop! Nie tak gwałtownie! — krzyknął Otrębus. — Powtórzyć manewr jeszcze raz! Z chorym trzeba ostrożnie!

Tego jeszcze brakowało. Wzięli mnie powtórnie do samochodu i poczęli wyciągać na nowo, pod surowym okiem Otrębusa. Wprawdzie tym razem położyli mnie ostrożnie, ale złośliwie wykręcili mi nogę. Oszalały z bólu, wyrwałem z ich uścisków kończynę i kopnąłem jednego z nich, częściowo niechcący, to znaczy niechcący tak mocno, w żołądek. Skulił się, a potem usiadł na ziemi.

Otrębus spojrział na niego zaskoczony:

— Co ty wyrabiasz? Dlaczego usiadłeś w kałuży?...

— To pan doktor nie widział? — wykrztusił Defonsiak trzymając się za żołądek. — On mnie kopnął.

— Kopnąłeś sanitariusza? — Otrębus obrócił do mnie zdziwioną twarz kobry.

— Nie wiem... Nic nie czułem, panie doktorze — jęknąłem — noga mi zdrętwiała.

— Jak to zdrętwiała? — zaniepokoił się Otrębus.

— Po tym obandażowaniu straciłem czucie... Ta noga to kawał drewna...

— Jak wy go zabandażowaliście! — przestraszył się Otrębus. —

Natychmiast rozwiązać go i masować! — spojrział na zegarek. — Nowe komplikacje... Jesteśmy opóźnieni o całą godzinę. A ja o ósmej zaczynam dyżur... Prędzej!

— Niech pan doktor się nie denerwuje — powiedział Cypek — odwiozę pana doktora samochodem.

— Ty? A właśnie.. Miałem cię zapytać. Co to ma znaczyć, że ty za kierownicą?

— Bo... bo ja właśnie skończyłem kurs samochodowy... i szesnaście lat, więc mogę... Melek Bąk też. To on przywiózł Gnackiego...

— Masz prawo jazdy?

— Tak jest... pokażę panu doktorowi...

— I ojciec ci pozwala jeździć po mieście?

— *To w ramach układu.*

— *Układu?*

— *Mam układ z ojcem. Zajmuję się obsługą techniczną i myciem wozu, a za to mogę jeździć dwa razy w tygodniu, po dwie godziny, w granicach stu kilometrów.*

— *Masz dobrego ojca — powiedział Otrębus.*

— *Najlepszego pod słońcem. A ja jestem najlepszym synem — dodał.*

— *Z początku męczyliśmy się obaj, ale potem doszliśmy do doskonałości.*

Otrębus spojrział na niego z pewnym powątpiewaniem.

— *Ty mi się nie podobasz... Za gładko ci wszystko idzie... Powiedz mi...*

— *Panie doktorze — przerwał pośpiesznie Cypek — temu Okistowi ścierpła noga, on może nie mieć krążenia w kończynie, więc może najpierw ja załatwię z tym Okistem... a porozmawiamy kiedy indziej...*

— *nie czekając na odpowiedź lekarza, doskoczył do mnie spieszenie i wespół z pomocnikami wpakował mnie do stojącego na boku ambulansu.*

— *No — zatarł ręce — to teraz pobawię się tobą.*

— *Co to ma znaczyć? — szarpnąłem się z niepokojem.*

— *Spokojnie, słyszałeś, co Otrębus powiedział, mam się na tobie ćwiczyć — połaskotał mnie pod brodą.*

— *Co chcesz ze mną zrobić?! — wykrztusiłem.*

— *Wpuszczę ci krople do nosa, a potem zaaplikuję coś na uspokojenie... — rozglądał się po otwartej apteczce — to chyba będzie*

odpowiednie. Zapuszczę ci amoniak kroplomierzem do nosa.

Oglądał pod światło buteleczkę.

— Ty oprawco... Nie odważysz się! Ty sadysto!

— Kichanie oczyści ci przewody. Mówisz przez nos. Chyba zaziębiłeś się na tym stadionie — ciągnął z okrutnym uśmiechem Cypek — a na uspokojenie zażyjesz to. Pół butelki wystarczy.

— Co to?

— Olej rycynowy.

— Na uspokojenie! Oszalałeś?!

— Zobaczysz, jak cię uspokoi! Zamknijcie drzwi ambulansu —

zwrócił się do Defonsiaków w strojach sanitariuszy. — Obawiam się, że pacjent może być kłopotliwy... Trzymajcie go! Chyba jednak zaczniemy od środka na uspokojenie — to mówiąc, odkorkował butelkę z rycynusem.

— Pożałujesz! — krzyknąłem. — Gnat przetrąci ci kości! On tu jest, na pewno zaraz tu wpadnie. Obroni mnie!

Cypek zaśmiał się grubo.

— Masz rację, on już tu jest! — rzekł szyderczo. — Tylko że sam potrzebuje obrony. Zobacz!

Odstłonili koc zwisający z drugiej ławki. Spojrzałem. Pod ławką leżał biały toból... Nie, to nie toból, to był Zyzio obandażowany dokładnie jak mumia. Na twarzy miał maskę tlenową, taką jakiej używają wysokogórscy wspinacze.

— Ratunku! — krzyknąłem. — Na pom...

Zatkali mi usta.

— Uspokój się, bo założymy ci maskę, jak Gnackiemu — powiedział

Cypek i pochylił się z butelką nade mną.

W tym momencie ktoś zastukał do drzwi ambulansu.

— Kto tam? — zapytał Cypek.

— To ja, Krogulec... Doktor Otrębus kazał przerwać zajęcia i przyjść na chwilę, bo będzie zbiorowa scena filmowa, jak cała organizacja maszeruje z Otrębusem...

Odetchnąłem. No, to jesteśmy uratowani od męczarni, przynajmniej na razie. Ale Cypek uśmiechnął się szyderczo.

— Nie myśl, Tomciu, że zabieg ci się upiecze. Idźcie sami z

Krogulcem — zwrócił się do Defonsiaków w strojach sanitariuszy. — Ja tu jeszcze zostanę jakiś czas z pacjentem. Jakby Otrębus pytał, powiedzcie mu, że stawiam zdrętwiałego Tomcia na nogi i że zaraz przybiegnę razem z Tomciem, ale nich nie czekają na nas.

Gdy Defonsiacy wybiegli, usiadł okrakiem na mnie i złapał mnie za nos. Dusząc się, otworzyłem usta. Pot wystąpił mi na czoło. Cypek ze złośliwym uśmiechem pochylił się nade mną z otwartą butelką.

— Wydulasz chyba wszystko, Tomciu, założę się, że w czterech łykach, uważaj...

Nie dokończył, bo w tej samej chwili padł jak rażony na podłogę.

Butelka potoczyła się z brzękiem pod ławkę.

Rozdział III

GORSZĄCE SCENY W AMBULANSIE [\[top\]](#)

Upadek Grubego Cypka był tak nagły i niespodziewany, że przez moment nie chciałem wierzyć własnym oczom, a potem pomyślałem, że coś mi się poplątało ze świadomością, zbyt ciężkie miałem przeżycia, nerwy nie wytrzymały napięcia i w rezultacie film mi się urwał, rzeczywistość pękła jak balon, a ja znalazłem się w niepoważnym świecie snu i bzdurnych iluzji. A jednak to nie był sen, nawet bowiem w najbardziej bzdurnym śnie nie mógłbym zobaczyć tego, co zobaczyłem w chwilę później, gdy udało mi się wykręcić głowę i spojrzeć w dół, na podłogę karetki. Zyzio Gnacki klęczał obok powalonego wodza Defonsiaków, głaskał go pieszczotliwie po policzku i przemawiał do niego czule:

— No, stary, co ty wyprawiasz, żyjesz jeszcze chyba, grubasku, otwórz oko i powiedz, że nic ci się nie stało...

Doprawdy, Zyzio co jakiś czas funduje mi niespodzianki! Już mi się zdaje, że go poznałem na wylot, a tu nagle znów zaskakuje mnie jakąś nieprzewidzianą reakcją. Tym razem zaskoczył mnie raczej nieprzyjemnie. Jego żale nad tym złośliwym grubasem wydały mi się głęboko niesmaczne.

— Co to za szopka, Zygmunt — powiedziałem ostro. — Czemu się cackasz z tym gadem... lepiej rozwiąż mnie i powiedz, jak się uwolnić... i w ogóle co się tu stało, bo nie bardzo rozumiem?

Gnacki spojrzał na mnie wystraszony.

— Źle się stało — wybelkotał. — Stała się straszna rzecz... Ja... ja go

chyba zabiłem.

— *Co ty?*

— *Zobacz! Nie rusza się. Jak upadł, musiał uderzyć o coś głową...*

— *Rozwiąż mnie najpierw... — powiedziałem.*

Gnat rozwinął mnie szybko z bandażu.

— *Więc to ty go powaliłeś? — zapytałem z niedowierzaniem rozcierając sobie zdrętwiałe ręce.*

— *Oczywiście, że ja. A ty co myślałeś? Że sam się przewrócił? Zobacz*

— *wyciągnął przed siebie ręce, a ja dopiero teraz spostrzegłem, że przeguby obu rąk, w nadgarstku, ma podrapane do krwi.*

— *Do licha — wykrzyknąłem — kto cię tak urządził?! Ci dranie, Defonsiacy?!*

— *Ja sam.*

— *Żartujesz!...*

— *Widziałeś, że leżałem pod ławką obandażowany dokładnie jak mumia. Naumyślnie tam się stoczyłem, bo zobaczyłem pod tą ławką ostry kant...*

— *Kant?*

— *Wspornika tej kanapki. Udało mi się przysunąć do niego, no i...*

— *Przetarłeś sobie więzy! Bardzo bolało?*

— *Dosyć, ale zniósłbym większy ból, byle tylko wydostać się z rąk*

Defonsiaków. Bałem się tylko, żeby Cypek nie zauważył, ale on na

szczęście zajęty był tobą. Gdy miałem już ręce wolne, rozkręciłem się

łatwo z bandażu i z nienacka podciąłem Cypkowi nogi.

Spojrzałem na leżącego grubasa i mnie także zaczął ogarniać

niepokój.

— On chyba rzeczywiście nie oddycha — powiedziałem.

— Co my teraz zrobimy?

— Nie wiem... Szkoda grubasa — westchnąłem. — Wróg, bo wróg, ale zawsze... Cholernie głupio zabić kogoś...

— Tak, cholernie głupio.

— I w dodatku nikt nie uwierzy, że my niechcący...

— Może on jeszcze nie wykitował całkiem — rzekł z nadzieją Zyzio. —

Sprowadzę doktora Otrębusa, może coś z nim zrobi...

— Daj spokój — przestraszyłem się — lepiej sami zbadajmy Cypka.

Sprawdź, czy ma tętno.

Gnacki wziął grubasa za przegub ręki.

— Nic nie czuję — wykrztusił przerażony.

— Ale może mu serce jeszcze bije... postuchaj.

Gnacki spojrzał na Cypka niepewnie, po czym przyłożył mu ucho do piersi.

— Nic nie słyszę!

— Niemożliwe! Słuchaj lepiej! On ma tłuszczu na pół metra pod skórą i ten tłuszcz tłumi... dlatego słabo słysząc.

Gnacki przytulił ponownie ucho i powiedział błagalnie:

— No, Cypisku, grubasku, daj jakiś znak życia... nie umieraj, do

licha, nie możesz nam tego zrobić, to byłoby największe draństwo z twojej strony! Powiedz, że udawałeś, żeby nas przestraszyć, no,

Cypusiu, otwórz oko albo przynajmniej mrugnij...

Łagania Zyzia zostały wysłuchane. Oto nagle oko Cypka otworzyło się... a mnie dreszcz od razu przeszedł, bo było to bardzo przytomne oko.

Chciałem ostrzec Zyzia, ale było już za późno. Podstępny grubas korzystając z okoliczności, a mianowicie z niewygodnej pozycji Zyzia, który badał mu z poświęceniem serce, zdradzieckim nagłym ruchem objął Zyzia oburącz i przycisnął do siebie. Następnie przewalił się z nim na bok i przez chwilę kotłowali się obaj, wreszcie udało się Cypkowi wydostać na wierzch, położyć na plecach Zyzia i przygnieść go swym ogromnym ciężarem. Uznałem, że nie ma co dłużej zwlekać i ruszyłem do akcji.

Porwałem bandaż i paroma szybkimi ruchami spętałem grubasowi nogi. Nawet nie zauważył z początku, bo wciąż jeszcze ugniatał półżywego Zyzia. Dopiero, gdy chciałem okręcić bandażem jego wielką defonsiacką głowę, zerwał się i począł na oślep wymachiwać pięściami.

Udało mu się na moment jakimś cudem stanąć na skrepowanych nogach, a nawet podskoczyć dwa razy. Niestety, trzeci skok był nieszczęśliwy. Cypek zachwiał się i wpadł pechowo prosto do tekturowego pudła z brudną bielizną, która właśnie chyba miała jechać do pralni tym ambulansem.

Przez kilka sekund strasznie kotłowało się w pudle. Kitle lekarskie, czepki, prześcieradła, ręczniki, białe spodnie — wszystko wlatywało do góry. Cypek grzebał się rozpaczliwie, ale nie mógł się wygrzebać, przeciwnie, zagrzebał się jeszcze bardziej, chyba sięgnął dna pudła i

utonął zupełnie w bieliźnie. Tylko związane nogi wystawały mu z niej i sterczały do góry żałośnie. Machał nimi bezradnie, tak jak macha ogonem schwytna w sieć ryba.

Przez moment przyglądaliśmy się jak zahipnotyzowani temu niezwykłemu widokowi, a potem doskoczyliśmy jednym susem i przytomnie zamknęliśmy pudło. Dla pewności Zyzio usiadł na pokrywie.

W pudle trwała wciąż wściekła kotłowanina. Całe trzęsło się chorobliwie w posadach i dochodziły z niego rozpaczliwe złorzeczenia Cypka.

— Piekli się — zauważył Zyzio. — Może byśmy pozwolili mu wystawić głowę?

— Ucieknie.

— Gdybyśmy zrobili małą dziurę w boku pudła, taką tylko na wielkość głowy, toby nie uciekł, a my moglibyśmy porozmawiać z taką sterczącą głową. Myślę, że to nie jest zła pozycja do rozmów dyplomatycznych i przetargów — zauważył Zyzio oglądając sobie pokaleczone ręce.

— Chcesz z nim pertraktować?

— Właśnie. Może nawet uda się podpisać jakąś korzystną ugodę — uśmiechnął się chytrze pod nosem.

— Potem powie, że wymusiliśmy, i nie będzie chciał dotrzymać.

— To nic, ale dokument z jego podpisem zostanie. Będziemy mogli wszystkim pokazać jako dowód i pamiątkę naszego dzisiejszego

zwycięstwa.

Zastanowiłem się przez chwilę.

— Masz rację — powiedziałem — pozwólmę mu wystawić głowę.

*Za pomocą scyzoryka wykrajaliśmy w boku pudła otwór o średnicy
dużej ludzkiej czaszki. Zaskoczony Cypek zrazu myślał, że chcemy go
kłuć scyzorykiem, ale potem zrozumiał, że nie o to chodzi.*

— Wypuszczacie mnie? — zapytał zadyszany.

— Niezupełnie.

*Mimo to, widząc gotowy otwór, chciał natychmiast wyleźć, ale
udało mu się z trudem przepchać tylko głowę.*

— Co chcecie ze mną zrobić? — zapytał. — Będziecie mnie męczyć?

*— Napoję cię tylko olejem — odparłem — żebyś na przyszłość nie
dręczył kolegów.*

— Ja dręcę kolegów?! Co ty!

— Chciałeś mi zaaplikować całą butelkę rycyny!

*— Żartowałem tylko... słowo, chciałem cię przestraszyć, to
wszystko... Puśćcie mnie! Ja nie mam czasu! — Cypek zatrząsł się w
pudle.*

— Najpierw porozmawiamy sobie — powiedział Gnacki.

— Człowieku, kiedy indziej! Ja o szóstej miałem być w domu...

*— O szóstej? — Gnacki znieruchomiał nagle. — A właściwie, która
już godzina?*

— Pięć po siódmej — odparłem patrząc na zegarek.

Zyzio podskoczył.

— *O Boże!... — jęknął straszonym głosem.*

— *Co się stało?!*

— *Jak to co?! Ciasto!*

— *Ciasto?!*

— *Ciasto w piecu! — wykrzyknął zrozpaczony. — Zapomniałeś, co ci mówiłem? Miałem wyjąć przecież ciasto z pieca! No, to koniec!*

— *Rzeczywiście, przykro... Powinieneś jednak sobie sprawić kuchnię z automatycznym wyłącznikiem.*

— *Jak wygram w totka! A na razie...*

— *Na razie to ty lepiej nie wracaj do domu...*

— *Agnieszka już na pewno wróciła ze zbiórki...*

— *I wyjęła z pieca pachnący węgielek. Czy twoja siostra jest nerwowa? — zapytałem.*

— *Agnieszka? Bardzo. Jak tylko coś jej się nie spodoba, zachowuje się niekulturalnie...*

— *Używa słów?*

— *Słów? O, znacznie gorzej! Dokonuje rękoczynów?*

Gnacki chrząknął dyplomatycznie.

— *Najgorsze, że wszystko wypaple mamie... Jakie to wspaniałe chciała urządzić imieniny, jaki przygotowała przysmak dla mamy i że ja wszystko popsulem... Zamiast wywietrzyć kuchnię, sprzątnąć, wskrobać przypalone ciasto i usunąć ślady nieszczęścia, umyślnie wszystko zachowa... Na pewno mama też już wróciła do domu i teraz stoi i załamuje ręce... no i szykuje się do rozprawy ze mną...*

— *Wytłumaczysz, że ten ohydny grubas sterroryzował nas...*

Zyzio zaśmiał się gorzko.

— *Wytłumaczysz mojej mamie? Zbyt często ją nabierałem. Nie uwierzy... już dawno nie wierzy w żadne moje tłumaczenia.*

— *Pójdę z tobą i zaświadczę — zaofiarowałem się bohatersko.*

— *Jeśli chcesz oberwać ścierką, to proszę bardzo — jęknął Gnacki — ale to nic nie da... Ty masz okropną opinię u mojej mamy.*

— *Ja?*

— *Mama uważa, że ty mnie sprowadzasz na złą drogę.*

— *Ja, ciebie?*

— *Tak mama uważa. Nie chce uznać, że jest odwrotnie — powiedział wzburzony Zyzio. — Mam pomysł! — wykrzyknął nagle podniecony. — Wiesz, co zrobię? Zabiorę z sobą Cypka. Niech zaświadczy, że to przez niego... Pójdiesz ze mną — zwrócił się do grubego Defonsiaka.*

— *Co?!*

— *Niech ciebie pani Gnacka wyćwiczy miotłą i ścierką — wyjaśniłem.*

— *Nigdzie nie idę! — powiedział przestraszony Cypek.*

— *Pójdziesz!*

— *Nie!*

— *Zabierzemy cię z pudłem!*

Cypek poczerwieniał podejrzenie, twarz mu się jeszcze bardziej zaokrągliła i upodobniła się do pomidora.

— *Uważaj, on się nadyma! — wykrzyknąłem do Zyzia.*

Ale było już za późno. Gruby Cypek natężył wszystkie siły, nadął się tak potężnie, że tekturowe pudło nie wytrzymało tego nadęcia i pękło z trzaskiem. Zyzio, który siedział na wieku, wpadł do środka, brudna bielizna służby zdrowia rozsypała się po ambulansie, ze szczątków pudła wyskoczył uwolniony Defonsiak rycząc groźnie jak rozjuszony goryl. Struchlałem. Na szczęście Cypek dał się ponieść złości, a złość to najgorszy sekundant zawodnika! Zaślepiiony wściekłością ruszył szaleńczo do ataku nie oglądając się na nic. Jego ciosom brakło precyzji. Uchyliłem się łatwo. Pięści grubasa przeszły powietrze i nadziały się boleśnie na haczyki wieszaka między oknami, a on sam stracił równowagę, pośliznął się na rozlanym oleju rycynowym i rąbnął nosem w gaśnicę przeciwpożarową. Tym razem ogłuszyło go naprawdę. Runął na podłogę i wyciągnął się bezwładnie jak trup.

— Teraz go mamy! — wykrzyknął Zyzio. — Bierz go!

— Co chcesz mu zrobić?

— Przede wszystkim zabandażujemy go dokładnie, tak jak on mnie zabandażował. Na mumię, z rękami i nogami... Prędzej, póki jest ogłuszony!

Doskoczyłem.

Przez kilkanaście sekund bandażowaliśmy spiesznie Cypka. Potem Zyziovi coś się przypomniało.

— Wszystko to pięknie, ale czym odstawimy grubasa do chaty?

— Chcesz go odstawić do chaty?

— Oczywiście do mojej chaty, jak to już wyjaśniłem, żeby złożył

zoznania przed mamą i Agnieszka. Inaczej nie mam się co tam

pokazywać — Zyzio rozglądał się zaaferowany. — Już wiem! —

wykrzyknął nagle — zawieziemy Cypka w tym wózku na dwu kółkach,

co stoi przy bramie. Zobacz!

Wyjrzałem przez okno. Rzeczywiście, niedaleko nas, przy bramie

Defonsiarni, stał jakiś wózek.

— To wózek do przewożenia produktów dla stołówki — powiedział

Zyzio. — Sprowadź go tutaj i ustaw przy samych drzwiach, a ja przez

ten czas dokończę bandażowania grubasa.

Pięć minut później pchaliśmy już spiesznie wózek ulicą. Cypek

ocknął się dopiero wtedy, gdy był już w bandażach. Chciał krzyczeć, ale

na twarzy miał założoną maskę, którą zrobiliśmy z tekturowego

pudełka po filtry samochodowym, tak że mógł wydawać tylko

niegroźne dudnienia i bulgoty. Zresztą wszyscy Defonsiacy byli zajęci

kręceniem filmu i nikt nie zauważył, jak przenieśliśmy Cypka na wózek i

korzystając z osłony ambulansu bezpiecznie opuściliśmy Defonsiarnię.

Cypka przykryliśmy prześcieradłem, żeby nie robić sensacji, i

wyglądało na to, że przewozimy brudną bieliznę. Mimo to

zauważyliśmy, że niektórzy ludzie przyglądają nam się z dziwnymi

uśmieszkami, a jedna energiczna niewiasta w chustce podeszła do nas i

powiedziała:

— Nie dam się robić w konia. Dudki były nieświeże.

Spojrzeliliśmy na nią zaskoczeni.

— Nie strugajcie niewinnej miny. Powtarzam. Dudki były

nieświeże...

— Przepraszamy panią — bąknąłem. — Naprawdę bardzo nam przykro, na przyszłość się poprawimy — mrugnąłem okiem do Gnata i korzystając z chwilowego oszołomienia niewiasty odjechaliśmy szybko z naszym wózkiem.

— To jakaś nienormalna kobieta — zauważyłem.

— Za dużo tutaj nienormalnych — powiedział Zyzio. — Zobacz, jak nam się przyglądają, tak jakby nas dobrze znali, uśmiechają się, dają jakieś znaki.

Istotnie coś tu było nie w porządku. Dlaczego na przykład magister Buciaty z kursów kroju i szycia, który właśnie przechodzi ulicą, kiwa na nas palcem? A Miążyńska, kasjerka z kina, na nasz widok wyciąga dwa bilety?

Zanim jednak zdołałem rozwiązać te zagadki, podszedł do nas osobnik o ascetycznej twarzy, w czapce maciejówce i powiedział:

— Tędy.

A my byliśmy właśnie na rogu Rynku Małego i wcale nie zamierzaliśmy iść w proponowanym przez ascetę kierunku, ponieważ tam były jedynie szalety publiczne.

— Dziękuję panu — powiedziałem — ale chwilowo nie czujemy potrzeby.

Asceta zdziwił się nieco, lecz nie ustąpił:

— Jednak zachęcam panów. To będzie dla panów korzystne. Tędy — znów chciał nas poprowadzić w niewłaściwym kierunku.

— *Ale dlaczego?* — zapytał Gnat.

Asceta spojrział na niego coraz bardziej zaskoczony.

— *Przecież nie może pan na ulicy...*

— *Nie mogę? To się pan przekona...*

— *No, to może przynajmniej w bramie* — zaproponował wyraźnie zakłopotany.

— *Czego pan właściwie sobie życzy?!* — wybuchnął Gnat.

— *No... coś świeżego w każdym razie... żeby nie było ościste...*

Szczupak? — zapytał nieśmiało wskazując na wózek.

— *Można tak określić, ale wyjątkowo tłusty* — powiedział Gnat.

— *To ja dziękuję.*

— *Nie szkodzi.*

— *A co do karpi...*

— *Odczep się pan!* — krzyknął Gnat.

— *Co takiego?!*

— *Pan się pomylił* — rzekł zimno Zyzio.

— *Jak to... przecież poznaję. Ten sam wózek. Dlaczego dziś panowie nie mają do mnie zaufania?... Jeśli towar jest w normie, to ja kupię... nawet miętusy i płotki* — to mówiąc, odsłonił gwałtownie prześcieradło.

Ostłupiał na moment. Potem wydał nieartykułowany dźwięk, podobny do głosu zarzynanej kaczki, i odskoczył jak oparzony. Patrzył na nas z nieopisanym przerażeniem.

Rzuciliśmy się do ucieczki. Za nami rozległy się podniecone głosy i okrzyki.

— Ścigają nas — jęknął Zyzio. — Co zrobimy?!

— Skręcaj tam... — wskazałem na lewo.

— Tam jest przychodnia lekarska.

— To nic... udamy, że przywieźliśmy pacjenta z wypadku.

Zadyszani dopadliśmy do schodów przychodni. Stała na nich roztrzęsiona kobieta, młoda jeszcze, ale o twarzy zniszczonej i przeraźliwie białej.

— Taksówka! — wykrztusiła. — Czy na postoju jest taksówka?!

— Nie widzieliśmy ani jednej, proszę pani — odparł Zyzio Gnacki. —

O tej porze wciąż jeszcze kręcą się koło stadionu i rozwożą po meczu kibiców.

— Co ja zrobię... To straszne... Przychodnia już zamknięta, a moja córka zemdląca...

— Zemdląca?

— Coś się z nią dziwnego dzieje... Cała zrobiła się żółta... Od tygodnia już prawie nic nie je...

— I pani dopiero teraz do przychodni...

— Nie widzujemy się prawie, pracuję na drugą zmianę, a ona nigdy się nie skarży... Nigdy nic sama nie powie...

Spojrzeliliśmy po sobie. To znaczy najpierw Zyzio na mnie, a potem ja na Zyzia. Zauważyłem w jego oczach bolesną rozterkę.

— Wiesz co — wykrztusił wreszcie — chyba jednak jeszcze bardziej spóźnię się do domu.

— Tak, rozumiem — mruknąłem — a co z usprawiedliwieniem?

Twoja mama...

— *Chyba nie przywiozę usprawiedliwienia...*

— *Chcesz wypuścić grubasa?*

— *Musi się zwolnić miejsce w wózku! — i nie czekając, aż mu*

pomogę, wyciągnął Cypka z wózka i przeciął mu scyzorykiem bandaż w

paru miejscach. — Rozwiąż się i splywaj — powiedział do niego.

Zaskoczony grubas począł się rozplątywać powoli. A Zyzio zwrócił

się do zrozpaczonej kobiety:

— *Niech pani się uspokoi. Załatwimy transport chorej. Szpital*

wprawdzie daleko i na rękach nie doniesiemy, lecz na szczęście mamy

ten wózek.

— *Dziękuję panom, ale zdaje się, że panowie przywieźli tu rannego*

człowieka w bandażach...

Zyzio chrząknął.

— *On już wyzdrowiał.*

— *Wyzdrowiał? — kobieta zdziwiła się. — Ach, rozumiem, panowie*

go przywieźli do zdjęcia opatrunku i bandaży.

— *Właśnie — uśmiechnął się blado Zyzio. — Gdzie pani córka?*

— *Tam, na schodach...*

Pobiegliśmy. Na ławce, na półpiętrze, leżała chyba dwunastoletnia

dziewczynka. Wzięliśmy ją ostrożnie na ręce i przenieśliśmy do wózka.

— *Mamo... — jęknęła dziewczynka.*

— *Oprzytomniała! — odetchnęła kobieta.*

— *Niech pani jej to podłoży pod głowę — mruknąłem wręczając jej*

zwinięte prześcieradło.

— Przepraszam was za fatygę — powiedziała matka dziewczynki. —

Chciałam zadzwonić na pogotowie, ale tu nie ma żadnego telefonu.

Bardzo mi przykro...

— Nie szkodzi, proszę pani. Najważniejsza jest szybka pomoc.

Szpital na Tarnobrzeskiej ma akurat ostry dyżur...

— Doskonale się orientujecie, widzę... Ja was skądś znam. Już wiem.

Chodźcie do szkoły Rejtana i macie coś wspólnego z gazetą... Ale słyszałam o was zupełnie nieprawdopodobne i chyba złośliwe plotki...

— Tak jest, na pewno złośliwe — potwierdził Gnat szybko.

— Tak sobie teraz pomyślałam, ale to dziwne, naprawdę bardzo dziwne.

— Zgadzam się z panią — powiedział filozoficznie Gnat. — Życie jest bardzo dziwne. Gdybym pani opowiedział, co przeżyliśmy w ciągu tego jednego popołudnia... nie uwierzyłaby pani nigdy... — uśmiechnął się melancholijnie, westchnął ciężko i pchnął wózek.

— Daj, najpierw ja... — zaofiarowałem się ochoczo. — Będziemy pchać na zmianę.

Popędziliśmy co tchu naprzód. Koła skrzypiały przeraźliwie...

Rozdział IV

JEDZIEMY DO SZPITALA [\[top\]](#)

— Zaczekaj — powiedział zadyszany Zyzio i zatrzymał rozklekotany wehikuł.

— Co się stało? — zapytałem.

— Spójrz na nią — Zyzio wskazał na nieprzytomną dziewczynkę. —

Wygląda coraz gorzej... Boję się, że nie zniesie tego transportu. Ten wózek tak strasznie trzęsie, że wieźć ją w czymś takim to zbrodnia... ten bruk...

— *To co zrobimy? Zaniesiemy ją na plecach?*

— *Żeby jakiś samochód...*

— *Tu nikt nie jeździ, zwłaszcza o tej porze. To zupełnie pusta dzielnica — rozglądałem się rozpaczliwie dokoła po źle oświetlonych zaułkach.*

— *O co chodzi? Dlaczego stanęliśmy — zaniepokoiła się matka dziewczynki. — Na litość boską, prędszej! Moja biedna Renia, patrzcie... ona gaśnie mi w oczach! Boję się o nią...*

— *Ja też się boję — powiedział Zyzio — i dlatego nie wiem, czy powinniśmy ją w tym stanie...*

Urwał nagle, bo za nami rozległ się klakson samochodu.

Obejrzeliliśmy się. Zza rogu ciężko wytoczył się czarny autobus i rzućąc sunął groźnie po wybojach w naszą stronę. Na jego dachu, tuż nad przednią szybą, umocowany był srebrzysty metalowy wieniec żałobny i złociste wstążki. Poznałem od razu. To autobus spółdzielni pogrzebowej „Trumna”. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że znajdujemy się bardzo blisko jej siedziby na ulicy Krochmalnej.

— *O Boże! — wykrzyknęła matka Reni i przeżegnała się odruchowo.*

— *To przecież karawan! Wyrósł jak spod ziemi! To zły znak. Biedne dziecko moje! Że też musiał akurat ten karawan...*

— *To nie karawan, proszę pani, to autobus do transportu gości*

pogrzebowych — usiłowałem sprostować, ale matka Reni nie dała się oszukać.

— *Ja wiem dobrze, tam pakują nie tylko gości, ale także trumny z nieboszczykami! Po prostu trupy... — biadolila.*

Ale Zyzio jej nie słuchał.

— *Zatrzymam ten autobus — szepnął — poproszę, żeby podrzucił małą do szpitala.*

— *Tak, to jest pomysł — skinąłem głową.*

I zamiast zjechać na bok, daliśmy znak autobusowi, żeby się zatrzymał. Zahamował z piskiem. Byliśmy pewni, że wychyli się teraz z okna skrzywiona twarz kierowcy i usłyszymy niegrzeczne: „Czego?”

Tymczasem, ku naszemu zdziwieniu, zamiast rozzłoszczonego kierowcy wyjrzała z wozu szlachetna twarz... Matyldy Opat.

— *Ty, tutaj? — zdziwił się Zyzio.*

Matylda Opat poprawiła na głowie czarny kapelusik ze srebrną wstążką.

— *Niech pan poczeka, panie Wacku — zwróciła się do kierowcy — ja znam tych chłopców, chodzimy do tej samej klasy. Na pewno coś się stało... Och, niech pan zobaczy, tam na wózku leży ciało! — wykrzyknęła przykro zaskoczona. — Czy to dzisiaj pomór dzieci?*

— *Pomór? — skrzywiłem się. — Dlaczego pomór, ta dziewczynka wcale nie umarła, zachorowała tylko...*

— *Przepraszam cię — zawstydzila się Matylda — bo ja właśnie jadę*

do szpitala po zwłoki jednego chłopca i jestem okropnie

zdeenerwowana... Rozumiesz chyba...

— *Ty? Jedziesz po zwłoki?* — *zdumiałem się.*

— *Zastępuję pana Figla, naszego starszego żałobnika. Jest na zwolnieniu chorobowym. Mówiłam ci, że wszyscy chorują w zakładzie.*

Mam zabrać trumnę i przewieźć do kaplicy cmentarnej. Biedny chłopak, jego rodzice jeszcze nic nie wiedzą, są na obozie wędrownym PTTK, a babcia ma chore nogi i nie wychodzi z domu. Wszystko na mojej głowie... Musiałam jechać prosto z meczu...

— *I ten chłopiec umarł tak nagle?*

— *Zupełnie nagle...*

— *Doskonale się składa* — *wtrącił Gnat.*

— *Jak to doskonale się składa? Że on umarł?* — *Matylda spojrzała zgorziona na Zyzia.* — *Jak możesz!*

— *Chciałem powiedzieć, doskonale się składa, że akurat jedziesz do szpitala; zabierzesz tę małą. Z nią jest chyba bardzo niedobrze, co trochę mdleje. Potrzebuje szybko pomocy lekarskiej. Myślę, że nie odmówisz...*

— *Oczywiście, że nie. Ładujcie ją!* — *powiedziała Matylda.*

Rzuciliśmy się do wózka, ale matka dziewczynki powstrzymała nas gwałtownie.

— *Nie zgadzam się! Moje dziecko w karawanie? Za żadne skarby!*

Nigdy!

— *Ależ proszę pani, każda chwila droga... Skoro mamy taką*

okazję... — próbowałem ją przekonać, ale nadaremnie.

— Nie! Ona tam umrze! Karawan! Co za pomysł?! O Boże... —

powtarzała ogarnięta irracjonalnym strachem.

— Niech pani nie będzie przesądna! Niech pani zrozumie, że zwłoka

może być fatalna dla Reni! — wykrzyknął zdenerwowany Gnat, po czym

dał mi znak: — Ładujemy!

Nie zważając na protesty matki chcieliśmy przenieść Renatę do

autokaru, ale nagle wtrąciła się Matylda Opat.

— Skoro ta pani nie życzy sobie, to trudno...

— Jak to trudno?! Tu chodzi o życie!

— Zaraz, daj mi dojść do słowa. Wszystko będzie dobrze, zobaczycie.

Za chwilę nadjedzie tu biały autobus ślubno-weselny, najdalej za pięć

minut. Wsadzicie małą do tego autobusu... Pani zgodzi się na autobus

ślubny? — zapytała matkę Renaty.

— Ślubny? Ależ tak, oczywiście! — odparła matka.

— Jesteś pewna, że on nadjedzie? — zapytał zdziwiony Gnat.

— Tak — odparła Matylda.

— Ale skąd ty właściwie możesz wiedzieć? — Gnat spojrzał na nią

podejrzliwie.

Matylda uśmiechnęła się nieco szyderczo, a może mi się tylko

zdawało.

— Ja to czuję — odpowiedziała.

— Czujesz?!

— Intuicja mi mówi... Lub jak wolisz: telepatia...

— *Kpisz sobie chyba! Poczekaj...*

Ale Matylda już nie słuchała. Dała znak kierowcy i autobus szybko ruszył. W chwilę później już zniknął za rogiem.

Staliśmy oszołomieni i zaaferowani. Skąd nagle na tej ulicy i po co ma się pojawić autobus ślubny. Zupełnie w to nie wierzyliśmy, a jednak... Tym większe było nasze zaskoczenie, gdy dosłownie w trzy minuty później od strony ulicy Krochmalnej wyjechał biały autobus tego samego kształtu i wielkości co karawan, z pewnością tej samej marki, to znaczy marki Ikarus.

Matka Renaty wskoczyła na jezdnię i zaczęła mu dawać rozpaczliwe znaki, aby stanął.

Biały autobus natychmiast przyhamował i zatrzymał się przy chodniku. Jednocześnie otworzyły się drzwi, a z okna kabiny kierowcy ktoś wyciągnął rękę i przyjaznym gestem zapraszał do środka.

Załadowaliśmy pośpiesznie Renatę do autokaru przy pomocy jej matki i umieściliśmy na szerokiej kanapce.

— *Właściwie należałoby pojechać z tą małą do szpitala, pomóc ją wynieść i oddać w ręce lekarzy. Mama Renaty jest półprzytomna, biedaczka, goni już resztkami — zamruczał Gnat cichym głosem. —*

Tylko co zrobimy z wózkiem? — dodał głośno, zaaferowany.

— *Wózek możecie zabrać ze sobą, do tylnej kabiny — usłyszeliśmy nagle głos — tam drzwi są bardzo szerokie. Na pewno się zmieści. Zaraz otworzę.*

To był znajomy głos. Spojrzeliśmy zdziwieni. Z kabiny kierowcy

wyskoczyła... *Matylda Opat. Na głowie miała biały kapelusik w stylu retro, z różową wstążką.*

— *Skąd się tu wzięłaś? — wykrztusił osłupiały Zyzio.*

— *Potem się dowiesz, a teraz ładuj wózek. Nie mamy ani chwili czasu! Sam powiedziałeś...*

Z pomocą Madzi wciągnęliśmy nieszczęsną własność Defonsiarni do tylnej kabiny, bardzo obszernej, przeznaczonej zapewne na bagaż.

Autobus ruszył.

— *Nic nie rozumiem, Madziu — zasapałem — przecież byłeś w tamtym autobusie, pogrzebowym, więc jakim sposobem...*

— *Cicho, nie tak głośno, bo ta pani usłyszy.*

— *Do licha, mów, jak zdążyłaś się przesiąść...*

— *Wcale się nie przesiadałam.*

— *Co? Przecież ten autokar...*

— *To jest ten sam autokar!*

— *Jak to?!*

— *To jest ten sam autokar, tylko w wersji ślubno-weselnej.*

— *Ale przecież...*

— *Cicho... to tajemnica zakładu.*

— *Służbowa?*

— *Usługowa. Nikomu ani słowa. Ludzie mają takie różne przesady, a nasz zakład nie stać chwilowo na dwa autobusy, osobny do pogrzebów i osobny do ślubów...*

— *Zaraz — przerwałem — ale po co do ślubów? Przecież twoi rodzice*

pracują w zakładzie pogrzebowym, a nie weselnym.

— Widzę, że oderwałeś się od życia naszego miasta — rzekła z naganą Matylda. — Wszyscy wiedzą, że od maja nasza spółdzielnia rozszerzyła działalność także na śluby. Pan naczelnik Obuch zalecił naszej spółdzielni to rozszerzenie, ponieważ zrobił się straszny wyż...

— Wyż?

— Wyż małżeński. Od maja organizujemy więc, prócz pogrzebów, także imprezy ślubne, zabawy weselne, transfery gości weselnych oraz...

— I to wszystko robi spółdzielnia „Trumny”? — skrzywił się Zyzio. — Co to za pomysł?!

— Pomysł jest bardzo dobry — powiedziała nieco urażona Matylda.

— Chyba wiesz, że tutaj tylko my dysponujemy naprawdę fachową obsługą i umiemy dbać o klientów...

— Nie przesadzaj...

— Wcale nie przesadzam, mamy najlepszą opinię i zdobyliśmy pierwsze miejsce wśród zakładów usługowych w Odrzywołach na konkursie-plebiscycie... Mogę pokazać ci dyplom...

— Ale przecież nowożeńcy i goście weselni...

— Są bardzo zadowoleni. Najlepszy dowód, że mamy zgłoszenia na wiele tygodni naprzód. Kto chce mieć wesele na medal, musi zapisać się na listę i czekać cierpliwie. Wam też radziłabym już teraz... —

zażartowała.

— Teraz?!

— Zarezerwować miejsca.

— Na razie mamy czas — mruknął Gnat — poczekamy jeszcze trochę... Ten autobus nie bardzo nam odpowiada...

— To prawda — westchnęła Matylda — mamy jeszcze poważne kłopoty z prowadzeniem obu działalności usługowych naraz. Mamy tylko jeden lokal i jeden autobus, ale dajemy sobie radę. Tatuś zarządził, żeby w poniedziałki, środy i piątki zakład obsługiwał pogrzeby, a w pozostałe dni śluby i wesela. A co do autobusu... No, na początku był poważny kłopot, przede wszystkim z kolorem, bo goście nie chcieli jeździć czarnym autobusem na wesela... Ludzie są tacy przesądni — Matylda westchnęła powtórnie — przesądni i przewrażliwieni... Nawet ci, co się godzili na ten autobus, potem przeważnie byli bardzo smutni na weselu, a niektórzy nowożeńcy to w ogóle rezygnowali ze ślubu... Więc tatuś zwołał naradę usługową i uradzili na tej naradzie, że trzeba uwzględnić przesady i gusta klientów i że autobus powinien zmienić kolor, czyli szatę zewnętrzną... No i teraz, kiedy autobus jedzie do ślubu, to mu się nakłada koszulkę.

— Koszulkę?!

— Oczywiście białą. To znaczy naciąga się na autobus specjalny elastyczny pokrowiec z plastyku, z dziurami na okna, drzwi i chłodnicę. Jest błyszczący, biały i tak dopasowany, że trudno poznać. Wyście też nie poznali... a cała operacja trwa tylko pół minuty! — dodała z triumfalnym uśmiechem. — Oczywiście zdejmuje się jeszcze szybciej...

— Więc ty... teraz też naciągnęłaś ten pokrowiec?

— *Tak. To chyba było prostsze niż użerać się z tą nieszczęśliwą, przewrażliwioną kobietą... Stałam za rogiem i przy pomocy Wacka zmieniłam kolor wozu, a także mój służbowy kapelusz. Potem zatoczyliśmy koło i wyjechaliśmy z powrotem z ulicy Krochmalnej.*

— *Niesamowity pomysł... — powiedział Zyzio i po raz pierwszy spojrzał na Matyldę z uznaniem.*

Chciał powiedzieć jeszcze coś więcej, ale autobus stanął. Byliśmy na miejscu.

— *Trzymaj się! — uścisnąłem rękę Madzi. — To straszne, że masz tyle kłopotów, ale chyba znajdziesz dla mnie czas między jednym a drugim pogrzebem. Pamiętaj, że umówiliśmy się w piątek do kina!*

— *Pamiętam — rzekła Madzia.*

Zyzio wypchnął mnie spiesznie z wozu i pobiegliśmy do portierni zawiadomić, że przywieźliśmy chorą.

Niestety, wyłoniły się od razu pewne komplikacje, jak zawsze, gdy tacy młodzi ludzie jak my chcą wyręczać dorosłych. Portier spojrzał na nas nieufnie.

— *Gdzie matka dziecka? — zapytał ostro.*

— *No, przy dziecku. W autobusie.*

— *W jakim autobusie?*

— *Ślubnym, proszę pana.*

— *Ślubnym? Nie rozumiem...*

— *No... tym ze spółdzielni pogrzebowej „Trumna”.*

To zabrzmiało zgola niepoważnie. Chyba niepotrzebnie byliśmy

tacy dokładni w informacji. Portier rozgniewał się.

*— Jazda stąd! — krzyknął. — Żartować sobie z takich rzeczy! Ja
wam pokażę. Co za wychowanie! Żeby nawet w szpitalu pozwalać sobie
na takie zgrywy...*

— Co to za historie? — rozległ się nagle znajomy tubalny głos.

*Spojrzeliliśmy zaskoczeni. Z głębi korytarza zbliżał się doktor
Otrębus w białym rozchełstany kitlu.*

— A, to wy — rozjaśnił się wyraźnie. — Macie jakieś sprawy?

— Przywieźliśmy nieprzytomną dziewczynkę, proszę pana.

Wyjaśniliśmy w kilku słowach, o co chodzi.

*Otrębus bez dalszych ceregieli wydał natychmiast odpowiednie
dyspozycje.*

*Wkrótce potem Renata została przewieziona do gabinetu lekarza
dyżurnego. Chcieliśmy szybko dać nogę, ale Otrębus zatrzymał nas
energicznie.*

*— Widzę, że z miejsca zabraliście się do roboty i zbieracie chorych
po ulicach — zagaił z uśmiechem.*

*My też uśmiechnęliśmy się, lecz niezbyt szczerze. Nie mieliśmy
ochoty na żadne rozmowy. Nie podobał nam się wzrok Otrębusa. To był
chyba wzrok gracza, który postawił na niepewne konie i teraz patrzy na
nie z obawą, ale i z rosnącą nadzieją, bo konie jednak wystartowały, o
dziwo, bezbłędnie. Ale my nie chcieliśmy być końmi dla Otrębusa, wcale
nam się to nie uśmiechało. Wiedzieliśmy, jakie krążą o nim opinie.*

Uciążliwy facet. Tylko czyha, żeby zrobić człowieka w jakieś

nadprogramowe obowiązki, jakby normalnych było za mało...

— To znaczy, że opinia Jurka Cypały była trafna — zauważył po chwili.

— Cypały? — zapytał podejrzliwie Zyzio.

— Tak. Powiedział, że zapalicie się do tej roboty i że mnie zaskoczą aktywnością. To prawda, zaskoczyliście mnie. Wychodźcie sobie zwyczajnie na ulicę i od razu trafiacie na taki przypadek...

Chciałem w tym miejscu sprostować, że niezupełnie zwyczajnie i że to nie był taki przypadek, ale ugryzłem się w porę w język.

Musiałbym przecież opowiedzieć o całej historii z Grubym Cypkiem, a ta historia zupełnie nie nadawała się do opowiedzenia komuś takiemu, jak znakomity i nieskazitelny doktor Otrębus. Po co psuć mu dobry humor i samopoczucie? Niech lepiej, pocziwisko, wierzy w Cypka, w nas i w przypadki, które same spadają z nieba. Toteż powiedziałem tylko:

— Nie ma o czym mówić, panie doktorze, cała ziemia roi się od potrzebujących pomocy, więc nie było trudno trafić...

— Trzeba tylko mieć oczy otwarte — wtrącił Zyzio.

— Słusznie, wy właśnie mieliście otwarte — powiedział Otrębus.

— Staramy się, panie doktorze — Zyzio zrobił skromną minę.

— Chciałbym z wami porozmawiać jutro — Otrębus przyglądał się nam zza okularów — mam dla was poważną propozycję. Przyjdźcie tutaj o piątej.

Spojrzeliliśmy na siebie niespokojnie. A więc wrabia nas, tak jak było

do przewidzenia, podpadliśmy... Nie wypuści nas już teraz ze swych rączek. Naprawdę przykra sytuacja. Inna rzecz, że podłożyliśmy się sami. Czy musieliśmy koniecznie z tą Renią fatygować się pod sam nos Otrębusa? Wcale nie musieliśmy. Ale zachciało nam się być „uczynnymi młodymi mężczyznami”. „Ci młodzi mężczyźni byli tacy uczynni” — powiedziała matka Renaty do Otrębusa opuszczając szpital. No więc trudno się dziwić Otrębusowi. Mało zna takich opiekuńczych bałwanów, toteż zaraz nas sobie upatrzył na ofiary swej manii. Ale trzeba wyprowadzić go z błędu. Im szybciej, tym lepiej i dla nas, i dla niego.

— Przykro nam, proszę pana — powiedział Zyzio — chętnie byśmy porozmawiali, ale jutro nie mamy czasu. Właśnie jutro musimy ćwiczyć w sekcji na pływalni...

— I robimy zebranie redakcji... — uzupełniłem.

— I zastępuję rodziców w kiosku — dodał jeszcze, na wszelki wypadek, Zyzio.

— Wielka szkoda — rzekł wyraźnie zawiedziony Otrębusem — ja też jestem zajęty i nie zawsze mam czas na takie konferencje, ale skoro nie możecie, to umówmy się na inny dzień...

Ale Zyzio nie miał ochoty wiązać się jakimś terminem.

— Musimy najpierw rozpatrzeć się w naszym kalendarzu zajęć — powiedział z miną człowieka ciężko zapracowanego. — Zadzwonimy do pana potem ewentualnie.

— No, to rozpatrzcie się jak najszybciej — Otrębusem tyknął na nas dziwnie bystrym okiem. Czyżby zorientował się, że próbujemy się

wykręcić? — Mam do was jeszcze jedną prośbę — rzekł po chwili z pewnym wahaniem. — Nie wiem, czy zechcielibyście poświęcić parę minut...

— O co chodzi? — zapytał Zyzio niespokojnie.

— Jak już tu jesteście, chciałbym, żebyście odwiedzili w sali 233 waszego kolegę, który czeka na operację...

— Kolega? To jakaś pomyłka — powiedziałem. — Nie mamy żadnego kolegi w szpitalu.

— Jest młodszy od was, ale chodzi do waszej szkoły. Nazywa się Stajny. Wojtek Stajny — mówił Otrębus patrząc nam w oczy, jakby nas sprawdzał. — Powiem wam całą prawdę. Z nim jest źle. Bardzo ciężki przypadek. Nie mówimy mu tego, ale on wyczuwa, że coś nie jest w porządku. To bardzo wrażliwy chłopak. A w dodatku pech chciał, że przy nim leżał mały Mencil. Miał powikłania i silną gorączkę. Na pół przytomny zerwał się z krzykiem z łóżka w nocy i wybiegł z sali...

Wojtek obudził się i chciał go zatrzymać, pobiegł za nim, ale już było za późno. Mencil spadł ze schodów... Wojtek to bardzo mocno przeżył... dostał nerwowego szoku. Od tego czasu boi się, chce stąd uciekać, nie sypia w nocy. Bardzo was proszę, gdybyście mogli go odwiedzić... Może uspokoiłby się trochę...

Milczeliśmy z oczami wbitymi w podłogę. Otrębus uznał to za wyraz zgody. Wsadził nas do windy i zawiózł na drugie piętro, a potem osobiście poprowadził długim białym korytarzem do sali numer 233.

Dwa łóżka były zajęte. Na jednym leżał pulchny, piegowaty chłopak o

nalanej twarzy i żuł flegmatycznie gumę, na drugim — szczupły wypłosz o trójkątnej twarzyczce wymoczka i sinej, przezroczystej cerze. Patrzył nieruchomo w sufit.

— Wojtek — powiedział Otrębus — popatrz, przyszli do ciebie koledzy.

Wypłosz drgnął i spojrzął na nas nerwowo. Miał wielkie, przerażone oczy. Kiedyś, jak byłem mały, chłopcy pokazali mi niejakiego Bolka Wariata, wiecznie przestraszonego biedaka, któremu się zdawało, że oplatają go węże i że na drodze wszędzie pełzną żmije, a on musi nadeptywać na nie... Ten Bolek miał właśnie takie oczy...

Otrębus zostawił nas samych. Zyzio chrząknął i próbował zagadać do chłopaka:

— Poznajesz nas? Jesteśmy z tej samej budy.

Napięte rysy twarzy chłopca rozluźniły się.

— Ty jesteś Gnat — powiedział — a to jest Tomek. Was wszyscy znają, wy jesteście z siódmej. Wyście pomogli złapać tych opryszków, co szukali w szkole „awaramisów”, tej starej biżuterii, i porwali pana woźnego.

— A ty jesteś Wojtek, znany artysta-iluzjonista...

— Ja?

— Dostarczasz podobno silnych wrażeń personelowi szpitala.

Urządzasz jakieś przedstawienia. Czy to prawda, stary?

W oczach chłopaka pojawił się na nowo strach.

— Nie chcę tu być, boję się — wymamrotał. — Zobacz, tam, na tym

łóżku leżał Mencil... i już go nie ma... On też miał operację... A w nocy tak krzyczał, tak okropnie krzyczał...

Zyzio rozglądał się po sali.

— To fakt — powiedział — nie jest to przytulny pokoik w M-4, ani klub, ani cyrk, ani nawet internat szkolny... Ale przenocować parę dni można... — usiadł na łóżku i wziął Wojtka za rękę — bądź mężczyzną, co innego, gdybyś był Defonsiakiem, ale przecież w naszej szkole wszyscy chłopcy są twardzi...

— Gdybyś musiał tu spać — wykrztusił Wojtek — nie wiem, czy byś wytrzymał...

— W każdym razie jest to lepsze niż nocleg wspinaczy na Lhotse w Himalajach. Gdy nasza ekipa zdobyła ten szczyt, musiała nocować na wysokości siedmiu tysięcy metrów w mrozie i śnieżycy... Pomyśl o tym. A ty boisz się tutaj, w ciepłym pokoju.

— Tu całą noc coś chodzi po suficie... — zamruczał Wojtek i przymknął oczy. — Opowiedz mi o tej Lhotse... — powiedział po chwili. Gnat streścił mu w paru słowach dzieje tragicznej wyprawy.

— Sam widzisz — zakończył — czasem trzeba spędzić kilka przykrych dni na czekaniu, i to w najgorszych warunkach. Kiedy się wchodzi na szczyt...

— Ja nie wchodzę na żaden szczyt — mruknął smutno Wojtek.

— Wchodzisz... wchodzisz! Gramolisz się, sam o tym nie wiesz.

— Nie rozumiem, co mówisz...

— Każdy ma swój szczyt, tylko różnie się nazywają te szczyty: szczyt

sprawności, dzielności, dojrzałości...

— Ale przecież ja, tutaj...

— Ty po prostu uległeś wypadkowi po drodze — powiedział Zyzio. —

Każdy ulega w końcu jakiemuś wypadkowi po drodze, ale to nic, trzeba zebrać siły i iść dalej... Ty myślisz, że mnie to nie spotkało? Spytaj

Tomka, przeszło pół roku byłem w szpitalu, w gipsie. Miałem kontuzję kręgosłupa, rozbiłem się na nartach...

— Ty?

— Żebyś wiedział!

— Opowiedz mi o tym!

— Potem ci opowiem.

— Kiedy?

— Może jutro, jak przyjdę.

— Nie wytrzymam tu do jutra — oświadczył ponuro Wojtek. —

Powiem ci coś — ścisnął mocno Gnackiego za rękę. — Postanowiłem uciec stąd, dzisiaj w nocy, ale nie mówcie nikomu...

— Oszalałeś?

— Umrę tu, jak nie ucieknę... Już wszystko obmyśliłem i przygotowałem. Patrzcie — uniósł poduszkę i pokazał — mam linę.

Skręciłem ją z prześcieradeł, z tamtych pustych łóżek... tak jak

widziałem na jednym filmie... Spuszczę się z okna w nocy — mówił gorączkowym szeptem, na twarzy pojawiły mu się wypieki.

Byliśmy pewni, że wykona swój zamiar.

— Odłóż na jutro tę ucieczkę — powiedział Zyzio.

— *Dlaczego dopiero jutro?*

— *Bo dopiero jutro będziemy mogli ci pomóc...*

— *Ja obejdę się bez pomocy...*

— *Ciekawe, jak przejdziesz ogrodzenie. Jest bardzo wysokie i najeżone kolcami. Nie wiem, czy przyjrzałeś się — mówił Zyzio oglądając sobie paznokcie. — Pomogliśmy ci dzisiaj, ale to wymaga przygotowań... Trzeba skombinować wózek i załatwić sprawę z portierem i stróżem, żeby myśleli, że wywozimy makulaturę czy inne śmiecie... Tak, to musi być obmyślane na medal, inaczej kłapa i kompromitacja.*

— *To co mam robić? — oczy Wojtka napętniły się strachem. — Ja nie mogę... tu już ani jednej nocy... Muszę uciec...*

— *Zrobimy tak — powiedział Gnat — po prostu przeniknę do szpitala i zostanę z tobą na noc.*

Spojrzałem na niego zaskoczony. Wojtek też spojrzał z niedowierzaniem.

— *Naprawdę zostałbyś ze mną?*

— *Tak.*

— *Całą noc?*

— *Słowo. Pogadamy sobie, pogramy w warcaby albo karty.*

Zobaczysz...

— *I opowiesz mi jeszcze o Lhotse — zapalił się Wojtek.*

— *Jasne.*

— *I jak leżałeś w gipsie... i o „awaramisach”, co się z nimi stało... i o*

tych opryszkach w szkole.

— Jeśli zdążę... To będzie wspaniała noc... tylko pamiętaj, czekaj na mnie cierpliwie, bo nie wiem, o której godzinie mi się uda przeniknąć, może dopiero o północy.

— Będę czekał! — zapewnił podniecony Wojtek.

— No, to na razie, stary — podnieśliśmy się z łóżka.

— Na razie! — Wojtek przymknął oczy.

Rozdział V

ADELA PO RAZ PIERWSZY [\[top\]](#)

— Co ty, Gnat, wstawiasz za kity?! — powiedziałem do Zyzia, gdy opuściliśmy salę szpitalną i znaleźliśmy się z powrotem na korytarzu.

— Kity? Jakie kity? — oburzył się Zyzio.

— Ten Wojtek gotów uwierzyć, że ty naprawdę będziesz przy nim w nocy. Będzie czekał na ciebie, denerwował się i robi mu się jeszcze bardziej smutno, jak nie przyjdiesz. To go załamie do reszty, zobaczysz... Takie fafle biorą wszystko niesłychanie poważnie...

— Co ty chcesz ode mnie?! Ja przecież też poważnie...

— Naprawdę chcesz nocować w szpitalu?!

— Tak.

— Ty chyba jesteś wariat! — spojrzałem na Zyzia zaskoczony.

— Dlaczego? Słyszałeś, co mówił Otrębus. Z tym małym jest bardzo źle...

— Tak, ale przecież...

— Widziałeś: on umiera ze strachu, on nie może być sam.

— *Ale Otrębus ci nie kazał, żebyś pilnował go w nocy...*

— *Jasne. Otrębus nie mógł mi tego zaproponować, musiałem sam postanowić...*

— *Od nocnych dyżurów są pielęgniarki!*

— *Jedna na cały oddział! Wiesz, jak mało jest pielęgniarek. Choćby chciała, nie mogłaby być cały czas przy Wojtku. Ty, Tomciu, znasz się na tym, przecież twój stary jest lekarzem... Taka jest sytuacja, prawda?*

— *Prawda! Prawda!* — *zasapałem.* — *Ale nie opowiadaj, że nagle zrobiłeś się taki miłosierny...*

— *Uważasz, że to nie pasuje do mnie?*

Chrząknąłem zakłopotany.

— *No... niezupełnie* — *przyznałem niepewnie.*

Zyzio uśmiechnął się pod nosem.

— *Więc nie wierzysz w moje poświęcenie?*

— *Raczej nie.*

— *Nieźle, Tomciu* — *powiedział Gnat.* — *Widzę, że mnie poznałeś trochę.*

— *Tak, trochę.*

— *Masz rację* — *Zyzio westchnął smętnie* — *siostrą miłosierdzia to ja jeszcze nie jestem. To prawda, że żal mi tego fafla Wojtka, tobie pewnie też... Ale, niestety, to jeszcze nie powód, żeby nocować z nim w szpitalu.*

Mam inne powody.

— *Inne?*

— *Co najmniej trzy!*

— *Ciekaw jestem... — spojrzałem na niego zaintrygowany.*

— *Dzień był bogaty w zdarzenia — zauważył Zyzio.*

— *Trudno zaprzeczyć.*

— *I jeszcze się nie skończył.*

— *Też prawda... ale mówiliśmy o powodach.*

— *Obawiam się, że twoja inteligencja, Tomciu, rośnie wolniej niż twoje wąsy — powiedział Zyzio. — Naprawdę nie możesz zgadnąć?*

— *No, nie wiem...*

— *Pewnie wyczerpały cię dzisiejsze przeżycia, ale rusz głową.*

— *Próbuję, cały czas... — zastanowiłem się przez moment. — Chyba chodzi ci po prostu o mocne przeżycia, o silne wrażenia, o emocje...*

— *Może...*

— *Może?*

— *Powiedzmy, że to jest jeden powód, ale drugi?*

— *Ciekawość dziennikarska? Badania naukowe? Chcesz napisać coś na temat szpitala i zbierasz materiał.*

— *Doskonale. No widzisz, Tomciu, jak ci dobrze idzie...*

— *Co prawda, dziwię się, że masz takie zainteresowania...*

— *Dlaczego? Przecież wiesz, że rok przeleżałem w szpitalu...*

— *Tak, to znana sprawa, leżałeś w gipsie.*

— *Miałem kontuzję kręgosłupa po nieudanym skoku narciarskim na Małej Krokwi...*

— *Mówiłeś, że na Dużej.*

— *To dla picu. Naprawdę to było na Małej, ale wystarczyło, żebym*

pół roku przeleżał w szpitalu...

— *Mówiłeś, że rok...*

— *Tak mówiłem? No, może przesadziłem trochę... pół roku, ale dla mnie to trwało sto lat! Naprawdę. Nuda, rozumiesz? Pół roku w szpitalu, pół roku w sanatorium. Zabiegi rehabilitacyjne... tak to się nazywa... mówiłem ci.*

— *Tak, mówiłeś.*

— *W każdym razie nowicjusz to ja nie jestem... Najadłem się zupek szpitalnych i nawąchałem zapaszków...*

— *Nie mów, że zatęskniłeś i chcesz z powrotem...*

— *Nie. Najważniejszy powód to sprawa pewnego zobowiązania — rzekł Zyzio.*

— *Zobowiązania?*

— *Przyrzekłem sobie uroczyście, że jak wyzdrowieję, to wrócę i zrobię coś choć dla jednego chorego... za to, co zrobili dla mnie, kiedy ja byłem przykuty do łóżka...*

— *Co dla ciebie zrobili lekarze i pielęgniarki, tak?*

— *Co zrobił dla mnie jeden chłopak... Kiedyś opowiem ci...*

Spojrzałem zaskoczony na Zyzia.

— *Zresztą, opiszę to wszystko... „Noc w szpitalu”, tak będzie się nazywał ten reportaż — ciągnął ze smutnym uśmiechem. — Dawno już chciałem napisać, ale bałem się, że to będzie sentymentalne i głupie, bo z pozycji wystraszonego, przewrażliwionego pacjenta. Miałem przecież dotychczas tylko takie doświadczenia. Z pozycji pacjenta. A każdy*

pacjent ma skrzywione spojrzenie, bo patrzy przez okulary własnego cierpienia. Dopiero teraz mam okazję spojrzeć na szpital zimno, bezstronnie, jako człowiek zdrowy i niezaangażowany specjalnie, ani lekarz, ani pacjent... Nie wiem, czy mnie rozumiesz.

— Rozumiem cię — powiedziałem — to byłoby ciekawe, ale czy to jest do przeprowadzenia... Nie wpuszczą cię do szpitala, nie pozwolą na taki dyżur, nawet Otrębus będzie przeciw...

— Nie mam zamiaru prosić ich o pozwolenie.

— Chcesz przeniknąć potajemnie? Na własną rękę?!

— Tak. Nie widzę innego sposobu.

— To... to niebezpieczne... Jak cię złapią...

— Jasne, że niebezpieczne, ale przez to ciekawsze.

— Szalony pomysł... Co powiesz w domu?

— Nic nie powiem — Zyzio wzruszył ramionami. — Wątpię zresztą, czy dzisiaj w ogóle wrócę do domu...

— Jak to?

— Zapomniałeś, jak wygląda sytuacja? U mnie w domu jest teraz pole minowe — zamruczał ponuro. — Czy wszedłbyś dobrowolnie na pole minowe?

— No, nie, ale przecież...

— Wystarczy, że teraz stanę na progu, a nastąpi wybuch. Cały dom jest podminowany...

— Więc to tak — popatrzyłem na niego uważnie — ty się boisz, ty się po prostu boisz... i dlatego przyszedł ci ten pomysł z nocowaniem w

szpitalu! To jest właściwy powód!

Zyzio milczał przez chwilę.

— Proszę bardzo — powiedział wreszcie — jeśli uważasz ten powód za mądrzejszy, to proszę bardzo... Jak chcesz! Nie zależy mi... — uśmiechnął się gorzko.

— Wiesz, trochę mnie zaskoczyłeś. Żeby mieć takiego pietra z powodu głupiego ciasta? Spaliło się, no i koniec. Nie takie znowu nieszczęście... są chyba większe niż głupie ciasto.

— Z pewnością, ale ja nie z powodu ciasta... a z powodu nerwowej atmosfery, jaka będzie w domu... Cholernie tego nie lubię. Gdyby mama raz dała mi w pysk i powiedziała, że jestem niepunktualny drań, to bym zniósł. Ale tam będzie walcowanie do północy, jak mogłeś, taka strata, kilo mąki, pięć jaj, łyżka masła, szklanka cukru... i zadymiona kuchnia, i przypalona forma, i tak przez pięć godzin po kolei, a potem jeszcze raz, od początku, od Adama i Ewy... I jęki, i krzyki, aż sąsiedzi będą stukać w ściany i cała ulica od razu się dowie, jakie u Gnackich straszne nieszczęście z powodu tego hultaja syna... Mówię ci, piekielnie tego nie lubię... U ciebie w domu też tak byle głupstwo walcują?

— Owszem, ale na zimno.

— Nie krzyczą?

— Nie. Wszystko cholernie poważnie, jak w sądzie. Wiesz, mama jest ławnikiem, może dlatego.

Najpierw

prowadzi

dochodzenie,

przesłuchuje. Tata jest moim adwokatem, ale kiepskim, bo w końcu

zawsze przegrywamy obaj...

— I co potem?

— Potem? Nic. Cisza.

— Cisza?

— Lodowata. Jak na biegunie, wszystko zamarza co najmniej na

tydzień. I trwa grobowe milczenie.

— U nas przeciwnie. Tydzień burzy — powiedział Zyzio. — Pole

minowe wciąż groźne... co jakiś czas wybuchają nowe ładunki

dynamitu. Nawet klienci omijają nasz kiosk, jakby się bali, że razem z

nim wylecą lada chwila w powietrze... A u ciebie lodowato?

— Lodowato.

— Zazdroszczę ci.

— Nie zazdrość — odburknąłem. — Nie wiadomo, co gorsze. W

każdym razie — dodałem po chwili — wydaje się mi, że trochę

przesadzasz. Pójdę z tobą do domu i wytłumaczę twojej mamie, że nic

nie jesteś winien, że Defonsiacy nas tak urządzili i nie mogłeś wrócić

wcześniej... Powinna zrozumieć.

— To nic nie da. Mama nie uwierzy. Już ci mówiłem, że ją nabrałem

parę razy... i wydało się... Teraz nie wierzy w żadne moje tłumaczenia.

Straciłem kredyt, bracie. Nie wiem, czy rozumiesz, co to znaczy.

— Rozumiem — odparłem — ale mimo to, spróbowałbym na twoim miejscu. Może miałeś szczęście i nic strasznego się nie stało... Może siostra wróciła wcześniej i wyłączyła gaz...

— Wierzysz w cuda, Tomciu? Bo ja nie — skrzywił się Zyzio — ale chodź ze mną, proszę bardzo! Może przekonasz się wreszcie, jak wygląda moje prawdziwe życie, bo zdaje się, że nie jesteś całkiem przekonany... Chodź, to będzie bardzo pożyteczne... Tobie na pewno czasami zdaje się, że ze mną coś nie tak, no, przyznaj się, nieraz myślałeś, że nie jestem zupełnie normalny...

— Owszem... czasami myślałem...

— No więc zgadza się. Nie jestem normalny, bo nie mogę być... Chcę, żebyś zrozumiał, dlaczego... — w tym miejscu Zyzio urwał nagle i znieruchomiał. — Popatrz — szepnął — to Adela.

Istotnie, z przeciwnej strony korytarza zbliżała się w towarzystwie pielęgniarki znakomita Adelajda Wigor, elegancka jak zawsze, w niebieskiej spódnicy haftowanej błyszczącą złotą nicią, zapewne według mody Junior 1977. Patrzyliśmy jak urzeczeni. Adela cała wydawała nam się niebieska i złota, ze swoimi złotymi włosami przepasanymi niebieską wstążką, niebieskimi pantoflami i złotymi klamrami — nigdy jeszcze tak nie błyszczała jak tu, na tle ponurych szpitalnych ścian. Na mój gust, błyszczała nawet zbyt mocno i była zbyt piękna, jak to powiedział kiedyś Gnat: była „nieludzko piękna”, jak lalka, nie człowiek. Ale taka właśnie była Adela — przedmiot kultu Gnata i podziwu obu szkół w naszym mieście.

Zyzio od dawna pragnął zwrócić jej uwagę na siebie, ale

bezsukutecznie. Z niezrozumiałych powodów Adela największą sympatią darzyła Grubego Cypka, znakomitego co prawda Defonsiaka, ale tylko w sferze umysłowej. Fizycznie to był „wybryk pijanej natury”, jak powiedział złośliwie Gnat.

Ale teraz, gdy stanął oko w oko z Adelą, sam też wyglądał niezbyt dziarsko i daleko mu było do klasycznej postawy... Na szczęście Adela zajęta rozmową z pielęgniarką nie zauważyła nas. Przystanęła na chwilę i poprawiła siostrze czepek. To było właśnie w jej stylu. Gdy rozmawiała z kimś, musiała zawsze coś poprawić w wyglądzie rozmówcy. Tych parę chwil zwłoki wystarczyło i Zyzio przyszedł do siebie: podczesał włosy, a w jego genialnej czaszce wylął się plan działania zaczepnego.

— Poczekaj — zatrzymał mnie energicznie.

— O co chodzi?

— Reżyseruję.

— Co?

— Spotkanie z Adelą — odparł i rzucił się do białego szpitalnego wózka stojącego pod drzwiami z dużym napisem „RENTGEN”. Na wózku tym leżał ostrzyżony na „ryżową szczotkę” blady chłopiec o napuchłej jak buła twarzy i zajadał łapczywie czekoladę. Widocznie czekał na prześwietlenie. Obok, na stoliku, stała butelka z wodą mineralną i szklanka.

— Powiedz „a”! — rozkazał Zyzio.

Bułowaty przestał jeść czekoladę i zamrugał oczami, zaskoczony.

Zyzio pogłaskał go.

— Słyszałeś, co powiedziałem? Powiedz „a”.

— Po co?

— Zbadam cię.

— Ty?

— Słuchaj, stary, rób co każe — zasapał Zyzio — bo jeśli będziesz niegrzeczny, to mogę ci zrobić syfona albo jeszcze gorzej...

— Oszalałeś? Zostaw go... — chciałem odciągnąć Zyzia, ale odepchnął mnie.

— Nie wtrącaj się! Powiedziałem przecież, że reżyseruję spotkanie z Adelą...

— Nie bardzo rozumiem... Czy nie możesz zwyczajnie podejść i zagadać do niej...

— Nie mogę.

— Wstydzisz się? Odkąd to jesteś taki nieśmiały?

— To nie dlatego, że jestem nieśmiały — warknął Gnat.

— A dlaczego?

— Czy ty myślisz, że z Adelą można tak zwyczajnie... zbyłaby nas jednym słowem i poszła dalej. Ona w ogóle nie może się nawet domyślić, że nam cokolwiek zależy i że my specjalnie poczekaliśmy tu na nią. Nie, to byłaby klęska, zlekceważyłaby nas od razu... To spotkanie musi wyglądać na zupełny przypadek... ona sama musi przystanąć i odezwać się pierwsza.

— *Pierwsza?! Jak to? To niemożliwe — wykrztusiłem.*

— *Owszem, możliwe, ale trzeba to wyreżyserować, kretynie.*

— *Z tym napuchłym? Po co czepiasz się chorego?*

— *To jest nasza szansa... nie rozumiesz jeszcze? Adelę trzeba*

zaskoczyć czymś niezwykłym, zadziwić, oszołomić. Dlatego potrzebny

mi ten chory. Zaimponuję Adeli moimi zabiegami...

— *Zabiegami?*

— *Leczniczymi. Na Adelę to jedyny sposób. Moje energiczne zabiegi*

zwrócą jej uwagę — to mówiąc Zyzio odebrał napuchłemu czekoladę i

rzeczywiście „energicznie” wytarł mu usta prześcieradłem, a następnie

pchnął wózek w kierunku stolika z wodą mineralną.

Napuchły spojrzał na Zyzia niespokojnie.

— *Co chcesz mi zrobić?*

— *Cicho, nie bój się... parę małych zabiegów...*

— *Zabiegów? — napuchły przestraszył się nie na żarty.*

— *No, no odwagi, uśmiechnij się i bądź zadowolony — Zyzio*

poklepał go po głowie.

— *Dlaczego mam być zadowolony?*

— *Że się zajmujemy tobą...*

— *Ale po co?*

— *Nie bądź nudny, otwórz usta, no, prędzej — szturchnął pacjenta*

nie spuszczać wzroku z Adeli.

Adela właśnie pożegnała się z siostrą i ruszyła korytarzem w naszą

stronę.

— Połknij! — Zyzio wpuścił napuchłemu do ust pastylkę miętową. —

Doskonale, zuch z ciebie — powiedział głośno — a teraz wypluczemy
sobie gardelko. — Nalał wody mineralnej do szklanki i podał
napuchłemu. Właśnie Adela przechodziła obok.

— Płucz z całego serca, energicznie! A ty, Tomciu, zrób masaż,
rozcieraj smarkacza energicznie. Przez ten czas zbadam mu jamę
brzuszną.

Zaczęliśmy się „energicznie” krzątać przy chorym, ale wynik był
raczej mierny. Adela rzuciła w naszą stronę przelotne spojrzenie spod
długich, jedwabistych rzęs i poszła dalej.

— To przez tego barana — zdenerwował się Zyzio i pogroził
przerażonemu pacjentowi. — Co miałeś robić, baranie? Płukać głośno! A
ty połknąłeś od razu...

— Pić mi się chciało — bąknął chłopak.

— Nie było efektów dźwiękowych — jęknął Zyzio. — Łobuz,
zmarnował mi taką szansę...

— Daj spokój — powiedziałem — to i tak nic by nie pomogło, pomysł
był do bani.

— Do bani?! — zatrzęsł się Zyzio.

— Do bani — potwierdziłem.

— Do bani — powtórzył napuchły.

— Jak śmiesz, ty buło... Czekaaj, ja ci pokażę — i Zyzio doskoczył do
nieszczęsnego pacjenta z żądzą mordy wypisaną na twarzy.

Trzeba przyznać, że Zyzio ma bardzo wyrazistą twarz i gdy

przestaje panować nad sobą, wszystkie jego brzydkie intencje odbijają się tam niezwykle czytelnie. Kto ma słabe nerwy, ten nie wytrzymuje konfrontacji z tak ohydną twarzą i ucieka. Napuchły pacjent też nie wytrzymał. Ku mojemu przerażeniu, zeskoczył ze szpitalnego wózka i począł biec korytarzem plątając się w swej okropnej piżamie, o wiele na niego za dużej, i wydając gardłowe okrzyki.

— Łap go! — krzyknął Gnat.

Rzuciliśmy się rozpaczliwie za zbiegiem, ale on już był przy Adeli.

Adela przystanęła i patrzyła oszołomiona to na nas, to na pacjenta.

Ze wstydu chciałem się zapaść pod ziemię. Na szczęście chyba nie rozumiała dobrze, co się stało.

— Co to za heca? — zapytała. — Czemu ten chłopiec biega po korytarzu?

— On... on jest trochę nerwowy... — wyjaśnił zmieszany Zyzio — właśnie uciekł z wózka...

Adela zmarszczyła brwi.

— A wy co tu właściwie robicie?

— My? My pracujemy — Gnat powoli odzyskiwał pewność siebie — to znaczy jesteśmy na praktyce.

— Na jakiej praktyce?

— No... sanitarnej i w ogóle... w ramach kółka, to znaczy PCK.

— Ach, tak — Adela spojrzała na nas przyjaźniej — jesteście w organizacji? Przecież w waszej szkole nie ma...

— Właśnie założyliśmy... i doktor Otrębus wziął nas od razu na

wyższy kurs...

— *Wyższy? Nie słyszałam o czymś takim.*

— *To... to nowy pomysł Otrębusa. Robimy różne zabiegi, sama widziałaś, a także zastrzyki...*

— *Wy?*

— *W ramach wyższego kursu. A ty? — Gnat szybko zmienił temat. —*

Ty też masz tu jakieś zajęcia?

— *Bywam tu czasami. Moja siostra jest tu siostrą, to znaczy pielęgniarką, a poza tym miałam dzisiaj dyżur w świetlicy dla chorych...*

— *My też możemy mieć dyżury... — podchwycił Gnat — jeśli potrzebujesz pomocy...*

— *Widzę, żeście się zapalili do pracy... — powiedziała Adela z dziwnym uśmiechem. — Zawsze tak jest na początku, ale ciekawam, czy długo wytrzymacie.*

— *Na pewno wytrzymamy...*

— *Pojutrze będzie odprawa u doktora Otrębusa... — powiedziała Adela — przyjdźcie, to omówimy te sprawy, a teraz trzeba położyć tego małego pacjenta na wózek...*

— *Tak jest, oczywiście — Zyzio zbliżył się do napuchłego.*

— *Nie! — krzyknął przestraszony napuchły i schował się za Adelą.*

— *Co to znaczy? On się ciebie boi! — ściągnęła brwi Adela.*

— *Ale skąd... Jesteśmy przyjaciółmi — Zyzio uśmiechnął się nieszczercze i chciał pogłaskać napuchłego, ale ten rzucił się do ucieczki.*

Adela pobiegła za nim, dopędziła go, wzięła za rękę i podprowadziła do wózka.

Właśnie z gabinetu rentgenowskiego wyszła pielęgniarka z kliszami...

— Co to?! Robek, uciekłeś z wózka. Kładź się natychmiast! —

krzyknęła do napuchłego. — Co z nim robiłaś? — zapytała podejrzliwie Adelę.

Adela spojrzała na nas ciężkim wzrokiem.

— Nic, proszę siostry, z nudów chciał się przespacerować, ale go na szczęście złapałam. Ci chłopcy mi pomogli...

— Za dużo tu was... Kto widział, żeby jeszcze o tej porze... — gderwała siostra. — Doktor Otrębus się przeliczy... napyta sobie biedy...

— Na pewno nie — powiedziała urażona Adela.

— Na pewno nie — powtórzyliśmy chmurnie.

— Muszę zbadać, czy mówiliście prawdę o tym wyższym kursie —

obróciła się do nas Adela, gdy zostaliśmy sami — i w ogóle nie wiem, czy macie kwalifikacje do zajmowania się chorymi... Ten Robek was się wyraźnie boi... Powiem doktorowi Otrębusowi, żeby poddał was testom.

— Nie... po co? — przestraszył się Gnat. — Poczekaj lepiej do tej odprawy...

Adela znów uśmiechnęła się dziwnie.

— Wasze zachowanie jest podejrzané... Coś tu jest nie w porządku...

Macie jakieś nieczyste zamiary...

— My, nieczyste zamiary?! — jęknął Gnat.

— *Tak, ja to czuję, tylko nie wiem, o co właściwie wam chodzi. Ale zbadam to. Do widzenia — i ruszyła w stronę schodów.*

— *Zaczekaj, my też wychodzimy... porozmawiamy! — krzyknął Gnat.*

— *Niestety, idę w przeciwną stronę — ucięła ostro i zbiegła szybko na dół.*

Zyzio przygryzł wargi i spuścił głowę.

— *Kłeska — powiedział.*

— *Niezupełnie — zauważyłem przechylając się przez poręcz. —*

Jednak ogląda się za nami. Zobacz! Na półpiętrze! Ma wciąż dziwny wyraz twarzy. I co znaczy ten tajemniczy uśmiech?

— *Jaki tam tajemniczy! Głupi jesteś — rzekł zbolalym głosem Zyzio.*

— *Ona po prostu śmieje się z nas... Co za kłeska! — zapatrzył się w czerwone niebo za oknem, a ja umilkłem zbity z tropu.*

Rozdział VI

BOMBA NA ULICY BOLEŚĆ [\[top\]](#)

— *Słuchaj, stary — powiedziałem do Zyzia — skończmy na tym dzisiaj. Nie idzie nam. Zróbmy przerwę do jutra.*

— *Co powiedziałeś? — Zyzio jakby się ocknął z przykrego snu.*

Przez otwarte okno słychać było bicie zegara na wieży kościelnej.

Osiem uderzeń!

— *Głodny jestem — mruknąłem i przestaję funkcjonować. Cześć! — chciałem odejść.*

— *Dokąd?! — zatrzymał mnie.*

— *Idę do chaty.*

— *Zostań!*

— *Dziękuję. Już nazarłem się wrażeń! Odbija mi się.*

— *Pójdiesz ze mną! Obiecałeś.*

— *Nie bądź śmieszny. Co ja ci mogę pomóc? Sam powiedziałeś, że twoja mama i tak nie uwierzy...*

— *Nie o to chodzi — zasapał Zyzio.*

— *A o co?*

Wzruszył ramionami. Sapał. Ja też sapałem. Do licha, zdenerwował mnie. Nie pierwszy raz ta cała przyjaźń z Zygmuntem Gnackim zaczynała mi ciążyć. Też ma zachcianki! Ja, kiedy mam zmartwienie, kiedy coś mi się nie uda, wolę zostać sam z moimi kłopotami, a jemu koniecznie potrzebna asysta.

— *Dziwny jesteś — powiedziałem głośno.*

— *Czemu?*

— *Należysz do tych, co lubią być wieszani w towarzystwie...*

— *Nie bój się. Nie dam się powiesić. Ze mną nie tak łatwo.*

— *Nie dasz?*

— *Już ci powiedziałem. Nie będę spał w domu.*

— *To po co mamy tam iść?*

— *Jak to po co? Nie jesteś ciekawy, co się stało?*

— *Niespecjalnie...*

Gnat spojrział na mnie z wyraźnym rozczarowaniem.

— *Ty nie jesteś prawdziwym dziennikarzem, Okist — powiedział.*

— *Możliwe.*

Dalszą wymianę zdań przerwała nam pielęgniarka, ta od rentgena.

— *Wy jeszcze tutaj?! Już was nie ma! Poskarżę się Otrębusowi, że urządzacie sobie rozmowy na korytarzu.*

— *Rozmowy, co to jest? — próbował stawiać się Zyzio, ale pociągnąłem go gwałtownie.*

Zbiegliśmy na dół i oddaliśmy białe fartuchy portierowi. Z piętra wciąż jeszcze słyhać było gderliwy głos pielęgniarki. Portier spojrział na nas dziwnie, jakby chciał zapamiętać sobie nasze twarze.

Pomyślałem, że nie wróży to na przyszłość nic dobrego. Gnat musiał pomyśleć to samo, bo mrugnął do mnie okiem.

— *Zadziałałam — szepnął.*

— *Zadziałaj. Zrób księżyc.*

Gnat stanął przed portierem i zrobił księżyc. Gnat ma bardzo okrągłą twarz i wielkie, długie usta. Potrafi się nimi uśmiechnąć dosłownie od ucha do ucha. To robi silne wrażenie. Mało kto jest odporny na ten uśmiech. Gnat jest wtedy podobny do promiennego księżycyca w pełni.

Portier nie był odporny. Po chwili osłupienia też wyszczerzył do Gnata swe długie, końskie zęby.

— *Siostra Różia jest nerwowa — zauważył. — Przegoniła was? Ona jest wielka służbistka... Krzyczy z byle powodu. To dlatego, że nie ma mieszkania i musi mieszkać u emerytowanego degustatora Zakładów Spirytusowych, pana Gębali, który cierpi na bezsenność i całą noc*

degustuje z przyzwyczajenia. Wy byście też krzyczeli, gdybyście musieli mieszkać z takim degustatorem.

— Niewykluczone — odpowiedział Gnat.

— Toteż nie miejcie żalu...

— Nie mamy żalu, proszę pana. Nam tu się bardzo podoba. Szkoda, że musimy iść. Może w czymś jeszcze pomóc? — zaproponował usłużnie Zyzio, by zrobić jak najlepsze wrażenie na sympatycznym portierze.

— Co za mili z was chłopcy — powiedział portier i przeciągnął się jak zaspany kot w swym śnieżnobiałym fartuchu — gdybyście tak mogli zastąpić mnie na dyżurze nocnym, ale niestety...

— Ma pan bardzo fajny fartuch — zauważył Gnat.

— Po prostu świeży — uśmiechnął się skromnie portier. —

Codziennie dostaję czysty... Czystość to nasza dewiza — poskrobał się krótko obciętymi i niezwykle czystymi paznokciami po starannie wygolonej i błyszczącej czystością łysinie. — A propos fartuchów — spojrzał na umorusane kitle, które przed chwilą zdjęliśmy z siebie — przypomniało mi się, że muszę cały kosz brudnej bielizny szpitalnej zanieść do pralni... gdybyście mogli mi pomóc...

— Ależ tak, oczywiście — odparł pośpiesznie Gnat — wyręczymy pana. Niech pan nam powie tylko, gdzie ta pralnia.

— W suterenie, tymi schodami — wskazał na biegnące w dół stopnie obok portierni, po czym wy dobył spod swojego wielkiego urzędowego kontuaru pękaty toból, a następnie odczepił jeden z wiklinowych koszy dwuusznych, zawieszonych na specjalnych haczykach u sufitu. —

Pomóżcie mi — zasapał.

Z wielkim trudem dźwignęliśmy tobół i wsadziliśmy go do kosza.

Portier odetchnął, obciągnął biały kitel i uśmiechnął się.

— Powiedźcie praczce naczelnej, że przysyłam pranie ekstra.

— Proszę pana, coś wypadło!

— Wypadło? — Zyzio obejrzał się.

— Z tobołu... chyba rozwiązał się.

Istotnie, na podłodze portierni leżała piękna prążkowa koszula

męska koloru błękitnego, kolorowe skarpetki frotte oraz, co wzbudziło

nasze największe zdumienie, dwie damskie koszulki, różowa i lila, z

bogatymi koronkami i haftami.

— To... to pewnie zaplątało się omyłkowo do bielizny szpitalnej —

rzuciłem przypuszczenie podnosząc z podłogi pogubione części

garderoby. — Czy to też bielizna szpitalna, proszę pana?

— Niewątpliwie — odparł portier z kamienną twarzą.

— Ubieracie w to chorych?

— W miarę możliwości.

— To niezwykle...

— To się nazywa terapia ubraniowa — mówił portier patrząc na

mnie spod ciężkich powiek. — Stwierdzono, że na niektórych chorych

bardzo korzystny wpływ ma ubranie. Były wypadki nagłego

uzdrowienia pacjentek po włożeniu im odpowiednio gustownej

koszulki, zamiast tych niegustownych piżam, które mamy na co dzień w

użyciu...

— *Nie słyszałem o czymś takim!* — *wytrzeszczyłem, zdumiony, oczy.*

— *Dosyć tego* — *zdenerwował się portier* — *pakuj rzeczy do toboła i zabieraj się z kolegą. Potrzebuję pomocników, nie gadułów!*

Spakowaliśmy pośpiesznie kolorowe rekwizyty do „terapii ubraniowej” i natężając wszystkie siły zaczęliśmy znosić kosz z bielizną po stromych schodach do sutereny, gdzie znajdowała się pralnia.

— *A tośmy wpadli* — *jęknąłem.* — *Po jakie лихо zaoferowałeś się z tą pomocą. Już dość dzisiaj napracowaliśmy się.*

— *Głupi jesteś* — *powiedział Gnat* — *to było z naszej strony sprytne posunięcie. Dzięki temu posunięciu otwarły się przed nami nowe możliwości.*

— *Nie bardzo rozumiem jakie.*

— *Postuchaj, jeśli tu jest pralnia, to odkryliśmy sposób łatwego przenikania do szpitala.*

— *W koszu bielizny.*

— *Nie ma potrzeby w koszu. Zwyczajnie, tak jak teraz. Bierzemy od portiera brudy, schodzimy do pralni, a stamtąd już droga prosta...*

— *Myślisz, że pralnia ma jakieś wewnętrzne połączenie ze szpitalem?*

— *Jasne. Widziałem na pierwszym piętrze, jak salowe wyjmowały z windy taki sam kosz tylko pełen upranej już bielizny. To znaczy, że tam chodzi winda. Tamtędy będę przenikać!* — *Zyzio poczerwieniał z emocji. Spojrzałem na niego podejrzliwie.*

— *Ale po co właściwie masz przenikać?*

— *Jak to, po co. Mówiłem ci, że chcę zbadać szpitalne życie i napisać reportaż... A z uwagi na dzisiejsze okoliczności...*

— *Wiem, chcesz nocować w szpitalu. Ale była mowa tylko o tej nocy.*

Coś ci się odmieniło?

Zyzio chrząknął.

— *Myślę... myślę, że będę musiał jednak kilka razy... rozumiesz*

chyba... żeby poznać dokładnie życie w szpitalu... wszystkie cierpienia...

na wszystkich oddziałach... operacje... amputacje... płukanie żołądka...

transfuzje i fluktuacje, aberracje i womitacje, a poza tym wytrzeszcze,

mięśaki i gruczolaki, glistnice, dławice i dychawice, nie mówiąc o

zapaściach i zgorzelach.

Słuchałem zaskoczony.

— *Nie myślałem, że cię to aż tak interesuje...*

— *Interesuje mnie* — przerwał spiesznie Gnat — *dlatego*

postanowiłem odwiedzać szpital dość często...

— *Tak często jak Adela?* — zapytałem zgryźliwie.

— *Co? Co powiedziałaś?!* — Gnat poczerwieniał.

— *Nie lubię, gdy ktoś gada ze mną jak z dzieckiem. Za kogo tym*

mnie masz! Takie wykręty! Myślisz, że ja nie wiem... Nie chodzi ci o

żadne glistnice i dławice, tylko o Adelę. Dlatego tak się zapaliłeś do

szpitala... i... i chcesz przenikać przez pralnię... Uprzedzam cię... Z tego

będą różne hece, zobaczysz... jeszcze gorsze niż z tym plackiem!

Chciałem jeszcze dosadniej przemówić Gnatowi do rozumu, ale

słowa moje zagłuszył jazgot motoru. Byliśmy na miejscu. To huczały tak

bębny pralnicze. Kobieta w szarym fartuchu zagroziła nam drogę.

— Co wy tutaj?!

— Mamy pranie ekstra, od pana portiera — powiedział przytomnie

Zyzio — chyba sto kilo.

— Jesteście synami pana portiera Zausznego?

— Niezupełnie — wyjaśnił Gnat i zrobił ze swej twarzy księżyc —

jesteśmy tu na praktyce szpitalnej, z ramienia organizacji...

— Ach, tak!

— Czy mamy przyjemność z panią praczką naczelną?

— Pani praczka naczelna kąpie się po praniu — wyjaśniła niewiasta

w

fartuchu

—

lecz

ja

ją

zastępuję,

jestem

starszym

detergento-enzymologiem.

Spojrzeliśmy z szacunkiem na kobietę detergento-enzymologa i

dopiero teraz zauważyliśmy na lewej piersi okrągłą plastikową

etykietkę z napisem: „MGR Siuchta Bożena STARSZY D.E.”

— Nie wiem, czy możemy pani zostawić te brudy... — rzekł zbity z

tropu Gnat.

Jakoś krępowano nas oddać nieczysty toboł w ręce tak utytułowanej i zapewne wysoko kwalifikowanej osoby.

Ale magister Siuchta nie miała żadnych zahamowań.

— Złóżcie bieliznę do skrzyni numer jeden — powiedziała. — Jutro po południu będzie do odebrania.

Złożyliśmy bieliznę, ukłoniliśmy się, a Gnat zrobił na pożegnanie jeszcze raz księżyc. Magister Siuchta uśmiechnęła się i zniknęła za drzwiczkami z napisem: MAGIEL.

Chciałem wracać po schodach tą samą drogą, ale Gnat zatrzymał mnie.

— Po co tam się pchać z powrotem. Zobacz, tu jest przecież osobne wyjście.

Istotnie, tylko kilka schodów prowadziło do wyjścia w bocznym skrzydle szpitala. Gdy znaleźliśmy się na podwórzu, obejrzeliliśmy się.

Nad drzwiami, które przed chwilą przeniknęliśmy, był napis: „Wejście służbowe. Nie upoważnionym wstęp wzbroniony”.

— Zdaje się, że opuściliśmy szpital nielegalnie i w sposób niedozwolony — zauważyłem.

— Nie sądzę — odparł Zyzio. — Po pierwsze, wzbroniony jest tylko wstęp, czyli wejście, a nie wyjście, po drugie, myślę że z racji naszych prac szpitalnych jesteśmy upoważnieni... — urwał, bo rozległ się zgrzyt żelaznej bramy. — Zamykają! Bierz wózek i zmykaj! — rzucił do mnie. —

Zaraz, proszę pana — zwrócił się do małego człowieczka w gumiakach,

który pełnił tu widac funkcję dozorczy — niech pan nas jeszcze wypuści!

*Porwałem wózek, dopędziłem Zyzia i szybko przeszliśmy przez
bramę.*

*Aczkolwiek odstawienie wózka na teren Defonsiarni nie zabrało
nam wiele czasu, gdyż Defonsiarnia leżała po drodze, to jednak dopiero
za kwadrans dziewiąta dotarliśmy na ulicę Bolesć, gdzie mieszkał
Zygmunt Gnacki.*

*Ulica Bolesć leżała na obrzeżu Starego Miasta. Niegdyś tętniła
życiem. Tu koncentrował się handel mięsem dostarczonym z pobliskiej
rzeźni, tu także znajdowały się sławne niegdyś restauracje, knajpy i
bary takie jak „Pod Wołem” czy „Cieleca Nóżka” zaopatrzone, prócz
znakomitej kuchni, w bilardy i stoliki do gry w karty, w chińczyka, w
szachy i w domino. Ale jak każda chwała, tak przeminęła i chwała
pijacko-gastronomiczno-mięsna ulicy Bolesć. Starą rzeźnię zamknięto,
zamiast niej rozpoczęły radosną wytwórczość Odrzywolskie Zakłady
Mięsne „Przyszłość”, położone na dalekim przedmieściu. Uciechy
konsumpcyjne i kulturalne rozrywki ukryły się skromnie w nowej
dzielnicy miasta, zwanej Nowym Centrum, zbudowanej na wschód od
Starego Miasta. Ulica Bolesć opustoszała. Opuścili ją ci bardziej prężni
mieszkańcy, a pozostali jedynie emeryci, niedobitki handlarzy,
przekupniów i sklepikarzy, jeden szewc i niejaki Feluś Balon, niegdyś po
prostu śmieciarz, a obecnie dość zamożny przedsiębiorca skupu
odpadków użytkowych i surowców wtórnych. To byli stali mieszkańcy.
Prócz nich, ulica Bolesć była teraz ulubionym schronieniem różnych*

niebieskich

ptaszków

oraz

meliną

odrzywolskich

pasożytów,

złodziejasków, oszustów, cinkciarzy i innych mętów. Bałem się przychodzić tędy wieczorem. Przerazająca była panująca tu cisza, przerywana tylko od czasu do czasu czyimś rozpaczliwym krzykiem, plugawą klątwą czy diabelskim śmiechem. W na pół zrujnowanych bramach stali z niedopałkami w zębach podejrzani osobnicy, czekający nie wiadomo na co i na kogo. Zdawało mi się, że się czają... a któryś z nich czai się właśnie na mnie.

Tym bardziej zdumiał mnie autentyczny ruch i hałas, jaki tego wieczoru panował na tej uliczce, zwykle pogrążonej w sennym odrętwieniu. Z trudem przeciskaliśmy się przez ciżbę zaciekawionych ludzi. Już z daleka słyszać było zawodzenie kobiet, ostre głosy mężczyzn, rzucone głośno komendy oraz... jęk syreny strażackiej.

Popatrzyłem wystraszony na Zyzia. Zyzio, o dziwo, zdradzał nader mało niepokoju. Można było przypuścić, że te zjawiska nie zaskoczyły go bynajmniej, że był i na nie przygotowany.

— To chyba pożar — wyjąkałem.

— Tak — odparł spokojnie — założę się, że to pożar w naszym domu.

— Myślisz, że to właśnie z powodu... tego... tego...

— *Tak, z powodu placeka.*

— *Śmieszny jesteś — wykrztusiłem. — Czy od placeka w piecu mógłby się zapalić dom?!*

— *Tomciu, nie znasz złośliwości losu. Poza tym nie bierzesz pod uwagę, że to był mój dom i mój placek — Gnat uśmiechnął się wisielczo.*

— *Komuś innemu to by się na pewno nie przytrafiło, ale ja jestem na specjalnych prawach natury, jak już zdążyłeś chyba zauważyć.*

— *Owszem, ale... — nie dokończyłem, bo w tej samej chwili z ogłuszającym rykiem syreny przejechał tuż koło nas czerwony wóz strażacki, używany dotychczas tylko do defilad, zupełnie nowy cud techniki. Był to jego chrzest bojowy. Czyżby sytuacja była aż tak poważna?*

— *Zapytaj, Tomciu, czy są jakieś ofiary w ludziach — zamruczał z kamienną twarzą Gnat.*

Przecisnąłem się energicznie do przodu i zasięgnąłem informacji u najbardziej kompetentnie wyglądającego gapia.

— *Jest pożar w mieszkaniu Gnackich, tych, co prowadzą kiosk na stacji. Czy kogoś zabiło, nie wiem...*

— *Ale wybuch był — dodał drugi z gapiów. — Okno wysadziło.*

— *Smród straszny poszedł — dodała kobiecina w chustce. — To nie był zwyczajny wybuch...*

— *Ani zwyczajny wybuch, ani zwyczajny pożar!*

— *Podobno zapaliły się butelki z pastą do podłogi... mieli całe skrzynie butelek ukradzionych z kiosku...*

— *Co też pani!* — *wykrzyknąłem wzburzony.* — *Ja znam Gnackich, to są uczciwi ludzie!*

— *Widać, że twoje koleżki, skoro ich tak bronisz* — *uśmiechnął się krzywo osobnik ze szramą na policzku i z podwiązaną szczęką* — *ale fakt, że były wybuchy. Takie wybuchy, że ludzie z łóżek wyskakiwali. Zobacz, niektórzy są jeszcze w koszulach i w bieliźnie. Istotnie, dopiero teraz zauważyłem, że część publiczności jest niekompletnie ubrana, a niektórzy półnaczy...*

— *Ja sam, chociaż zęby mnie bolą, wyskoczyłem z łóżka* — *oświadczył osobnik ze szramą.* — *Odlamek szyby uderzył w moje okno. Ja wam mówię, to nie były wybuchy butelek z pastą... To były wybuchy puszek aerozolu. Musieli nakraść i zmagazynować sporo lakierów do włosów, dezodorantów i perfum!*

— *Nieprawda! Nieprawda!* — *wykrzyknąłem, ale szczerze mówiąc, sam byłem zdezorientowany. Z mieszkania Gnackich biły kłęby dymu. Czy placek, choćby największy, zostawiony za długo w piecu mógłby tak dymić straszliwie... i wybuchać w dodatku? Nie, to niemożliwe. A jednak dymiło i wybuchało...*

Wróciłem do Zyzia i opowiedziałem mu, co ludzie mówią. Zniósł mężnie i te wieści.

— *Co o tym myślisz?* — *zapytałem.*

Zastanowił się chwilę.

— *Myślę, że włączył się nowy czynnik* — *powiedział.*

— *Jaki czynnik?*

— *Moja druga siostra, Aśka — powiedział ponuro Gnat. — Ona chowa przed mamą różne zakazane rzeczy po kątach... Pewnie tym razem schowała coś do pieca. W piecu tak rzadko się pali, a już zupełnie się nie piecze niczego w piekarniku, więc mogła użyć go za schowek...*

— *Ale czego?*

— *Zaraz się dowiemy — powiedział Zyzio. — Ona powinna tu być w pobliżu. Pewnie ze strachu uciekła do sąsiadki pod piątym.*

Numer piąty był niedaleko. Piętrowa kamieniczka z pootwieranymi oknami,

a

w

każdym

pełno

zaciekawionych

ludzi.

Zyzio

bezceremonialnie zajrzał do okna na parterze i zapytał:

— *Czy jest tam nasza Aśka?*

— *Czego chcesz? — w oknie ukazała się ruda głowa dziewczynki.*

— *Aśka, wychodź, muszę z tobą pomówić w ważnej sprawie —*

powiedział Gnat, a widząc, że dziewczynisko się waha, dorzucił: —

Chodzi o twoją głowę.

Aśka wyszła. Poszliśmy za róg domu, żeby można było mówić bez skrępowania.

— *Jeśli myślisz, że to ja napaliłam w piecu, to nieprawda... ja nic nie wiem* — *wykrztusiła przerażona Aśka.*

— *Nie myślę* — *powiedział Gnat.*

— *To dobrze... bo bałam się...*

— *Niezupełnie dobrze* — *powiedział Gnat.* — *Wprawdzie nie ty napaliłaś, ale ty coś schowałaś do pieca... i przez ciebie ten dym i ten pożar...*

— *Ależ ja nic...*

— *Kłamiesz! Mów, co tam schowałaś tym razem? Benzynę! Lakier w aerozolu?*

— *Jaki lakier! Ja naprawdę nic...*

— *Musiałaś coś schować. Samo by nie wybuchło! Mów szybko, bo powiem mamie, że znów chodziłaś z przyprawionymi rżęsami po alei w parku i wywracałaś oczami... bardzo podmalowanymi, tak trupio i sino...*

— *Wcale nie trupio, ty się nie znasz.*

— *Przekonaj naszą mamę* — *zarzął złośliwie Gnat.*

— *Zyziu, nie bądź świnią, błagam cię...*

— *Nic nie powiem, ale przyznaj się, co tam schowałaś!*

— *Tylko... małe pudełko... tekturowe pudełko po butach.*

— *Co było w tym pudełku?*

— *Nic... nic specjalnego... kosmetyki i...*

— *I co?*

— *I peruka... mama mi stale konfiskuje, więc schowałam... ale czy*

peruka może wybuchnąć? Sam powiedz...

— Nie może... Ale po co ci, do licha, peruka...

— Jakbyś miał takie okropne rude włosy jak ja, to byś nie pytał!

— Twoje włosy wcale nie są okropne — powiedział Gnat. — Głupia jesteś. Przecież Adela ma prawie takie same, a wszyscy zachwycają się Adelą Wigor, nawet Tomcio — spojrzał na mnie złośliwie.

— Mną się nikt nie zachwyca... — otarła oczy Aśka. — Jeśli włosy nie mają znaczenia, to dlaczego nikt się mną nie zachwyca?

Zyzio chrząknął zakłopotany.

— Nie wiem... — warknął — spytaj Adeli.

Za plecami Aśki mignęła mała, zwinna postać.

— Dudek?! — krzyknął Gnat. — Czemu się tak czaisz... Chodź no tutaj! Wygląda na to, że masz nieczyste sumienie — przyglądał się podejrzliwie młodszemu bratu.

Dudek strzygł oczami na boki i kombinował, jak by uciec, ale Zyzio przytrzymał go mocno za ramię.

— Będziesz przesłuchany — powiedział. — Mów, co schowałeś do pieca!

— Ja nic nie wiem...

— Łżesz!

— Jak mamę kocham... Nie mam nic wspólnego z piecem... nigdy nic nie chowałem do pieca. Ostatnim razem też!

— A gdzie chowałeś?

— Do pudelka.

— *Do jakiego pudełka?*

— *Do pudełka Aśki, ono było za szafą, słowo daję.*

— *Rozumiem, ale miałeś nieszczęście, że Aśka przeniosła potem pudełko do piekarnika.*

— *Bałam się, że mama znajdzie za szafą, bo właśnie robiła wiosenne porządki — wyjaśniła Aśka.*

— *Pozostaje tylko stwierdzić, co schowałeś do pudełka Aśki?*

— *Moje wynalazki — odpowiedział wystraszony Dudek.*

— *Wynalazki? Czy surowce do wynalazków?*

— *Surowce.*

— *Co tam było?*

— *Wszystkiego po trochu, i proch z nabojów myśliwskich, i kapiszony od pistoletów kowbojskich, i to, co wydlubałem z pocisków do korkowców.*

— *Znakomicie! I co chciałeś skonstruować?*

— *Bombę — wyznał szczerze Dudek.*

— *Poniekąd ci się udało — rzekł smętnie Zyzio.*

— *Ja też tak myślę.*

— *Uznaję twoje manie wynalazcze — powiedział Zyzio — ale z tą bombą to już przeholowałeś... I musiałeś, do licha, trzymać to wszystko w domu?*

— *Musiałem, bo jak trzymałem w piwnicy, to mama mi skonfiskowała wszystkie kapiszony i korki. Powiedziała, że nie wolno mi strzelać przez pół roku, za karę.*

— *Pewnie za to, że znów przestraszyłeś dziadka Czekota.*

— *Nie, za to, że znów miałem robaki.*

— *Robaki?*

— *W pudełku, i mama mówi, że się rozeszły po domu.*

— *Czy musisz wciąż z tymi robakami? — Gnat spojrział na brata ze wstrętem.*

— *Muszę — odparł Dudek.*

— *Dlaczego?*

— *Ja to lubię — wyznał ponuro.*

— *Zdaje się, że wyjaśniliśmy sprawę — powiedział Zyzio.*

— *Co z nami będzie — zmartwił się Dudek.*

— *Nic nie będzie — powiedział bohatercko Zyzio. — Wróćcie do domu i powiecie, że to ja piekłem placek i że ten placek mi wybuchł z niewiadomych powodów. Mama ucieszy się, że wybuchł jeszcze w piecu, a nie na stole w czasie jedzenia. To byłoby znacznie gorsze.*

— *My nie możemy... — Dudek przetknął ślinkę przez ściśnięte gardło*

— *to by ciebie pogrzyżyło... Twój los byłby straszny... My nie możemy tak powiedzieć.*

— *My nie możemy — pisnęła słabo Aśka.*

— *To ładnie, że macie szlachetne opory, ale musicie tak powiedzieć.*

Ja wam tak każę i nie ma gadania. A o mnie się nie martwcie. Dam sobie radę. Do jutra, cześć! No, smarujcie do domu! Już! — Zyzio obrócił się na pięcie.

Rozdział VII

Myślałem, że Zyzio wycofa się teraz z ulicy Bolesć, ale on przebił się przez tłum gapiów do karetki pogotowia i bezceremonialnie zajrzał do środka. Dwóch znudzonych sanitariuszy grało w karty. Żadnego pacjenta nie było.

— Panowie nie pracują? — zapytał Zyzio niemile zaskoczony.

— Lekarz poszedł porozmawiać ze strażakami. Jak dotąd, nikogo nie wynieśli... — odparł sanitariusz niższy, ten, który miał bardziej znudzoną minę.

— Nikogo nie wynieśli?! — powtórzył Zyzio wciąż jeszcze z kamienną twarzą, ale jakimś zachrypłym, jakby o pół tonu niższym głosem. — Czy to znaczy, że... że już za późno? Że nie ma już kogo ratować?

— Tego to my nie wiemy — ziewnął sanitariusz — a ty nas nie nudź, kolego, bo i tak już jesteśmy znudzeni.

Zyzio chciał coś powiedzieć na ten temat dosadnego, ale pociągnąłem go za rękaw, bo w tym właśnie momencie tłum zakotłosał się nerwowo i okrążył wóz pożarny, do którego strażacy pakowali nawinięte na bębny węże.

— Jak to? Panowie już odjeżdżają? — oburzył się roztrzęsiony obywatel w koszuli nocnej — przecież taki pożar!

— Co to za pożar — machnął rękę strażak w okularach — dużo huk, mało ognia!

— Jak to, przecież tyle dymu i ofiary...

— *Pan sam jesteś ofiarą — powiedział strażak.*

— *Co?*

— *Ofiarą paniki, niezdrowej ciekawości i plotki. Idź pan do łóżka i śpij!*

— *Coś pan taki sufragan!*

— *Ja?! Sufragan??? — oburzał się strażak. — Pan obraża funkcjonariusza na służbie. I zakłóca ciszę nocną!*

— *Pan mnie nie będzie pouczał, co ja mam robić w nocy. Jak przyjdzie mi ochota popatrzeć na ogień, to ja popatrzę!*

— *Pewnie! — poparł obrońcę swobód mężczyzna z przewiazaną szczęką.*

— *Trzeba zrozumieć ludzi! Ludzie szukają silnych wrażeń.*

— *To niech idą do kina, a nie przeszkadzają w pracy — strażak zakręcił hydrant uliczny.*

— *Kino u nas nieczynne — jęknął emeryt w koszuli nocnej.*

— *Remont?*

— *Ogólna dezynsekcja i dezynfekcja, oraz wymiana kierownika i krzesel.*

— *To powinniście patrzeć w telewizory. — Strażak spojrział surowo na gapiów. — Patrzeć w telewizory, a nie pętać się tutaj! Pożar to nasza sprawa, my jesteśmy od pożaru!*

— *Pan nie ma prawa przywłaszczać sobie pożaru tylko z tego powodu, że pan jesteś strażak — zaprotestował mężczyzna z przewiazaną szczęką. — Pożar jest naszą wspólną własnością!*

— *Nikt nie ma prawa przywłaszczać sobie pożaru!* — zakrzyknęli chórem emeryci, pokątni handlarze, półślepi krawcy, garbaty szewc oraz inni, mniej czcigodni mieszkańcy ulicy Bolesć, łącznie z niebieskimi ptaszkami i dziwnymi typami czającymi się w bramach.

Ale gniewny strażak już nie słuchał. Wskoczył do czerwonego wozu i wóz odjechał zostawiając smutnych i wyraźnie zawiedzionych gapiów.

Niektórzy z nich nie chcieli wciąż jeszcze uwierzyć, że przedstawienie się skończyło,

zaglądali

do

karetki

pogotowia

i

stwierdzali

z

rozczarowaniem, że nikt w środku nie jęczy, a znudzeni sanitariusze wciąż spokojnie grają w karty. Wreszcie wrócił lekarz i oznajmił, że żadnych ofiar nie ma, ani trupów, ani poparzonych, ani nawet zaczadzonych — i karetka odjechała bez pacjentów.

— *No, to możesz już być spokojny — powiedziałem.*

Zyzio skinął głową. Dopiero teraz, w świetle reflektora odjeżdżającej karetki zauważyłem, że na pozór kamienna twarz Zyzia cała zroszona była kropelkami potu.

— *Idziemy — powiedziałem — sytuacja się wyjaśniła!*

Otarł mokre czoło i spojrzął na zegarek.

— Tak. Idziemy!

Ruszyliśmy spiesznie. Na rogu przystanąłem, przyszedł mi do głowy pomysł.

— Postuchaj, stary — odezwałem się — po drodze wstąpisz do mnie i przekąsimy cokolwiek.

Nie zaprotestował.

— Na co miałbyś ochotę? — zapytałem z miną szczodrego fundatora.

— O tej porze mamy już nie ma w kuchni i całe królestwo żarcia jest do mojej dyspozycji, z wyjątkiem skarbów koronnych zamkniętych w sejfie specjalnym.

— Zjadłbym coś ostrego — wyznał Zyzio.

— Zrobi się. Przekąsimy na ostro.

Nakarmiłem Zyzia w kuchni. Korzystając z zapatrzenia mamy w telewizor tudzież z tego, że jej ciało było w dużym pokoju, a jej dusza znacznie dalej, przypuszczalnie w Górach Skalistych lub na Wielkiej Prerii, wyciągnąłem chleb, masło, śmietanę, korniszony, grzybki marynowane i musztardę. Chciałem wyciągnąć jeszcze salceson, ale salcesonu nie było, zapewne znajdował się w sejfie. Musieliśmy więc poprzestać na śledziach w occie i na tych marynatach.

— Od czego zaczniemy? — zapytałem. — Proponuję najpierw mały podkład. Wypijmy po słoiku śmietany.

— Daj spokój, zemdli mnie — skrzywił się Zyzio. — Zacznę od korniszona — i oblizał wargi.

Zabraliśmy się więc do jedzenia, a po tych wszystkich przeżyciach, emocjach i przygodach apetyt mieliśmy wilczy. Wcieliśmy bez trudu sześć śledzi, dwa słoiki marynowanych grzybków i słoje korniszonów, nie licząc dodatków prozaicznych w postaci bochenka chleba i ćwiartki masła. Potem pić nam się zachciało. Woda na herbatę nie była zagotowana, było natomiast gorące mleko, więc żeby było szybciej i bardziej wykwintnie, zrobiłem wspaniałe, „masywne”, jak się wyraził Zyzio, kakao. Nie żałowałem proszku ani cukru, aż przybrało konsystencję wulkanicznej lawy.

Po wypiciu trzech szklanek pożywnego napoju Zyzio zaczął zdradzać dziwny niepokój i nastąpiło u niego niezrozumiałe rozregulowanie twarzy. Raz robił z siebie „księżyc”, to znowu „żabę”, i tak na przemian. To było denerwujące.

— Co ci jest? — zapytałem wreszcie.

— Źle się czuję — oznajmił.

— To dlatego, że nie miałeś podkładu — stwierdziłem.

— Głupi jesteś, po śmietanie mdliłoby mnie jeszcze bardziej. Ty mnie struleś — powiedział wbijając we mnie ciężki wzrok.

— Coś ty...

— Nigdy mnie nie lubieś — rzekł ponuro — umyślnie mnie tu zwabiłeś, aby mnie otruć.

Spojrzałem na Zyzia z troską.

— Ty jesteś naprawdę chory... Kto widział mówić takie rzeczy?

— Ja chyba umrę... — jęknął Gnat. — Przysięgnij, że mnie nie

otruteś.

— Przysięgam — powiedziałem, ale nie uspokoilo to Zyzia.

— W takim razie śledzie widać były nieświeże albo te grzyby trujące.

— Wykluczone, przecież ja też jadłem i nic...

— Zjadłeś dwa razy mniej.

— Ależ zapewniam cię... te śledzie są zupełnie świeże, a grzyby gwarantowane.

— To co mi jest?

— Po prostu nawala ci wątroba.

— Wątroba? — Zyzio wytrzeszczył oczy. Jakby po raz pierwszy dowiedział się, że ma coś takiego w sobie.

— Nawala ci ze zmartwień, jak naszej cioci Jance, którą porzucił już czwarty narzeczony.

Gnat uspokoił się trochę.

— Może masz rację. To ze zmartwień. I co będzie teraz?

— Nie martw się. Dam ci lekarstwo.

Pobiegłem do łazienki i wyciągnąłem z apteczki plastikowy worek ze specyfikami, które zwykle zażywa ciocia Janka po kolejnym zmartwieniu. Był to zestaw imponujący. Istny arsenał: krople, pastylki, proszki i syropy. Wysypałem je na stół przed Gnatem.

Zyzio spojrzał na nie z podziwem i z lękiem zarazem.

— Coś z tego powinno ci pomóc — oświadczyłem z głębokim przekonaniem. — Nie mamy niestety czasu na rozważania, co by

najbardziej skutkowało w twoim stanie, proponuję żebyś zażył

wszystkiego po trochu.

— *Czy nie zaszkodzi mi? — Zyzio wciąż zezował niepewnie w stronę sterty leków.*

— *Spokojna głowa. Ciocia Janka wszystkie wypróbowała.*

— *I pomaga jej?*

— *Natychmiast. Już w pięć minut po zażyciu ciocia Janka nabiera ochoty do życia i idzie tańczyć do dyskoteki „Czar”.*

— *Z jakimś skutkiem? — zainteresował się Zyzio.*

— *Z dość realnym. Nazajutrz przyprowadza nam nowego narzeczonego. Sam więc widzisz... to pomaga.*

— *Ale nie wiem, czy mnie pomoże... prawdopodobnie twoja ciotka ma jakieś specjalne dyspozycje psychiczne...*

— *Nie mądrz się — zgasilem go. — Musisz zażyć, bo się robisz coraz bardziej zielony. Czy chcesz, żebym pokazał cię mamie i poprosił, aby wykurowała cię po swojemu... Mama ma tradycyjne sposoby...*

— *Nie... Nie... już wolę to! — przestraszył się Gnat. Spojrzał w lusterko i zaniepokojony nie na żarty tym, co zobaczył, bez sprzeciwu zażył większość przedstawionych mu specyfików. Skutek istotnie był natychmiastowy. Przykra zielona barwa twarzy ustąpiła miejsca szlachetnej bledości. W oczach Zyzia pojawiło się głębokie zdumienie, a jego głowa zaczęła wykonywać niezrozumiałe dla mnie ruchy wahadłowe.*

— *Jak się czujesz? — zapytałem niepewnie.*

— *Do... doskonale, ale po co tak krążysz, Tomciu?! — odparł*

bulgoczącym głosem.

— *Ja krążę?! Coś ty! Ja tkwię.*

— *Krążysz — upierał się Zyzio — razem z krzesłem i całą kuchnią.*

Jesteś na orbicie.

— *Masz złudzenia przedkopernikowskie — powiedziałem. —*

Zastanów się, czy to jest możliwe, żeby wszystko krążyło wokół ciebie?

— *Chyba nie... ale w takim razie, jeśli ty tkwisz, to ja krążę.*

— *Niezupełnie. Na razie kiwa ci się tylko głowa. Masz zaburzenia,*

ale nie bój się...

— *Boję się. Jestem... jak na huśtawce.*

— *To chyba przyjemniejsze.*

— *Dosyć, ale się boję, że spadnę.*

— *Słuchaj, stary — odchrząknąłem — chyba sam rozumiesz, że w tej*

sytuacji... No, co tu dużo gadać... nie jesteś w formie. Proponuję, żebyś

się przespał u mnie...

— *Spać?! Dajże spokój... nie ma mowy! Coś tańczy we mnie! —*

bulgotał Zyzio coraz bardziej ożywiony.

— *Tańczy?! —*

— *Chodźmy do dyskoteki „Czar” — zaproponował nagle.*

Zrozumiałem, że z Gnatem jest całkiem niedobrze.

— *Musisz się natychmiast położyć — powiedziałem i chciałem go*

dźwignąć z krzesła.

— *Zaraz, chwileczkę — zasapał. — Zażyję jeszcze jedną porcję i będę*

znowu na chodzie — sięgnął po specyfiki cioci Janki.

Ale ja byłem szybszy. Ściągnąłem Zyzia z krzesła i podstawiłem mu głowę pod kran.

— Potrzyмай chwilę — powiedziałem — to ci lepiej pomoże niż lekarstwa.

Zostawiwszy Zyzia pod kranem, spiesznie sprzątnąłem resztę jedzenia i zatarłem z grubsza ślady libacji. Należało się spieszyć, bo z dużego pokoju przestały już dochodzić telewizyjne dźwięki. Mama wyłączyła odbiornik. Lada chwila mogła zjawić się w kuchni.

— Wytrzymaj łeb — powiedziałem do Zyzia podchodząc z ręcznikiem.

Wytarł posłusznie.

— A teraz idziemy do mojego pokoju. Odpoczniesz sobie trochę.

— Co?! Ani mi się śni! Idę do szpitala...

*Próbował się wyrwać, przez chwilę szamotaliśmy się gwałtownie, aż się potracony stółek przewrócił i narobił hałasu. Usłyszałem kroki mamy. Puściłem Zyzia, gorączkowo zebrałem rozrzucone lekarstwa, wepchnąłem je do najbliższego garnka i nakryłem pokrywką. Udało się. Gdy mama weszła, stół był już zupełnie pusty. Tylko ten Zyzio... To była
zupełna*

rozpacz.

Rozczochrany,

chwiejący

się

na

nogach,

półprzutomny. Mama wytrzeszczyła oczy.

— Jak ty wyglądasz, Zyziu?! Piliście alkohol? — spojrzała na mnie podejrzliwie.

— Co też mama — rzekłem tonem obrażonej godności. — Piliśmy kakao na mleku.

Mama zajrzała do zlewozmywaka. Dwa kubki z widocznymi śladami napoju uspokoiły ją nieco.

— To co z tobą, Zyziu? — zapytała z troską. — Chory jesteś?

— On tak wygląda ze zmartwienia, mamo — powiedziałem szybko.

— Mama nic nie wie, co się stało?

— Nie... a co niby?

— Był pożar... Na ulicy Bolesć. Gnackim spaliło się mieszkanie...

Dwie sekcje strażackie gasiły... Co tam się wyrabiało!

— Biedne dziecko — wykrztusiła mama.

— On nie ma gdzie spać. Łóżko mu spłonęło... Czy mama zgodzi się, żeby tę noc spał ze mną... — wyrąbałem spiesznie.

— Ależ oczywiście... Zaraz ci pościelę, moje dziecko.

— Nie... nie! — Zyzio zakręcił się nerwowo. — Ja bardzo dziękuję, ale już mam spanie gdzie indziej... Muszę iść... Bardzo dziękuję i przepraszam. Muszę iść — rzucił się na chwiejnych nogach do wyjścia.

— Odprowadzę go! Zaraz wrócę — powiedziałem do mamy i wybiegłem za nim.

— Z ciebie jest lepszy wariat — powiedziałem, gdy dopędziłem go na

schodach.

— Nie, Tomciu, to konieczne — wybelkotał.

— Czy zastanowiłeś się dobrze?

— Tak, jeszcze przedtem, gdy czułem się zdrowy. Zresztą przyrzekłem Wojtkowi, a ta heca z pożarem utwierdziła mnie tylko w decyzji... tak będzie dla wszystkich lepiej, także dla moich starych, a szczególnie dla mamy... To jedyny sposób na zakończenie tej awantury i na uspokojenie ogólne...

— Uspokojenie?! Kpisz sobie chyba?!

— Nie...

— Skoro nie wrócisz na noc, rodzice będą się martwić... szaleć z niepokoju...

— Szaleć? — Gnat uśmiechnął się gorzko. — O, nie, to do nich niepodobne. Szaleliby, gdyby nie wiedzieli, ale Aśka i Dudek im doniosą, że to ja zrobiłem pożar, więc od razu pomyślą, że schowałem się gdzieś ze strachu, ale nie będą się martwić o mnie, nie, będą tylko źli na mnie... Rozumiesz więc, że ja w tym stanie rzeczy nie mogę wrócić... zanim nie przygotuję gruntu... i ty mi w tym pomożesz.

— Ja?

— Jutro zadzwonisz do nich z samego rana, to znaczy zadzwonisz na stację, do ich kiosku i powiesz, że miałem mały wypadek i jestem w szpitalu. Możesz zresztą użyć słowa „przypadek”, to zabrzmie silnie i będzie w dodatku całkiem prawdziwe. I powiesz, że mogą mnie odwiedzić o dziesiątej, że będę na nich czekać przy budce portiera w

poczekalni... To na nich zrobi wrażenie. To jedyny sposób na mamę.

Mały wstrząs... Tylko w ten sposób mogę uzyskać przebaczenie. A może ty wymyślisz coś lepszego?

Milczałem przez chwilę, ale nic nie mogłem wymyślić.

— Dobra, mogę to zrobić dla ciebie, ale zastanów się... —

powiedziałem — to niebezpieczna gra... Mam złe przeczucia... Zresztą od godziny wpół do dziewiątej brama w ogrodzeniu jest zamknięta. Sam widziałeś, jak zamykali, żelazna brama, wysokie ogrodzenie, jak przejdziesz?

— Podsadzisz mnie. Przejdę przez parkan — powiedział Gnat. — Albo nie — dodał po chwili — mam lepszy pomysł!

— Jaki?

— Ostry dyżur. Zapomniałeś? Oni tam mają dziś ostry dyżur i przyjmują wszystkie nagłe wypadki z miasta... Powiesz odźwiernemu w bramie, że przyprowadziłeś mnie, bo sobie złamałem rękę... Czy masz jeszcze kawałek bandaża...

— Bandaż?

— No tego, którym byliśmy związani przez Defonsiaków...

Widziałem, jak po uwolnieniu chowałeś go do kieszeni.

Istotnie, namacałem w kieszeni kłębek bandaża. Wyciągnąłem go, zabandażowałem lewą rękę Gnata i zawiesiłem ją na temblaku.

Pięć minut potem byliśmy pod bramą szpitala. Zadzwoniliśmy energicznie. Dozorca wyjrzał z budki.

— Na ostry dyżur, z ręką — powiedziałem.

Dozorca spojrział na nas uważnie, ale nim zdążyłem coś powiedzieć, zostaliśmy odepchnięci przez zadyszanego człowieczka z wielką podniszczoną walizą w ręku.

— Ja byłem pierwszy...

— O co chodzi? — zapytał odźwierny.

— Mam ostry atak woreczka żółciowego, pan łaskawie mnie szybko wpuści.

— A ta waliza?

— Jestem przyjezdny... Właśnie dźwigałem walizkę i widocznie się naderwałem, to znaczy, naderwałem sobie woreczek żółciowy.

— Naderwał pan?

— To znaczy podrażniłem.

— To samo ja — powiedział jegomość wielkiej tuszy, który wynurzył się nagle z cienia, dźwigając zupełnie podobną walizę.

— I ja! — jęknął chudy osobnik, który nadciągnął właśnie z pękatym tobołem na plecach.

— Jak to? — zdziwił się odźwierny. — Panowie wszyscy z woreczkami żółciowymi i z bagażem?

Pacjenci spojrzeli na swoje bagaże, a potem na bagaże towarzyszy niedoli i zmieszali się nieco.

— Ja niezupełnie z woreczkiem — wyjaśnił wstydliwie jegomość wielkiej tuszy — raczej z kamieniem.

— Z kamieniem? — odźwierny łypnął na niego nieufnym wzrokiem.

— Z kamieniem nerkowym — wyjaśnił zbolatym głosem grubas.

— *A ja z oberwaniem żołądka — zasapał chudy osobnik z tobółem. —*

Gdy dźwignąłem ten tobół, to dostałem bólu w sobie i straciłem apetyt...

— *Panowie są przyjezdni — powiedział odźwierny.*

— *Tak, jesteśmy przyjezdni.*

— *To trzeba od razu tak mówić, jesteście przyjezdni i chorzy.*

— *Jesteśmy przyjezdni i chorzy — powtórzyli pacjenci, po czym, wszyscy trzej zaczęli dziwnie mrugać jednym okiem.*

Odźwierny popatrzył na nich ze zrozumieniem.

— *Chwileczkę, panowie będą wpuszczeni, ale najpierw wpuścimy dzieci — powiedział. — Dzieci są naszą przyszłością — dodał sentencjonalnie, po czym uchylił bramę i wpuścił nas na teren szpitala uśmiechając się życzliwie pod długim czarnym wąsem.*

— *Czy ja was dzisiaj tu nie widziałem? — zreflektował się nagle i uśmiech zgasł mu na twarzy.*

Ale my udaliśmy, że nie słyszymy i spieszonym krokiem ruszyliśmy w stronę budynku szpitala. Gdy skrył nas cień rozłożystej lipy, Zyzio obejrzał się. Ja też się obejrzałem. Portier wpuszczał właśnie pierwszego pacjenta z walizką.

— *Nie podobają mi się te typy — mruknął Zyzio.*

— *Mnie też.*

— *Oni chyba kłamią — szepnął.*

— *Ale po co?*

— *Chcą się przedostać bezprawnie do szpitala.*

— *Tak jak my — zauważyłem cicho.*

Zyzio nastroszył się.

— No, no też mi porównanie. Chyba jest jakaś różnica. Ja mam powód, dwa powody! Co ja mówię: trzy powody! Zasadnicze i chyba ważne.

Chrząknąłem pod nosem. Nie byłem wcale pewien, czy nawet sto zasadniczych i ważnych powodów może usprawiedliwić oszustwo.

Muszę się kiedyś nad tym zastanowić. W tej chwili nie było na to czasu, bo Zyzio trącił mnie łokciem.

— Idziemy!

Oczywiście, zamiast do głównego wejścia, skręciliśmy od razu w lewo do znanego nam wejścia służbowego, które prowadziło do pralni.

Niestety, przeliczyliśmy się w rachubach. Drzwi były zamknięte na klucz.

— Za późno — powiedział Gnat.

Rozdział VIII

ZYZIO — PACJENT NIELEGALNY [\[top\]](#)

Spojrzałem z niejaką ulgą na zamknięte drzwi szpitalnej pralni.

Szczerze mówiąc, wcale mnie nie zmartwiło, że są zamknięte. Od początku nie podobała mi się ta cała szaleńcza wyprawa Zyzia. Nie wierzyłem w jej powodzenie. Miałem złe przeczucia.

— Wracamy? — zapytałem nie patrząc Zyziovi w oczy.

— Nie — uciął krótko.

No tak, mogłem się tego spodziewać. Przemądrzały Organizator

Czynności Zbędnych i Niezrównany Komplikator, Jego Znakomitość

Pan Gnacki nigdy nie przyznaje się do porażki. To nie leży w jego charakterze. Głupia ambicja mu nie pozwala myśleć o jakiegokolwiek kapitulacji...

— Więc co chcesz zrobić? — zapytałem ponuro.

— Schowajmy się na razie — odparł ściszym głosem i pociągnął mnie w kierunku pobliskich krzaków cisu.

— Po co mamy się chować? — zapytałem wchodząc w zarośla.

— Chcesz sterczeć na widoku? Skoro musimy zaczekać...

— Zaczekać?! Na co niby?...

Zyzio wskazał na oświetlone okno sutereny.

— Nie widzisz? Zobacz! Te praczki są bardzo pracowite. One jeszcze tam są... i piorą. A jeśli tak, to jest szansa, że ktoś będzie wychodził stamtąd czy wchodził... Nawet już domyślam się, kto wejdzie.

— Kto?

Ale Zyzio syknął, żebym był cicho, i zatkał mi usta ręką, bo właśnie w tej samej chwili rozległ się chrzęst żwiru na ścieżce. Zbliżał się w naszą stronę, sapiąc głośno, ów mały człowieczek z walizką, którego widzieliśmy przy bramie, a za nim ów grubas z bagażem, i wreszcie — ten wysoki osobnik z tobołem.

— Więc to tak... — wykrztusiłem, ale Zyzio dał mi znak, żebym był cicho. Umilkłem więc i obserwowałem w ciszy i napięciu.

Wszyscy trzej panowie skierowali się bez namysłu do drzwi pralni, widać nie pierwszy raz tu się zjawili, zastukali trzy razy, odetchnęli i otarli spocone czoła. W chwilę później rozległ się zgrzyt odsuwanej

zasuwę. Drzwi otworzyły się. Panowie dźwignęli na nowo swój ciężar i weszli do środka.

— Teraz my — szepnął Zyzio i wychylił się z zarośli. — Chodź, przenikniemy bez trudu. Drzwi nie zostały zamknięte na zasuwę.

Podeszliśmy cicho do drzwi. Zyzio uchylił je ostrożnie, zajrzał, a potem dał mi znak, że można przeniknąć. Przeniknęliśmy.

Od razu ogarnęła nas gęsta atmosfera pralni, wilgotne wyziewy, drażniący odór detergentów i słodkawy zapach krochmalu...

Znajdowaliśmy się w słabo oświetlonym korytarzu. Na prawo buczały motory bębnow pralniczych, dalej, przez nie domknięte drzwi widzieliśmy naszych znajomych osobników, pochylonych nad otwartymi walizkami. Pani magister Siuchta siedziała obok na krześle i notowała w swej pralniczej księdze.

Korzystając z zajęcia praczek sprawami służbowymi, bezpiecznie sforsowaliśmy korytarz i dotarliśmy do windy.

— Najgorsze mamy za sobą — szepnął Zyzio z błyszczącymi oczami.

— Teraz do góry!

Pojechaliśmy na drugie piętro.

— Nie muszę chyba odprowadzać cię dalej — powiedziałem — tu się pożegnamy.

— Odprowadzisz mnie do samego Wojtka — wycedził Zyzio — czuję się fatalnie...

— Nie widać tego po tobie.

— Staram się panować nad sobą, ale tak naprawdę to mi się troi w

oczach... Musisz być ze mną do końca... aż... aż się położę. Właściwie, to jestem naprawdę chory...

— No, no... nie przesadzaj, kolacja u mnie nie mogła ci tak zaszkodzić ani te niewinne pastylki, to przecież były lekarstwa.

— Głupi jesteś.

— Czy lekarstwa mogą zaszkodzić?

— Pewnie, że mogą. Prawie wszystkie leki w nadmiernej dawce są truciznami... Czuję, że jestem zatruty! — jęczał.

— Wiesz co — zasapałem — ty lepiej zamiast do tego Wojtka, idź od razu na izbę przyjęć, niech cię zbadają...

— O, nie, tego by jeszcze brakowało. Nie bój się — spojrzał na mnie półprzytomnym okiem i próbował się uśmiechnąć — zwalczę sam tę chorobę, mam bardzo odporny organizm. Zresztą muszę do Wojtka. Obiecałem. Będziesz mi potrzebny jako forpoczta, czyli awangarda, będziesz szedł przede mną o pięć kroków...

— Awangarda? Po co?

— Dla bezpieczeństwa. Żeby w razie czego ciebie zatrzymali, a ja żebym miał czas prysnąć i gdzieś się schować.

— Więc o to ci chodzi! — mruknąłem z goryczą.

— Głównie o to — przyznał dość bezwstydnie.

— Dobry jesteś. Mam się znowu poświęcać! Który to już raz?

— Ostatni — powiedział Zyzio. — Zrozum, to ja muszę przedostać się do Wojtka, nie ty... Więc ja muszę być chroniony, a ty mi w tym pomożesz, poświęcisz się ostatni raz, potem ja będę poświęcał się za

ciebie.

— Chciałbym

to

zobaczyć

—

powiedziałem

z

głębokim

powątpiewaniem. — Mam już cztery poświęcenia na koncie, a ty nic...

— To dlatego, że ja jestem bardziej aktywny. Jak mam się dla ciebie poświęcać, skoro nie dajesz mi żadnej okazji? Po prostu nic nie robisz.

Wymyśl coś, rób, działaj, a wtedy zobaczysz, czy ci nie pomogę.

Przysięgam, że będę się poświęcał dla ciebie, nadstawiał pierś i w ogóle...

Po takiej deklaracji już nie wypadało się wykręcać. Westchnąłem ciężko, wylazłem z windy i zacząłem niepewnie kroczyć korytarzem szpitalnym jako ta awangarda. Obejrzałem się. Zyzio, krzywo uśmiechnięty, skradał się pięć kroków za mną. Do sali numer 233, gdzie leżał Wojtek, było już tylko jakieś siedem metrów, gdy przyskrzynili mnie. A jednak przyskrzynili mnie! Pech chciał, że akurat z sali 231 wyszedł lekarz w zielonym kitlu, zapewne chirurg, bo chirurgdzy noszą takie kitle, na piersiach miał owalną wizytówkę z czerwonego błyszczącego materiału, pewnie z jedwabiu, z wyhaftowanym białym napisem: „J. Malina”, więc ten chirurg Malina wyszedł i nadział się od

razu na mnie. Obejrzałem się, Zyzio miał dobry refleks i szybko dał nura w pierwsze drzwi, a ja stałem oko w oko z Maliną i drzałem.

— Co ty tu robisz?! — zapytał ostro lekarz. Twarz miał groźną, wcale niepodobną do maliny, raczej już do diabła Mefistofelesa, czarne krzaczaste brwi i czarne wąsy.

Ale ja przestałem się już bać. Zauważyłem bowiem, że z jednej kieszeni fartucha sterczą mu słuchawki, a z drugiej... pluszowy małpiszon, pewnie bawi nim dzieci, które bada, więc nie może być zły... na pewno nie może być zły, a potem zauważyłem, że jego lewy wąs jest biały i że z tym białym wąsem wygląda niesamowicie, równie niesamowicie jak zabawnie... i przyjrzałem się bliżej, i zobaczyłem, że do tego wąsa przyczepił się kawałek waty i dlatego ten wąs wydaje się biały...

Więc kiedy to wszystko zauważyłem, zaraz odzyskałem natchnienie i wstawiłem odpowiednią fabułę.

— Jestem z PCK, panie doktorze — powiedziałem — i wykonuję tu pracę społeczną.

— O tej porze? — Malina spojrzał na mnie z głębokim niedowierzaniem.

Ale jeśli myślał, że mnie spieszy, to mylił się gruntownie, bo ja już poczułem się dobrze w siodle.

— Byłem na opatrunku, panie doktorze, bo był pożar na ulicy

Boleść, pan doktor jeszcze nie wie? To pan doktor zobaczy, jutro będą pisać w gazetach, wybuchło u Gnackich, najpierw piec rozsadziło, a

potem był ogień i poparzyło mnie, panie doktorze, jak wynosiłem

dzieci... nie, nic strasznego... w nogę, język mnie liznął...

— Język?! — Malina słuchał osłupiały.

— Język płomieni — odparłem i galopowałem dalej na pegazie

fantazji. — Na szczęście strażacy już byli z sikawkami i siknęli we mnie,

ale bąble mi wyskoczyły, a poza tym dostałem dreszczy, bo woda była

zimna, więc zanim się przebrałem i przyszedłem na opatrunek, to

zeszło...

— Opatrunki robi się na parterze — zauważył trzeźwo Malina — a tu

jest drugie piętro...

— Bo ja tu szedłem do Wojtka i do Emila Buły, oni mieszkają na

ulicy Bolesć i byli bardzo zdenerwowani, bo widzieli z okna pożar i bali

się, że to u nich się pali, więc pani Buła powiedziała, żebym uspokoił

małego Bułę, że nic się nie stało, ale jeśli pan doktor nie pozwala go

uspokoić, to ja zawracam, mówi się trudno. Powiem pani Bułowej, że

nie było dostępu do Emila Buły i że nie mogłem z nim porozmawiać,

słyszałem tylko, że dostał gorączki ze zdenerwowania i płacze, i nie

wiadomo, co będzie z jutrzejszą operacją...

— Dosyć — przerwał Malina. — Czy musisz tak dużo mówić i tak

głośno?

— Przepraszam, to z tych wszystkich emocji, panie doktorze, miałem

przejścia...

— No, dobrze... już dobrze — Malina poruszył białym wąsem.

Jednak nie myliłem się, był to poczciwy człowiek. — Możesz odwiedzić

*Bule, ale na palcach i cicho, bo chorzy już chcą spać powiedział,
machnął ręką, jakby chciał odegnać natrętną muchę (czyżbym ja był tą
muchą?) i ruszył dalej, ale nagle zatrzymał się znowu, wyciągnął z
kieszeni pluszowego małpiszona, wręczył mi go i powiedział: — Dasz to
Bule!*

*— Tak jest, panie doktorze — porwałem małpiszona i spiesznie
ruszyłem do pokoju 233.*

Przed samymi drzwiami dopędził mnie Zyzio.

— Byłeś wspaniały — szepnął.

— Cicho, bo zlecą się pielęgniarki.

Zyzio umilkł. W milczeniu i na palcach przeniknęliśmy do sali 233.

W pokoju już zgaszono światło, ale mimo to nie było całkiem ciemno.

*Przez okna z alei szpitalnego parku sączyło się światło latarni. Wojtek
nie spał. Leżał z oczami wbitymi w sufit, z szeroko, bardzo szeroko
otwartymi oczami, jak ktoś przerażony śmiertelnie. Dyszał ciężko. Już
na progu słysząc było jego świszczący oddech. Na odgłos kroków uniósł
się na poduszce. Twarz miał zroszoną potem.*

*— Kto to? — wyszeptał patrząc na nas półprzytomnie. — Czy to ty,
Gnacki?*

— To ja — odparł Zyzio.

— Gnat! — Wojtek chwycił go łapczywie za rękę. — Przyszedłeś!

*Przyszedłeś w końcu! Tak się martwiłem... ale wiedziałem, że
przyjdiesz. On śmiał się ze mnie — wskazał na pucolowatego chłopaka
na drugim łóżku. — On mówił, że ty kłamałeś, że ty mnie oszukałeś, ale*

ja wiedziałem, że ty przyjdiesz... Zostaniesz ze mną całą noc, prawda?

Powiedz, zostaniesz ze mną całą noc?

— Spokojna głowa — powiedział Zyzio — po to przecież przyszedłem.

— Tu jest wolne łóżko, po tamtej stronie — sapał malec — możesz tam spać.

Puciołowaty przestał żuć gumę, a jego rudy jeź zjeżył mu jeszcze bardziej.

— Nie wygłupiajcie się — warknął — to jest łóżko mojego brata, Emila. Jego zabrali na obserwację do neurologicznego, bo ma dziwne zaburzenia. Ale on może wrócić w każdej chwili; a ty, Gnat, nie masz prawa tu być. Ty nie jesteś chory.

— On jest chory — powiedziałem — i ma prawo tu leżeć.

— Nie zalewaj, robicie drakę! Prawdziwych chorych przywozi Biała Niemiłosierna na wózku i zawiesza im kartę przy łóżku.

— Gnat ma specjalne prawa — powiedziałem — on jest działaczem szpitalnym.

Buła umilkł zaskoczony.

— Kładź się — powiedziałem do Zyzia.

— Zaraz — mimo poważnej niedyspozycji Zyzio zachował zdumiewającą przytomność umysłu. — Zobacz najpierw, Tomciu, na co choruje ten mały Buła.

Zajrzałem do karty wiszącej przy pustym łóżku. Napisane tam było:

Emil Buła, ur. 10.VII.1970 r. Appendicitis acuta, potem wykres gorączki i jakieś notatki, których nie mogłem odcyfrować.

— *Appendicitis acuta* — powiedziałem głośno.

— *Appendicitis?* — skrzywił się Zyzio. — *Co to jest?*

— *To po łacinie* — odparłem. *Zanim jednak zdołałem coś więcej powiedzieć, rozległ się głos Dużego Buły:*

— *Appendicitis*

acuta

to

jest

ostre

zapalenie

wyrostka

robaczkowego. Mój brat choruje na ślepą kiszkę i będzie miał operację, jak tylko skończą badać te zaburzenia nerwowe i dowiedzą się, dlaczego wciąż pokazuje język i syczy.

— *Wolę się nie kłaść na jego łóżku* — powiedział zde gustowany Zyzio

— *bo jeszcze mnie wezmą na operację i zanim się zorientuję, zrobią mi dziurę w brzuchu. A ty na co chorujesz?* — zapytał Dużego Bułę.

— *Ja mam polipy w nosie* — z abulgotał Buła — *a oprócz tego przelewa mi się w brzuchu.*

— *To chyba mniej niebezpieczne* — powiedział Zyzio i nagle powziął decyzję. — *Splywaj!* — warknął do Buły.

— *Co takiego?!*

— *Będę spał na twoim łóżku* — oznajmił Zyzio — *a ty przeniesiesz się na łóżko brata.*

— *Nie masz prawa!* — *zabulgotał przerażony Buła.*

Ale Zyzio już skinął na mnie.

— *Pomóż się przenieść Bule i zrób mu mały masaż, to go uspokoi. On jest za bardzo nerwowy i jego bulgot mnie drażni.*

Zbliżyłem się do Buły zawijając wolno rękawy. Jak było do przewidzenia, Buła nie wytrzymał tych nacisków psychicznych, wołał nie zadzierać z nami i wyskoczył wystraszony z łóżka.

— *Sam się przeniosę, ale żadnych masaży!* — *zabulgotał.*

— *Dobra, śpij teraz i nie chrap!* — *zarządził Zyzio wyciągając się na wolnym łóżku.*

— *Pójdę już* — *powiedziałem i rzuciłem Zyziowi zabawkę.* — *Weż tego małpiszona, rano dasz go Emilowi i powiesz, że to od doktora Maliny. A swoją drogą* — *ściszyłem głos* — *zastanów się jeszcze raz, co robisz. Z tego może być paskudna afera. Zaczęłeś niebezpieczną grę. Co będzie, gdy rano cię rozpoznają...*

— *Wątpię, czy mnie rozpoznają* — *zamruczał sennie Zyzio.* — *Nie wiem, czy zauważyłeś, że jestem podobny do Dużego Buły, zresztą w szpitalu najważniejsza jest tabliczka... ja wiem... najważniejsze jest, co napisano na tabliczce... na tej tabliczce przy łóżku. Nazywam się teraz Buła... Andrzej Buła, mam polipy w nosie i jestem na obserwacji z powodu dziwnego zachowania się mojego brzucha. Niech ktoś udowodni, że nie jestem Bułą... Pamiętaj, Tomciu, jutro, gdy będziesz rano dzwonił do szpitala, zapytaj o Andrzeja Bułę...*

— *Chcesz, żebym rano zadzwonił?*

— *Tak, jeszcze przez ósmą. Na wszelki wypadek musisz zadzwonić i zapytać, co ze mną... to znaczy z Andrzejem Bułą. Po odpowiedzi siostry dyżurnej zorientujesz się, czy wszystko będzie ze mną w porządku.*

Jeżeli wszystko będzie w porządku, to będę czekał na dole w poczekalni, a ty zawiadomisz rodziców, że mogą mnie odebrać ze szpitala. Pod warunkiem, oczywiście, że nie będą wspominać o tym, co się wczoraj stało. Powiesz, że lekarz stanowczo zakazał, że muszę mieć zupełny spokój, bo mogą wystąpić u mnie zaburzenia psychiczne, bo mam uraz głowy...

— *A jak nie będzie z tobą w porządku, to co? — zapytałem.*

— *Jeśli zorientujesz się, że wpadłem albo że zdarzyła mi się jakaś inna przykrość, to musisz pośpieszyć mi z pomocą. Pamiętaj, będę czekał na ciebie w punkcie awaryjnym: na korytarzu, na tym piętrze, ukryty w koszu z bielizną. Zapamiętałeś?*

— *Tak jest.*

— *No, to teraz zostaw nas w spokoju. Jesteśmy chorzy — zamruczał i ziewnął potężnie. — Dobranoc!*

— *Dobranoc — wymamrotałem i wycofałem się cicho z salki.*

Bez żadnych przygód dotarłem do bramy szpitala. Tu powiedziałem odźwiernemu, że odprowadzałem chorego brata; wypuścił mnie bez dalszych pytań.

W domu — oczywiście mała awantura. Że za długo odprowadzałem Zygmunta Gnackiego, że już dziesiąta godzina, że w ogóle dzisiaj „za dużo sobie pozwoliłem”.

Zupełnie nie miałem ochoty na żadną dyskusję w tym przedmiocie i jedyną odpowiedzią na zarzuty mamy było potężne ziewnięcie. Było to zachowanie nietypowe z mojej strony, zwykle bowiem wstawiam fabułę i popadam w uciążliwą dla moich oskarżycieli gadatliwość, toteż zaskoczona mama przyjrzała mi się wnikliwie i powiedziała:

— Ależ ty jesteś naprawdę posmolony!

— Przecież mówiłem mamie, że byłem w płomieniach, ale mama, swoim zwyczajem, na pewno nie uwierzyła i zamiast mi współczuć, jak dobra matka, to mama wstawia kazanie. Mamie nawet nie przyjdzie do głowy, że jestem wyczerpany fizycznie i psychicznie i za chwilę zasnę tutaj snem strudzonego żniwiarza. Padnę na dywan i zasnę!

— Żniwiarza?! — mama spojrzała na mnie z niepokojem. — Widzę, że istotnie jesteś nieprzytomny.

— Istotnie — ponownie ziewnąłem ostrzegawczo.

Batalia była wygrana. Mama zrezygnowała z ataku.

— Smaruj do łazienki i szybko spać!

Pobiegłem nader szybko i wcale przytomnie.

Była to wspaniała noc. Cały czas miałem kolorowe sny, straszne i bardzo przyjemne zarazem. Śnił mi się szpital. Leżałem na stole operacyjnym i byłem poddawany operacji. Operowano mi serce, wyjmowano z klatki piersiowej i wkładano z powrotem. Doktor Malina miał je przez chwilę w swojej ręce i głaskał, a mnie było wtedy niezwykle przyjemnie. Czy głaskano was kiedy po sercu?! Nie macie pojęcia, co to za wspaniałe uczucie! Czulem się znakomicie i krzyczałem

z zachwytu.

Zapewne dzięki tym krzykom nie zasnęłam rano. Już o piątej godzinie obudziłam wszystkich. Z kolei mama obudziła mnie. Byłam oburzona, że popsowała mi taki sen! Ale przypomniałam sobie, że obiecałam Zyzii zadzwonić rano do szpitala, więc zrezygnowałam, acz nie bez żalu, z dalszych kolorowych snów, zwlokłam się z łóżka i zabrałam do rannych porządków.

Punktualnie o siódmej wykręciłam numer szpitala i poprosiłam dyżurną siostrę.

— Chciałbym się dowiedzieć o stan zdrowia Buły Andrzeja — powiedziałam.

— Proszę się nie niepokoić — powiedziała siostra dyżurna — będzie żył...

— To ja wiem — chrząknęłam nieco zaskoczony informacją — ale co z nim w ogóle?

— W porządku. Operacja się udała — odparła siostra.

— Operacja?! — wykrztusiłam. — Co siostra ma na myśli?

— No... tę amputację nogi.

— Ucieliście mu nogę?!

— Tylko jedną. Drugą udało się uratować.

— Tylko jedną! O Boże! To... to niemożliwe... to chyba jakaś straszna pomyłka...

— O żadnej pomyłce nie może być mowy.

— On miał tylko po... polipy w nosie i przelewało mu się w brzuchu!

— *Polipy?! Jakie polipy!* — *zdziwiła się siostra.* — *Przecież*

przywieziono go z wypadku...

— *Andrzeja, z wypadku? Wykluczone.*

— *Jakiego Andrzeja? O kim pan mówi.*

— *Cały czas mówię o Bule Andrzeju.*

— *Pan pytał o pana Bubanczę.*

— *Nie o Bubanczę, ale o Bułę Andrzeja.*

— *Przepraszam, zaraz sprawdzę...* — *powiedziała stropiona.* — *Tak jest* — *wykrzyknęła ucieszona* — *mamy także Bułę Andrzeja... Właśnie pojechał na operację.*

— *Co pani z tą operacją!* — *zdenerwowałem się.* — *To pan Bubancza pojechał na operację.*

— *Pan Bubancza pojechał na operację nogi, a Buła Andrzej pojechał na operację brzuszną.*

— *To niemożliwe.*

— *Prześwietlenie wykazało, że jednak połknął pewien przedmiot.*

— *Pewien przedmiot?! Co pani mówi!*

— *Miał zwyczaj gryźć różne przedmioty podczas odrabiania lekcji.*

Kiedyś pogryzł długopis i połknął niechcący kawałek.

Słuchałem oniemiały.

— *Proszę pani* — *wykrztusiłem* — *to okropne... zawieźli na operację niewłaściwego człowieka... Niech pani wstrzyma natychmiast operację... Chłopiec, którego chcą wziąć pod nóż, to nie jest Andrzej Buła...*

— *Co pan opowiada?! — zdenerwowała się siostra. — Kim pan właściwie jest?*

— *Kolega... Błagam, niech pani sprawdzi... Niech pani wstrzyma operację... Prawdziwy Andrzej Buła na pewno jest jeszcze na sali 233, tylko że zamienili się łózkami...*

— *Zamienili się łózkami? — powtórzyła tym razem już trochę zaniepokojona. — Poczekaj chwilę — powiedziała.*

Czekałem przy telefonie chyba z pięć minut, może dłużej. Wreszcie usłyszałem zadyszany głos siostry:

— *To niesłychane, to zupełny skandal...*

— *Czy... czy już za późno, proszę siostry... czy już rozcięli mu brzuch?*

— *Gorzej.*

— *Gorzej?! —*

— *Uciekł ze stołu operacyjnego. Okropne zamieszanie! Ordynator rozgniewał się! Wybuchła straszna awantura! Żeby sobie pozwalać na takie głupie kawały w szpitalu. Zamieniają się łózkami! Dezorganizują wszystko! Co za łobuz!*

— *Czy... czy go złapali? — zadałem rzeczowe pytanie.*

— *Niestety, jeszcze nie — odparła siostra. — Podaj mi swoje nazwisko i nazwisko tego łobuza — rozkazała wzburzona.*

Ale ja nie miałem najmniejszej ochoty się ujawniać i szybko odłożyłem słuchawkę.

No więc, stało się. Gnat wpakował się w największą kabałę w swym

życiu. Czy wy grzebie się z tego? Nader wątliwe. A potem pomyślałem, że muszę go ratować i pobiegłem co sił w nogach do szpitala.

Rozdział IX

AWANTURY SZPITALNE [\[top\]](#)

Znaną mi już drogą dotarłem do pralni szpitalnej, tu pożyczyłem sobie jeden z leżących na stosie brudnych fartuchów personelu oraz czepek i przebrany za salową bezpiecznie pojechałem windą na drugie piętro szpitala. Mimo że w windzie było pięć osób, a po korytarzu biegały wciąż stada podnieconych pielęgniarek — nikt i nie zwrócił na mnie uwagi. Widocznie niesłychane zdarzenie w sali i chirurgii miękkiej pochłaniało całkowicie uwagę personelu. Komentowano obszernie ten przykry wypadek i w dalszym ciągu poszukiwano zbiegłego ze stołu operacyjnego chłopca. Z podsłuchanych przeze mnie rozmów wynikało, iż prawdziwy Buła Andrzej również zbiegł, gdy dowiedział się, że ma iść pod nóż ordynatora, i w rezultacie szukano dwóch chłopców, co jeszcze bardziej powiększało zamęt.

Biedny Zyzio miał więc pewną szansę. Poczujęm znaczną ulgę.

Szczerze mówiąc czułem się nieco winny, że pomogłem mu w wykonaniu tego szalonego pomysłu.

Zgodnie z naszą umową, w wypadku gdyby coś nawaliło, czyli w sytuacji awaryjnej, miał na mnie czekać ukryty w koszu z brudną bielizną. Kosz stał koło dyżurki pielęgniarek, w ciemnym kącie na końcu korytarza. Udałem się tam niezwłocznie. Serce biło mi mocno z emocji.

Czy rzeczywiście znajdę tam Zyzia?

Obejrzałem się czujnie, czy ktoś mnie nie podpatruje, po czym zbliżyłem się ostrożnie do kosza. Był wielki, chyba metrowej wysokości, wyladowany po brzegi przeznaczoną do prania bielizną szpitalną z drugiego piętra. Nieszczęsny Zyzio, na co mu przyszło! Musi siedzieć przykryty taką bielizną! Czy naprawdę siedzi? Zanurzyłem w koszu rękę, poruszyłem palcami, niestety, nie natrafiłem na żaden obiekt przypominający choćby z grubsza Zygmunt Gnackiego.

— Do licha, Gnat, jeśli tam siedzisz, odezwij się — rzekłem cicho. — Nie mam ochoty grzebać się w tych brudach aż do dna! No, mów, czy jesteś tam?

— Jestem — rozległ się zduszony głos gdzieś z głębi kosza.

— To wylaż — powiedziałem.

— Nie mogę — jęknął i ostrożnie wynurzył głowę.

— Dlaczego?

— Jestem w stroju Adama — odparł ponuro.

— Jak to?

— Zapomniałeś chyba, że rozbierają do operacji. A ja uciekłem przecież ze stołu operacyjnego.

— Jak ci się udało tu dobiec?

— Wyskoczyłem na taras, tam było jeszcze pusto o tej porze, a potem przez uchylone okno do dyżurki sióstr. Wypatrzyłem moment, kiedy siostry wyszły i przeniknąłem, no a potem stamtąd już tylko krok do tego kosza.

— Czy musiałeś czekać z ucieczką, aż cię położą na stół

chirurgiczny? — zasapałem zdenerwowany. — Ty jesteś naprawdę

Nieźródlny Komplikator!

— Bałem się. Nie chciałem skandalu. Pomyśl o Otrębusie. Gdyby się wszystko wydało, Otrębus miałby kłopoty. I tak mają mu za złe, że za dużo pozwala młodzieży i że chłopaki z koła PCK pętają się po szpitalu.

Otrębus liczy na nas... myśli, że nareszcie znalazł kogoś, kto postawi na nogi organizację... Nie, nie mogłem go skompromitować! Po prostu wstyd mi było. Otrębus to fajny chłop.

— Niby racja — mruknąłem. — Ale z drugiej strony, dać sobie uciąć nogę dla Otrębusa albo rozciąć brzuch...

— Nie tylko dla Otrębusa — poprawił Zyzio i chrząknął z zakłopotaniem — zapomniałeś o Adeli! Co by się stało, gdyby się Adela dowiedziała... Nie, już woląłem poddać się operacji.

— Co ty?! — spojrzałem na Zyzia osłupiały. — Nie myślałem, że aż tak...

— Aż tak — potwierdził ponuro Zyzio. — Dopiero kiedy położyli mnie na stole i siostra zbliżyła się ze strzykawką, otrzeźwiałem... to znaczy zdałem sobie sprawę z sytuacji, to znaczy...

— To znaczy przestraszyłeś się.

— No, rozumiesz chyba... instynkt samozachowawczy...

— Rozumiem — uciąłem. — Nie musisz się usprawiedliwiać. Ale teraz lepiej posłuchajmy mojego instynktu samozachowawczego. A mój instynkt mówi, że powinniśmy stąd szybko pryskać!

— Skombinuj mi najpierw jakieś szaty — powiedział Zyzio.

— *Czy w tej białej — wskazałem na zawartość kosza — nie ma*

jakiegoś ubrania lekarskiego lub choćby fartucha?

— *Nie, są tylko same prześcieradła i poszwy...*

— *Pójdę po twoje ubranie do pokoju 233...*

— *Już go tam nie ma. Zabrali do depozytu — powiedział Zyzio.*

— *Ładna historia! W takim razie pojedziesz tak jak jesteś, w koszu...*

Zawiozę cię windą do pralni. Może tam uda nam się coś skombinować...

to znaczy, chciałem powiedzieć, pożyczyć.

— *Dobra, jedź, tylko ostrożnie! — Zyzio z powrotem zanurzył się w koszu.*

Dla pewności nakryłem mu czubek głowy zmiętym prześcieradłem i zacząłem pomału pchać ciężki kosz w kierunku windy. Na szczęście, terakotowa, idealnie równa i świeżo froterowana posadzka stawiała tylko minimalny opór. Byłem już w połowie drogi, gdy nagle usłyszałem za sobą gruby alt niewieści.

— *Poczekaj, moja miła... zabierzesz jeszcze brudy z sali 220!*

Chciałem udąć, że nie słyszę, i przyspieszyłem kroku, ale na nic to się zdało. W chwilę później dopędziła mnie zadyszana pielęgniarka.

Była to osoba wielkiej tuszy i wagi, chyba ze stu kilo, niejaka Celestyna Bąk, czyli Gruba Cesia, znana dobrze w świecie medycznym naszego miasta.

— *Czy jesteś głucha, moja miła? — zwróciła się do mnie z łagodnym wyrzutem. — Kazałam ci poczekać, a ty pędzisz. Zosia ściele łóżko po tym pacjencie, co go zabrali na oddział nieuleczalnych i zaraz dorzuci tu*

pościel po nim. Ty jesteś chyba nowa? Nie znam ciebie... Jak się nazywasz?

— Tonia — pisnąłem cicho, aby nie zdradzić się moim kogucim, ale bądź co bądź męskim głosem.

— Głos masz okropny — stwierdziła z niesmakiem siostra — a w ogóle deska z ciebie i czupiradło, przyjmują już teraz byle kogo, deska z ciebie i flejtuch — patrzyła ze wstrętem na mnie — ledwo zaczęłaś pracować, a już szmatę zrobiłaś z fartucha... Tutaj obowiązuje czystość, moja Toniu! Gdyby doktor Otrębus zobaczył cię w takim brudnym kitlu, zmyłby nam wszystkim głowy. Natychmiast przebierz się w czysty, uczesz jakoś te okropne kudły i zamelduj się tutaj... Daję ci trzy minuty! O Boże, jak wy mnie wszystkie męczycie! — westchnęła sapiąc ciężko i usiadła z ulgą na naszym koszu z bielizną, zanim ją mogłem powstrzymać.

Z wnętrza kosza rozległ się rozpaczliwy krzyk przyduszonego Zyzia.

Gruba Cesia zerwała się przestraszona i z lękiem zajrzała do bielizny, ledwie jednak odsunęła jedno prześcieradło — z kosza wyskoczył okręcony w coś białego Gnat i pognał jak szalony przed siebie gubiąc po drodze różne części pościeli.

Nieszczęsna pielęgniarka złapała się za serce i patrzyła osłupiała na to niesamowite zjawisko, jej usta poruszały się bezgłośnie — nie mogła wykrztusić ani słowa. Z sali 220 wyszła salowa Zosia ze stosem pościeli na ręku.

— Co się siostrze stało? — zapytała na widok półprzytomnej

pielęgniarki. — Siostra źle się czuje?

— Łazarz! — wykrztusiła Gruba Cesia. — Widziałam Łazarza.

— Łazarza?

— Zaplątał się w bieliźnie i leżał w koszu...

— Co też siostra mówi?

— Któraś z sióstr musiała razem z pościelą wyrzucić pacjenta...

Zawsze mówiłam, żeby uważać przy wymianie bielizny... —

wybelkotała Gruba Cesia.

Salowa Zosia spojrzała na nią zakłopotana.

— Siostra ma chyba gorączkę, siostró.

— A może to była już śmierć kliniczna? — ciągnęła z błyszczącymi

niezdrowo oczami Gruba Cesia. — Omyłkowo zwłoki włożono do kosza...

W takim razie zaszedłby efekt reanimacji... zapewne wtedy, gdy

siadłam na tym koszu! Uratowałam człowieka... Ten okrzyk... to był

okrzyk ocalenia... Z jakim wigorem i energią wyskoczył z kosza...

Wyjątkowo skuteczna reanimacja.

— Wyskoczył z kosza... O, biedna pani Cesi... — salowa Zosia

patrzyła z litością na Celestynę Bąk — mówiłam tyle razy, pani się

przepracowuje... po co te nocne dyżury... po co tyle nerwów i serca...

Czy ktoś doceni nasze serce?! A potem tak się to wszystko kończy! —

salowa Zosia ocierała zapłakane oczy. — Rozum się miesza...

— Dostyc tego! — krzyknęła siostra Cesia przychodząc powoli do

siebie. — Jak śmiesz mi wmawiać obłąkanie!

— Ja... nie chciałam pani urazić, ale zdawało mi się, że pani coś się

poplątało... każdy może bredzić z gorączki...

— Wypraszam sobie! Zamiast wydziwiać, sprowadź mi tego człowieka! — rozgniewała się siostra Cesia. — Powinien wypocząć po reanimacji, a nie biegać. To mu może zaszkodzić! No, czemu stoisz? Rusz się... galopem... jazda! Złap go i przyprowadź!

— Ale gdzie mam galopować?

— On uciekł w głąb korytarza! Widzisz chyba, że porozrzucił bieliznę.

Dopiero teraz salowa Zosia zobaczyła leżące na posadzce kawałki pościeli wyraźnie znaczące kierunek ucieczki zbiega.

— Matko Święta... więc to naprawdę?! — zatrwożona przycisnęła ręce do piersi. — I mówi siostra, że wyskoczył z kosza... Coś mi świta w głowie... To pewnie ten, co uciekł ze stołu chirurgii miękkiej, proszę siostry, musiał się schować w tym koszu!

Siostra Celestyna ponownie przeszła lekki stan osłupienia.

— Myślisz, Zosiu? — zaskoczona zamrugła oczami.

— Tak myślę, proszę siostry.

— Może masz rację, moja droga... Tym bardziej należy schwytać tego osobnika.

— Może być niebezpieczny. Siostra instrumentariuszka mówi, że to wariat.

— Nie bój się, drogie dziecko, pomogę ci. Wszystkie ci pomożemy...

Ty też, Toniu — zwróciła się do mnie — nie wybałuszaj tak oczu, rusz się, oprzytomniej wreszcie — pchnęła mnie gwałtownie.

Oprzytomniałem i ruszyłem co sił w nogach w głąb korytarza. Za mną, drobnymi kroczkami, biegła podniecona Zosia, a na końcu sapiąc głośno, sunęła z poświęceniem Gruba Cesia. Na zakręcie korytarza zawróciłem. Zosia i Gruba Cesia pobiegły dalej, a ja wpadłem do sali 233. Nie pomyliłem się w moich przewidywaniach. Przy łóżku Wojtka siedział Zyzio ubrany w szpitalną piżamę.

— Udało nam się — powiedziałem. — Skąd masz to kimono?

— Było na łóżku Andrzeja Buły — odparł Zyzio.

— Buła uciekł bez piżamy?

— On uciekł z łazienki, kiedy go kapali przed operacją. Zabrali go stąd bez piżamy, w szlafroku kąpielowym tylko — wyjaśnił Wojtek.

Spojrzałem na niego uważnie. Wydawał mi się inny niż wczoraj.

Przytomniejszy i spokojniejszy, tylko potwornie blady.

— Jak się czujesz? — zapytałem.

— Całkiem dobrze — powiedział.

— Nie bujaj!

— Pan doktor Malina był bardzo zadowolony. Powiedział, że najgorsze mam już poza sobą. Nawet trochę się zdziwił, że tak nagle mi się polepszyło... Och, Gnat, zostań jeszcze ze mną, no chociaż jeden dzień. Nie zdążyłeś mi opowiedzieć o „awaramisach”...

— Nie mogę — odparł zaaferowany Gnat — mówiłem ci już... oni mnie ścigają... Nie wiem, czy wyjdę z tej kabały cało... — urwał nagle, bo ktoś nacisnął klamkę i, nim drzwi się odemknęły, wskoczył na łóżko Emila Buły i nakrył się pod brodę kołdrą, a dla lepszego zamaskowania

przysunął do siebie pluszowego małpiszona, tego, którego podarował Emilowi doktor Malina, i udawał, że śpi z tym małpiszonem przy twarzy.

Do pokoju wszedł doktor Malina z siostrą przełożoną. Tego jeszcze brakowało! Co będzie, jeśli Malina mnie pozna? Odwróciłem się tyłem i udałem, że porządkuję puste łóżko po Andrzeju Bule.

— To ten przypadek — powiedział cicho doktor Malina do siostry wskazując na Wojtka — siostra zna sprawę...

— Pokaż się, zuchu — powiedziała siostra przełożona do Wojtka, siadła na jego łóżku i przyglądała mu się zdumiona. — Rzeczywiście, wprost trudno uwierzyć. Widziałam już wiele kryzysów i przedziwnych zwrotów w chorobie, ale ten jest najbardziej uderzający... To się rzadko zdarza, nawet u najbardziej odpornych dzieci... Wezmę go pod specjalną opiekę.

— Bardzo proszę! To nasz największy sukces — powiedział doktor Malina. — No, Wojtek, tylko pamiętaj! Nie bierz przykładu z tych, co nam uciekają ze stołu i z łóżek. I postaraj się szybko wyzdrowieć!

— Postaram się, panie doktorze — zamruczał Wojtek zezując z lękiem w kierunku Zyzia, bo Malina ruszył właśnie w tamtą stronę.

— Doskonale, że cię już widzę, Emilu — powiedział do pacjenta bawiącego się małpiszonem. — Co prawda jestem nieco zaskoczony. Doktor Rozpelski mówił, że chce cię potrzymać na obserwacji jeszcze dwa dni. Siostro, czy przyszły już wyniki z neurologicznego?

— Nie wiem, panie doktorze. Muszę sprawdzić. Ale doktor Rozpelski

nie odsyłałby go tutaj, gdyby były przeciwwskazania do operacji.

— Chciałbym zoperować chłopca dzisiaj, póki mam jeszcze luzy czasowe... Można już pomału przygotowywać go — powiedział doktor Malina patrząc na zegarek. — Najdalej za godzinę chciałbym go mieć na stole — dodał wychodząc z sali.

— Tak jest, panie doktorze — powiedziała siostra i pogłaskała Zyzia po wystającym spod koldry czubku głowy. — Zaraz pojedziemy wózczykiem na wycieczkę, na drugi koniec szpitala, nic nie będzie bolało, ciach — ciach i po wszystkim! Za tydzień Emilek będzie zdrów jak ryba, a za miesiąc będzie się bawił jak wszyscy chłopcy, biegał i skakał, nic nie będzie Emilka kłuło w brzuszku. A na razie będziesz się bawił malpiszonkiem, widzę, że go bardzo polubiłeś, możesz go zabrać z sobą na operację. A jednak wróciłeś odmieniony po tej obserwacji na neurologicznym. Dlaczego nic nie mówisz, moje dziecko? I ręka ci się zmieniła... — siostra spojrzała zdziwiona na pacjenta.

Wystraszony Zyzio cofnął rękę pod koldrę.

— Moja droga — zdenerwowana już nieco siostra zwróciła się do mnie — jak długo będziesz jeszcze guzdrać się przy tym łóżku? Zostaw je i idź po wózek. Zabieramy dziecko na salę „O”!

Odetchnąłem. Jeśli nie zdemaskują mnie jako fałszywą salową, jeśli wyznaczą mnie do przewiezienia Zyzia na salę „O”, to będę miał okazję uratować go przed nową kompromitacją. A swoją drogą, co za pech! Ledwo biedak uciekł przed jedną operacją, już go pakują na drugą! Dobrze, że ma przynajmniej mnie przy sobie!

Okazało się jednak w następnej chwili, że ja też mam pecha.

Chciałem przemknąć, skulony, koło siostry przełożonej, ale ona w tym momencie odwróciła głowę od Zyzia i zmierzyła mnie bystrym, badawczym okiem.

— Jesteś nowa? Nie widziałam cię jeszcze...

Skinąłem głową i chciałem pędzić dalej, ale zatrzymała mnie kościstą ręką.

— Poczekaj, moja kochana, jak ty możesz nosić taki brudny fartuch?

Znowu się czepiają tego fartucha. Co za cholerne higienistki w tym szpitalu!

— Proszę to oddać natychmiast do prania — ciągnęła ostro siostra przełożona — natychmiast, rozumiesz!

— Tak jest, proszę siostry, oddam natychmiast — pisnąłem jak mogłem najcieniej, ale to chyba nie było mądre, mój śmieszny głos zwrócił uwagę siostry.

— Jak ty mówisz? Kpisz sobie czy masz zanik głosu? — i nim się zorientowałem, siostra energicznie wzięła mnie za brodę.

— Pokaż gardło... Jeszcze mi tu rozwleciesz jakąś chorobę! Co to za twarz! — przeraziła się nagle. — To przecież chłopak! — wykrzyknęła. — Co się tu dzieje?! Falszywa salowa na sali!...

Nie dokończyła, bo w tym właśnie momencie otworzyły się drzwi i na progu stanął w piżamie mały chłopczyk, trzymany za rękę przez młodziutką pielęgniarkę.

— Kogo siostra tu prowadzi? — zmarszczyła brwi siostra

przełożona.

— To Emil Buła, wraca z neurologicznego, z obserwacji... Czy siostra przełożona chce przejrzeć diagnozę...

— Nie zwracaj mi głowy. Czy wyście wszystkie powariowały dzisiaj?! Emil Buła leży w tym łóżku.

— To nie ja! — wykrzyknął chłopczyk. — To jakiś łobuz! On mi zabrał moje łóżko.

Prawdziwy Emil Buła dopadł do Gnata i zaczął go szarpać za włosy.

— Oszaleć można — wybelkotała siostra przełożona — fałszywe salowe... fałszywi pacjenci! Kim ty właściwie jesteś? — przyglądała mi się zdenerwowana, ściskając coraz mocniej moją brodę.

Zrozumiałem, że sprawy stoją zdecydowanie źle i rozpaczliwie wyrwałem nieszczęsną brodę z bolesnego uścisku siostry przełożonej.

— Uciekaj, Gnat! — krzyknąłem i sam rzuciłem się do ucieczki.

Zyzio zerwał się z łóżka i pognął za mną.

Wypadliśmy z sali na korytarz.

— Do windy! — krzyknąłem.

Niestety, droga do windy była odcięta. Zbliżała się bowiem z tamtej strony zadyszana siostra Cesia. Na jej widok skręciłem przerażony w boczny korytarz, tam gdzie były gabinety lekarskie. Przed jednym z nich znajdował się wieszak obwieszony płaszcami.

— To już koniec — jęknął Zyzio — to jest ślepy korytarz i zaraz będą nas mieli...

— Nie tak prędko — powiedziałem. — Mam pewien pomysł.

— *Co chcesz zrobić?*

— *Zmienić skórę! Włożymy na siebie te płaszcze... — to mówiąc*

podałem Zyziowi czerwony przeciwdeszczowy płaszcz damski, a sam

ubrałem się w podobny, tylko niebieski. — Dla pewności włóż jeszcze to!

— *wręczyłem mu czerwony kapturek. — Teraz nie powinni nas poznać.*

Siądźmy na ławce i udajmy pacjentki. Jak się trochę uspokoi,

spróbujemy ostrożnie się wymknąć.

Usiedliśmy. Zyzio odetchnął i spróbował uśmiechnąć się do mnie.

— *Mówię ci, miałem już tego wszystkiego dosyć, chciałem się*

poddać — wyznał. — Za dużo tego dobrego.

— *Pomyśl o Adeli — powiedziałem. — Pomyśl o Otrębusie, pomyśl o*

naszej paczce, o całej naszej budzie, i jaką satysfakcję mieliby

Defonsiacy! Nie możemy się załamywać. Fakt, że nastąpiły pewne

efekty uboczne, ale w końcu udało nam się rzecz najważniejsza, to

znaczy tobie się udało — sprostowałem skromnie.

— *Myślisz o Wojtku? — Gnat przymknął oczy.*

— *Jasne.*

— *Może wziąłby się w garść i bez naszej pomocy.*

— *Wątpię. On był wykończony nerwowo. Załamany. Mój ojciec*

mówi, że w chorobie decydują często siły psychiczne, wola życia. No, a

kto Wojtka podniósł na duchu? On potrzebował oparcia, przyjaźni,

kogoś przy sobie, kto by go mógł obronić przed koszmarami nocy...

— *Ładnie mówisz — powiedział Zyzio. — Nawet przyjemnie cię*

stłuchać — zauważył kwaśno — ale sam przyznałeś, że nastąpiły pewne...

pewne, jak to określiłeś delikatnie, efekty uboczne, te wszystkie awantury, to zamieszanie, dezorganizacja... Otóż boję się, czy nie za dużo było tych efektów ubocznych, czy one nie przeważały... Muszę to potem przemyśleć na zimno, bo jeśli o mnie chodzi, to właściwie całą satysfakcję mam zatrutą... Boję się, czy jedynym prawdziwym zyskiem nie będzie tylko to — wyciągnął z kieszeni piżamy butelkę coca-coli.

— Skąd to świsnąłeś? — zapytałem zaskoczony i oblizałem spieczone wargi.

— Nie świsnąłem, tylko dostałem. Wczoraj Wojtkowi przynieśli z domu, ale jemu nie wolno było pić tego rodzaju napoi, więc podarował mnie...

— Daj, wypijemy. Konam z pragnienia po tych przejściach... — chciałem wyjąć Zyziowi z rąk butelkę, ale on schował ją szybko z powrotem do kieszeni.

— Nie możesz tego pić — powiedział. — Potem miałbyś do mnie pretensje.

— Co ty! Dlaczego niby?!

— Bo to nie jest zwykła coca-cola. Wsypałem do niej pokruszone pastylki...

— Pastylki? Jakie pastylki?!

— Nasenne. Siostrze Cesi rozsypały się na korytarzu i pomagałem jej zbierać. Dziewięć udało mi się schować do kieszeni. Dwie rozpuściłem w tej butelce, mam jeszcze siedem. Można nimi zaprawić co najmniej trzy butelki...

— *Ale po co? — wytrzeszczyłem oczy.*

— *Jak to po co?! Będziemy usypiać Defonsiaków.*

— *Usypiać? Coś ty!*

— *Posłuchaj... wystarczy pójść do redakcji Defonsiaków i postawić na stole tę butelkę. Kapsel założyłem na szyjkę z powrotem, nie widać nawet, że był zdejmowany. Butelka wygląda niewinnie. Smak coca-coli nie zmieniony i kolor ten sam. Myślisz, że dyżurny Defonsiak nie wypije?*

— *No, chyba wypije.*

— *Na pewno wypije i po chwili uśnie. Wtedy my przenikamy bezpiecznie, zaglądamy do szuflad redakcyjnych Defonsiarni, dowiadujemy się, jakie nowe ataki szykują na nas, co knują znowu ohydneho i uprzedzamy ich akcje, krzyżujemy ich plany! Paraliżujemy ich działalność w zarodku! Zwycięzamy! — Zyzio zapalił się niezdrowo.*

— *Mówię ci, za pomocą tej butelki uśpię nawet samego Grubego Cypka! Przetrzęsnię mu wszystkie kieszenie, znajdę notes, gdzie zapisuje swoje niebezpieczne pomysły, przeniknę jego tajemnice! Wszystkie sekretne dokumenty! Mogę także za pomocą tej butelki leczyć Kwękacza.*

Słyszałem, że niektórych nerwowych leczą przedłużonym snem.

Wypróbujemy tę metodę na Kwękaczu... — urwał nagle, bo na korytarzyk wtoczyła się siostra Celestyna. Już miała nas minąć i wejść do jednego z gabinetów, gdy nagle zatrzymała się. Widocznie coś w naszym wyglądzie ją zastanowiło.

— *Dziewczynki, dlaczego siedzicie takie skulone, w płaszczach i*

kapturkach? — zapytała. — Tu jest przecież wieszak, rozbierzcie się, na pewno nie zmarzniecie...

Skuliliśmy się jeszcze bardziej.

— Co wam? Źle się czujecie? — zaniepokoiła się siostra. — Nie możecie się ruszać? Kto was tak tutaj zostawił, biedule? Poczekajcie, pomogę wam — uśmiechnęła się do nas życzliwie, zapewne myślała, że jesteśmy sparaliżowani albo co najmniej mamy niedowład kończyn.

Chciała zdjąć z Zyzia płaszcz... Złapała za rękaw i kołnierz... Zyzio szarpnął się rozpaczliwie. Płaszcz i kurtka piżamowa zostały w ręku osłupiałej siostry, a Zyzio w czerwonym kapturze na głowie i w podwiniętych spodniach od piżamy rzucił się do panicznej ucieczki.

Pobiegłem za nim ściągając z siebie po drodze płaszcz i fartuch.

Gonił nas krzyk rozgniewanej pielęgniarki...

Rozdział X

NIEPOKOJĄCY ROZWÓJ WYPADKÓW [\[top\]](#)

O godzinie dziesiątej na tarasie południowym szpitala rozpoczęło się leżakowanie pacjentów z Oddziału Otyłości. Po porannej gimnastyce leczniczej, wyczerpującej jeździe na rowerach specjalnych i pływaniu w basenie oraz po spożyciu dwu łyżeczek chudego twarogu ze szczypiorkiem i jednej rzodkiewki wymęczone grubasy z rozkoszą rozkładały się na leżakach, nakrywały kocami i czym prędzej ucinały sobie odprężającą drzemkę, wiedząc, że po godzinie odpoczynku znów będą poddani ciężkiemu treningowi i surowym rygorom leczniczym przez bezlitosnego doktora Otrębusa. Było nader ryzykowne zakłócać

ich zasłużony odpoczynek. Słyszałem od ojca, że odchudzani pacjenci z Oddziału Otyłości łatwo wpadają w rozdrażnienie, a wtedy stają się niebezpieczni... Toteż, gdy w panicznej ucieczce przed siostrą Celestyną przez korytarze szpitalne stanęliśmy w drzwiach wiodących na taras i ujrzeliśmy przed nami chyba ze stu leżakujących grubasów — zatrzymaliśmy się gwałtownie i, co tu dużo gadać, stchórzyliśmy.

Na szczęście korytarz w tym miejscu obladowany był szafami ściennymi, zaś między ostatnią szafą a drzwiami na taras znajdowała się wnęka, zastawiona bujnym, rozłożystym filodendronem w metrowej chyba donicy oraz innymi pomniejszych kwiatach. Wsunęliśmy się spiesznie do tej wnęki, przycupnęliśmy za donicą i czekaliśmy z bijącymi mocno sercami. Siostra Celestyną nadbiegła wkrótce.

Przedefilowała zadyszana koło naszej kryjówki, ale nie zauważyła nas. Odetchnęliśmy. Za nami znajdowało się wielkie okno wychodzące na taras. Unieśliśmy się nieco i wyjrzelśmy przez to okno. Siostra Celestyną właśnie biegła przez taras. Nie zważając na gniewne pomruki drzemiących grubasów, lawirowała zręcznie między leżakami. Po chwili znikła w następnych drzwiach, wiodących na korytarz zachodni.

Pomruki na tarasie ucichły, pacjenci z powrotem zapadli w sen. Patrzyłem na nich zaciekawiony. Niezwykły widok. Nigdy nie widziałem tylu grubasów naraz. Cały taras zaludniony grubasami.

Tylko dwa leżaki w ostatnim rzędzie były wolne. Nie przypuszczałem, że Oddział Otyłości ma aż tylu pacjentów. Czyżby wskutek prelekcji doktora Otrębusa i lansowanego przez niego hasła: „Mniejsza waga —

lżejsze życie”? Co do mnie pragnąłem zwiększyć wagę, chodzi o mięśnie oczywiście, nie o otyłość. Gdybym nagle w ciągu miesiąca tak urósł, że stałbym się największy i najsilniejszy w szkole! Och, to byłoby wspaniale! Mógłbym wtedy zaprowadzić właściwe porządki i przygasić tych wszystkich łebków, co się stawiają tylko dlatego, że dwa centymetry są wyżsi ode mnie, łącznie z Gnatem. Oczywiście zrobiłoby to wielkie wrażenie na Matyldzie Opat. Postawmy sprawę jasno.

Dziewczyny wstydzą się takich wymoczków jak ja! Matylda nigdy nie przyzna się do tego, ale na pewno drażni ją mój nikły wzrost. Drażni, a może nawet śmieszy. Urosnąć — oto zadanie najbliższych tygodni. Może Otrębus zna jakieś przyśpieszające środki, ale jak mu powiedzieć, do licha... Żeby nie wyszło śmiesznie... Najgorzej, gdy odpowie tak, jak mój stary: „Nie masz się czego tak śpieszyć i tak przerośniesz mnie za dwa lata”. Dwa lata! Jakbym miał czas czekać dwa lata! Ważne dla mnie sprawy dzieją się teraz!

— Co ty... usnąłeś?! — usłyszałem głos Gnata. — Obudź się, droga wolna, zjeżdżamy na dół! Dość już tej zabawy!

Drgnąłem i obejrzałem się. Zyzio wyskoczył już z kryjówki i biegł w stronę windy.

— Poczekaj... — krzyknąłem, ale głos zamarł mi niemal w tej samej chwili. Oto bowiem otworzyły się drzwi windy i wyszedł z niej doktor Malina. Na widok półnagiego Zyzia stanął jak wryty.

— Ach, mam cię wreszcie — ryknął w dławionej pasji — to ty mi uciekłeś ze stołu!

— *To pomyłka... Pan mnie bierze za kogo innego — jęknął Zyzio.*

— *O nie, nie może być mowy o żadnej pomyłce. Zapamiętałem sobie do końca życia ten przypadek. Ty jesteś ten łobuz Buła!*

— *Nic podobnego. Jaki Buła?!*

— *Starszy Buła, brat Emila... Właśnie przyszli twoi rodzice i bardzo się denerwują... Chodź i zachowuj się jak mężczyzna, kto widział takie historie! Musimy uspokoić rodziców... — rzekł ostro rozgniewany chirurg i chciał wziąć Zyzia za rękę, ale Zyzio szarpnął się gwałtownie i począł uciekać z powrotem w głąb korytarza. Przykucnąłem przerażony za moim filodendronem. Zyzio minął w pędzie naszą kryjówkę i wypadł na taras. Tym razem to już koniec — pomyślałem. Zamknąłem oczy. Za chwilę usłyszę gniewny pomruk otyłych, jęk chwytanego Zyzia i zwycięski okrzyk Maliny... Ale miały sekundy, a krzyku nie było.*

Wychyliłem się ostrożnie zza donicy. Na korytarzu ani żywej duszy.

Zajrzałem przez szybę na taras. Doktor Malina stał między uspiionymi grubasami wyraźnie zbity z tropu. Zyzio zniknął. Co się z nim stało?

Niemożliwe, żeby zdążył przeskoczyć dwadzieścia leżaków i przez drzwi zachodnie wydostać się z powrotem na korytarz. Nie miał na to czasu.

Malina biegł przecież za nim tuż, tuż... Zyzio miał nie więcej niż pięć sekund. To stanowczo za mało, żeby przebiec zastawiony leżakami taras, ale wystarczająco dużo, żeby... Tak, nie mogłem się mylić. Jeszcze raz przyjrzałem się dobrze wszystkim leżakom na tarasie... W ostatnim rzędzie tylko jeden leżak nie był zajęty, a przecież jeszcze niedawno były dwa... Ktoś nowy leżał tam, przykryty kocem po uszy... No, no

ryzykowne, ale udało się Zyziovi. Malina nie zauważył. Nie mógł go rozpoznać. Jak rozpoznać, gdy wszystkie koce są podobne i wszystkie sterczące spod kocy twarze — również puciołowate? Twarz Zyzia oczywiście też! To żadna sztuka nadąć policzki i udawać tłuściocha. Żeby tylko nos mu się nie zatkał i nie musiał oddychać ustami. Zyzio miał ostatnio uporczywy katar. Nie wytrzyma długo tego okropnego nadęcia...

Ale już po zmartwieniu. Zdezorientowany Malina rozłożył bezradnie ręce i ruszył do wyjścia. Zrezygnował! Przywarłem ponownie do mojego filodendrona, a gdy niebezpieczeństwo minęło, wystawiłem ciekawie głowę. Na tarasie znów dwa leżaki były puste. A więc Zyzio opuścił już towarzystwo otyłych i wymknął się przez drzwi zachodnie na korytarz. Powinien nadejść lada moment. Czekałem niecierpliwie. Upływały minuty, a Zyzio nie zjawiał się. Czyżby zostawił mnie na pastwę losu i postanowił ratować swoją skórę na własną rękę? Nie, to nie było do niego podobne. A więc może wpadł jednak w końcu w ręce doktora Maliny albo zaalarmowanych pielęgniarek? Tak czy owak, czekać dłużej nie ma sensu. Wykorzystałem moment, gdy akurat nikt nie przechodził korytarzem i zacząłem wycofywać się szybko.

Byłem już koło windy, gdy nagle zauważyłem, że naprzeciw, z drugiego końca korytarza, zbliża się do mnie dwóch lekarzy. Poznałem ich po zielonych ubraniach. Wszyscy lekarze w tym szpitalu nosili zielone spodnie i kitle. Obejrzałem się zdenerwowany. Z tyłu też nadchodziło dwóch, a za nimi jeszcze trzeci... Co za pech! Czulem, że

znalazłem się w kleszczach. Zdawało mi się, że mam wypisane na twarzy wszystkie występki, których się ostatnio dopuściłem na terenie szpitala. Byłem pewny, że za chwilę zostanę otoczony przez wzburzonych lekarzy i zdemaskowany. Więc żeby ukryć twarz, pochylilem się szybko, wyciągnąłem z kieszeni śrubokręt, który zawsze noszę z sobą, i udałem, że naprawiam gniazdko elektryczne w ścianie. Pomogło! Lekarze minęli mnie bez podejrzeń... Już miałem skoczyć do windy, gdy poczułem niespodziewanie bolesne kuksnięcie w żebro. Czyjaś mocna ręka chwyciła mnie brutalnie za kołnierz, uniosła do góry i obróciła o sto osiemdziesiąt stopni.

Przede mną stał lekarz w stroju operacyjnym, w okrągłej czapce i w fartuchu. Twarz zakrywała mu maska.

— Ja... ja nic nie zrobiłem, panie doktorze, słowo daję, jestem z kółka PCK, przyszedłem do chorego kolegi...

— Łiesz! — powiedział doktor nosowym głosem. — Jesteś oszustem.

— Ja, oszustem?!...

— Pewnie należysz do tych, co kradną żarówki, wynoszą krany i demontują klamki... Chciałeś ukraść gniazdko.

— Ja naprawiałem tylko, to... to w ramach pracy społecznej, bo właśnie siostra Celestyna skarżyła się, że popsute...

— Jesteś oszustem, i to głupim — powiedział doktor. — To właśnie Celestyna zaalarmowała mnie, że na terenie szpitala jest złodziej.

Dawno już chciałem osobiście przychwycić złodzieja...

— Nie jestem złodziejem...

— *Ach, jesteś więc może łobuzem bezinteresownym?! — zakpił*

lekarz. — To byłoby jeszcze bardziej interesujące. Mogłbym ci równie bezinteresownie coś wyciąć.

— *Pan?*

— *Skąd wiesz, czy nie jestem bezinteresownym łobuzem...*

lekarzem...

— *Łobuzem... lekarzem? Nie... to niemożliwe?! Panu nie wolno!*

— *A więc tylko ty masz prawo do łobuzerki, a innym zabraniasz.*

Dobry jesteś! — zaśmiał się doktor nieprzyjemnie. — No to przekonasz się, do czego jestem zdolny, chodź... Co byś powiedział, gdybyśmy dla kawału poddali cię operacji? Dawno już nie wycinałem nerki, a zdaje się, że ty masz o jedną za dużo.

— *Pan jest wariatem! Dość tych głupich żartów — zasapałem. —*

Szpital to... to poważne miejsce...

— *Ach, tak, tak... oczywiście... to azyl cierpiących, to świątynia cierpienia i śmierci — przedrzeźniał lekarz — ale jednak przyszedłeś tu robić kawały...*

— *To nie ja... to ktoś inny.*

— *Chcesz zwalić to na kolegę, może na tego biednego Zygmunta*

Gnackiego?

— *Pan go zna?*

— *Złapaliśmy go pięć minut temu. Za karę dostanie dziesięć zastrzyków domięśniowych z soli fizjologicznych.*

— *Nie... niech pan tego nie robi! — zawołałem. — On jest niewinny,*

to wszystko wymyśliłem ja... — bohatercko brałem winę na siebie —

*Gnat... przepraszam, Gnacki nie zrobił nic złego, naprawdę, on jest
niezdolny...*

— Niezdolny? Jak to niezdolny?! — zasapał doktor.

*— Ograniczony umysłowo, proszę pana. To ja wszystko wymyśliłem
za niego.*

— Ograniczony umysłowo?

— Po prostu głupi!

— Co powiedziałaś?! — doktor kopnął mnie boleśnie w tydkę.

*Byłem oburzony zachowaniem się tego lekarza. Czyżby lekarze
zaczęli przejmować maniery najgorszych chłopaków z naszej klasy? Do
czego to nas doprowadzi! Nie wiedziałem, jak się zachować. Oddać temu
źle wychowanemu doktorowi? Wszcząć z nim bójkę? Do licha, gdyby to
było na podwórku albo nawet na korytarzu szkolnym, nie
zastanawiałbym się długo. Ale tu jest przecież szpital! Lepiej chyba
uciekać! Uciekać jak najdalej od tego zepsutego, złośliwego lekarza!
Chciałem więc rzucić się do ucieczki, ale doktor był szybszy. Jakby
przeczuwając moje zamiary, podstawił mi nogę. O mało co nie upadłem,
ale on pochwycił mnie w ostatniej chwili i, ku mojemu zdumieniu,
zajrzał mi do oka. A kiedy tak nachylony nade mną zaglądał mi do oka,
ja, przerażony jeszcze bardziej, szarpałem się rozpaczliwie i zerwałem
mu maskę z twarzy. Zerwałem i osłupiałem — pod maską była twarz
Zyzia!*

— Co ty wyrabiasz? — zbeształ mnie cicho. — Załóż mi szybko tę

maskę z powrotem. Adela na nas patrzy!

— Adela?

Rzuciłem w bok spłoszone spojrzenie. Istotnie, kilkanaście metrów od nas, w głębi korytarza, stała Adela i przyglądała się nam ciekawie.

Szybko zawiązałem maskę Zyziovi.

— Myślisz, że ona wie...

— Nie wiem — odparł Zyzio. — W każdym razie musimy grać nasze role do końca. Pozwól, że zajrzę ci do oka.

— Skąd wziąłeś ten strój?! — dopytywałem.

— Z pokoju obok sali 222. Niedaleko stąd. Tam jest pokój chirurgów.

Jeszcze jeden taki komplet tam wisi — wyjaśnił szeptem Zyzio udając, że mnie bada. — Jak tylko Adela przestanie na nas patrzeć, pójdę tam z tobą i przebiorę cię. Inaczej nigdy nie wydostaniemy się z tego przeklętego miejsca!

To mówiąc, rzucił okiem w stronę Adeli, ale ona, na razie

przynajmniej, wcale nie miała ochoty zostawić nas w spokoju.

Przeciwnie, wyraźnie zaintrygowana, zbliżała się do nas powoli.

— Idzie! — jęknąłem. — Wiejmy lepiej.

— Co ty! To dopiero byłaby kompromitacja! Weź się w garść —

warknął Gnat. — To ona zwieje, nie my, już ja z nią porozmawiam!

Adela stanęła przy nas z szerokim uśmiechem na twarzy.

Wyglądała znakomicie. Dopiero tu, na tle szpitala i wynędzniałych,

zniszczonych chorobą, napiętnowanych cierpieniem pacjentów —

niezwykła piękność Adeli zajaśniała całym blaskiem.

— *Przepraszam, panie doktorze — odezwała się tym swoim miękким, aksamitnym głosem — ten młody pacjent to mój kolega, co mu się stało?*

Gnat poprawił maskę.

— *Zabieram go na operację! — zabulgotał.*

— *Na operację? O Boże! Tak nagle? — przestraszyła się Adela i było jej niewątpliwie do twarzy z tym uroczym przestrichem. Och, jestem pewien, nikt nie potrafił bać się tak czarująco jak Adela.*

— *Chyba coś połknął, jakiś ostry przedmiot. Prześwietlenie wykaże...*

— *Ostry przedmiot?! Ale dlaczego, Tomku?! — spojrzała na mnie zaskoczona.*

Niestety, nie mogłem udzielić odpowiedzi.

— *Czy mogę w czymś pomóc? — zaofiarowała się przejęta Adela.*

— *Nie! — warknął Zyzio. — I nie kręć mi się po korytarzu! — pogroził Adeli palcem.*

Adela, zaskoczona, przez chwilę wodziła oczyma za tym groźącym palcem.

— *Przepraszam — powiedziała nagle — ale pan doktor ma brudny palec.*

Zyzio znieruchomiał na moment, po czym wyciągnął z kieszeni fartucha rękawiczki chirurgiczne i włożył pośpiesznie.

— *Za dużo sobie pozwalasz — zabulgotał. — Co tutaj właściwie robisz?! — podniósł głos.*

— *Przyszedłam z koleżankami — odparła spokojnie Adela. —*

Przyniosłyśmy książki dla chorych...

— *Teraz, w czasie lekcji?! Zadzwońię do waszego dyrektora!*

— *Mamy dwie godziny wolne. Bo pani Szarawar wyjechała na wycieczkę ze swoją klasą, więc nie będzie polskiego. I dlatego przyniosłyśmy te książki.*

— *Pewnie brudne!*

— *Brudne?!*

— *Czy obłożyłaś je w czysty papier?*

— *No, nie...*

— *Obłożyć natychmiast — zaordynował Gnat. — Znosicie mi tu tylko bakcyle...*

— *My... bakcyle, o, panie doktorze — głos Adeli zadrżał, miała łzy w oczach.*

— *Czy dawno byłaś badana? — atakował bezlitośnie Gnat. — Z pewnością wymigalaś się znowu...*

— *Co takiego?!*

— *Osoby mające kontakt z chorymi powinny być pod stałą kontrolą!*

Zgłosisz się jeszcze dzisiaj do siostry Celestyny! A teraz odmaszerować i nie przeszkadzać w pracy! Dostyc tu dziś było zamieszania. I nie paplać tyle. Wszędzie was słychać. Chorzy stają się przez was nerwowi! Tu jest świątynia cierpienia. Zrozumiano?

— *Tak jest — wykrztusiła Adela.*

— *Odmaszerować!*

Adela odeszła ocierając chusteczką oczy.

Patrzyłem wzburzony to na nią, to na Gnata.

— Co ci się stało?!... Jak mogłeś w ten sposób...

— Utarłem jej trochę nosa. To jej dobrze zrobi — zasapał Zyzio.

— Oszalałeś?! O mało się nie rozplakała!

— Chciałem, żeby nas zostawiła... Musiałem...

— Ale po co tak ostro!

— Nie wiem, co mnie napadło... — Zyzio pocierał zakłopotany czoło

— zupełnie nie wiem. Wysiadam chyba.

— Zanim wysiądziesz zupełnie, pomóż mi skombinować ten strój —

powiedziałem. — Chcę jak najprędzej stąd prysnąć!

Poszliśmy do pokoju chirurgów. Na szczęście nikogo tam nie było.

Przebrałem się w strój operacyjny i z ulgą przejrzałem w lustrze. No,

teraz już nikt mnie nie pozna i nie zaczepi. Nagle usłyszałem szmer pod

stołem.

— Co to? — szepnąłem przestraszony. — Słyszalesz?

— Pewnie mysz — odparł Gnat.

— Mysz?

— Myślisz, że w szpitalu nie ma myszy?

— Ale... ale ta mysz sapie — wykrztusiłem nadsluchując.

— Sapie? Co ty?!

Schyliłem się i zajrzałem pod stół.

— O rany! — włosy mi stanęły na głowie.

Pod stołem siedział lekarz, w zielonym kitlu... i zajadał z apetytem

białe pastylki, chrupiąc głośno.

— Cicho, nie bójcie się — powiedział podejrzanie cienkim głosem. —

Nie jestem lekarzem.

— Nie jesteś? Słowo?

— Słowo.

— A kim jesteś?

— Nazywam się Piżmak — przedstawił się. — Chodzę do ósmej, w

Defonsiarni.

— Co tutaj robisz? Uciekłeś z operacji?

— Co ty?! Czemu miałbym uciekać. Nie jestem dzieckiem. Operacja to nic takiego strasznego... Usypiają.

— Skąd wiesz?!

Piżmak sięgnął do kieszeni po małą okrągłą puszkę i wysypał z niej na rękę garść jakichś ziarenek.

— Sam miałem operację — powiedział — tydzień temu i już czuję się doskonale, tylko strasznie nudno i jeść się chce. Mam teraz wilczy apatyt.

— I dlatego myszkujesz po szpitalu?

— Dlatego. No i żeby nie było nudno.

— Zawsze w tym stroju? Udajesz lekarza? I nigdy cię nie nakryli?

— Nie... Ten strój włożyłem pierwszy raz. Widziałem, jak ty się przebierasza — Piżmak uśmiechnął się do Gnata. — Pomyślałem, że to nawet jest pomysł... Lubię dobre kawały.

Gnat chrząknął.

— *My nie dla kawału — rzekł oschle.*

— *Chcecie prysnąć? — Piżmak przymrużył oczy.*

— *Nie jesteśmy chorzy — warknął Gnat — zaplątaliśmy tu się niechcący i teraz mamy kłopoty.*

— *Nie musicie się tłumaczyć — Piżmak wzruszył ramionami. — Nie bójcie się, nie powiem nikomu... Ale nie radziłbym uciekać. Przed chorobą nie uciekniecie. Będzie gorzej, jak was tu przywiozą drugi raz...*

— *zajadał z apetytem ziarenka.*

Poczuliśmy głód.

— *Co ty takiego gryziesz? — zapytał mrukliwie Zyzio.*

— *Granulat fosforowo-wapniowy — odparł Piżmak. — Chcecie spróbować? Dajcie łapy.*

Wyciągnęliśmy ręce. Piżmak nasypał nam granulatu.

— *Nieźle, co? — poklepał się po kieszeni. — Smaczny jest także glukovit. Syropy też... ale trochę za słodkie. Osobiście wolę popijać pepsynę z kwasem solnym...*

— *Co ty?! Z kwasem?*

— *Spokojna głowa, słaby roztwór. Chyba wiesz, że w żołądku każdy ma trochę kwasu solnego...*

— *Skąd masz te wszystkie preparaty?*

— *Główka pracuje... zawsze coś można skombinować. W szpitalu da się żyć, trzeba się tylko oswoić. W apteczkach trafiają się nawet czekoladki, ale nie radzę wam brać, potem są różne zaburzenia.*

— *Zobaczysz, zatrujesz się kiedyś, jak będziesz podwęztał leki —*

zasapałem wzburzony — zatrujesz się na śmierć.

— Głodny jestem — jęknął Piżmak.

— Raczej łakomy!

— To fakt, zaprzeczać nie będę. — Piżmak zaaplikował sobie dwa łyki pepsyny, otarł usta i powiedział. — Cześć, chłopaki, pójdę teraz popływać w basenie...

— Jest tu basen?

— Na Oddziale Rehabilitacji — odparł i już był na progu.

Zyzio popatrzył za nim.

— On tu się dobrze czuje — zauważył jakby z odrobiną zazdrości.

— Zaaklimatyzował się, przystosował — powiedziałem.

— Pod stół! — syknął nagle Zyzio. — Ktoś tutaj idzie!

Schowaliśmy się błyskawicznie. Niemal w tej samej chwili drzwi otworzyły się i do pokoju chirurgów wszedł doktor Malina. Przetarł zaspane oczy i ziewnął. Podszedł do okna. Dopiero teraz, gdy stanął w jasnej plamie słońca, zobaczyliśmy, jak bardzo jest zmęczony. Siatka zmarszczek na twarzy, worki pod oczami, ociężałe ruchy. A zawsze wydawał nam się taki dziarski i młody. Ten nocny dyżur go wyczerpał...

No i my też mieliśmy trochę w tym udziale. Specjalnego udziale.

Obserwowaliśmy doktora Malinę przez dziury w ażurowej serwecie, której zwisający róg zapewniał nam skuteczną osłonę. Biedny lapiduch!

Nareszcie sobie odpocznie, pójdzie do domu i będzie spał. Chyba nie zdarzy mu się już żaden przykry wypadek... Oczywiście pod warunkiem, że nie przyjdzie mu nagle do głowy zajrzeć pod stół... Swoją drogą, ale

miałby wtedy minę...

Okazało się jednak, że pech w dalszym ciągu prześladował doktora.

Nie, wcale nie musiał zaglądać pod stół, żeby przeżyć kolejną sensację.

Gdy ściągnął z siebie strój lekarski, wzrok jego padł na butelkę coca-coli

stojącą na półce przy szafie. Musiał być bardzo spragniony, bo bez

namysłu otworzył ją i wypił szybko kilka łyków orzeźwiającego płynu. I

wtedy zaczęło się! Ku naszemu zdziwieniu, zamiast włożyć swój cywilny

garnitur i buty, ziewnął potężnie i przysiadł ciężko na wózku, którym

wozi się chorych na operację. Głowa mu dziwnie opadła i nagle

usłyszeliśmy chrapanie... Wyjrzeliliśmy. Tak, nie ulegało wątpliwości:

spał w najlepsze.

— Tego jeszcze brakowało — jęknął Gnat.

— W końcu nic się nie stało. Usnął to usnął. Był zmęczony! Czemu

jęczysz?

— Ty nic nie rozumiesz — wykrztusił. — Stała się straszna rzecz. —

Zyzio macał się po kieszeniach. — W czasie przebierania postawiłem

butelkę... tę, o której ci mówiłem...

— Tę coca-colę?

— Tak, z tym środkiem, co... wiesz.

— I myślisz, że Malina to wypił?

— Nie myślę, lecz wiem. Wypił tyle, że... — Zyzio miał zrozpaczoną

minę.

— Myślisz, że mu zaszkodzi?

— No nie... Dawka nie była szkodliwa, ale na pewno będzie bardzo

skuteczna.

— *Na sen.*

— *Właśnie.*

— *No trudno, niech sobie pośpi — powiedziałem. — Przykryjmy go tylko, tu jest chłodno.*

Nie było żadnych kocy, więc przykryliśmy Malinę dwoma prześcieradłami po same uszy.

Znów rozległy się kroki. Ledwie zdążyliśmy się schować, weszła salowa i zabrała wózek razem z Maliną nie zaglądając nawet, kto tam leży.

— *Gdzie ona go zabrała? — zaniepokoiłem się.*

— *Nie bój się... Na pewno potrzebny jest wózek do przewiezienia pacjenta. Zobaczą, że doktor Malina uciął sobie drzemkę, i przeniosą go na łóżko — uspokoił mnie Zyzio. — Chodź, najwyższy czas pryskać stąd.*

Przeniknęliśmy na korytarz. Ale w tej chwili zagrodziła nam drogę zadyszana siostra Celestyna.

— *Wszyscy panowie doktorzy proszeni są do pana dyrektora Otrębusa... Natychmiast.*

Rozdział XI

TO JUŻ ZUPEŁNA HECA [\[top\]](#)

Przez chwilę staliśmy jak sparaliżowani. To się właśnie nazywa stać oko w oko z wrogiem, czyli konfrontacja. My gapiliśmy się na Grubą Cesię, a Gruba Cesia gapiała się na nas. Chyba jednak coś w naszym wyglądzie wydawało jej się podejrzane, ale jeszcze sama nie

wiedziała, co... Wreszcie Zyzio odzyskał język w gębie.

— Zaraz idziemy, siostrze, musimy się tylko przebrać — wymamrotał
i chciał zawrócić do pokoju chirurgów. Niestety, siostra Cesia, gnębiona

przez

straszne

podejrzenia,

wykonała

skuteczny

manewr

oskrzydlający, tak, że znów znaleźliśmy się oko w oko z nią...

— Przepraszam, ale z kim właściwie rozmawiam? — zapytała z

niepokojem. — Czy doktor Malina?

— He... he — Gnat poprawił maskę na twarzy i usiłował się zaśmiać

tak jak doktor Malina. — Cóż to, siostrzyczka mnie nie poznaje?

— Przepraszam — bąknęła Cesia.

— To ja przepraszam — rozległ się zachrypły głos salowej Zosi,

która sapiąc i człapiąc resztką sił pchała przed sobą szpitalny wózek i o

mało co nie wjechała na nas.

— Kogo znów wiesz, moja złota — zainteresowała się Celestyna.

— Doktora Malinę — odparła Zosia.

— Malinę?! — siostra Celestyna wybałuszyła oczy.

— Nie wiem, co mu się stało, proszę siostry. — Salowa Zosia otarła

spoczone czoło. — Posłałam tę nową, no, siostra wie, tę Helcię, żeby

zabrała pusty wózek z gabinetu, a ta głupia nawet nie spojrzała, co

zabiera, dopiero na korytarzu w krzyk, bo zobaczyła w wózku jakieś ciało. Przestraszyła się, głupia, i uciekła, a wózek o mało co nie stoczył się po schodach. Na szczęście zdążyłam dobiec. Patrzę, a pod prześcieradłem doktor Malina. Błady, nie rusza się, myślałam, że śmierć kliniczna, ale kiedy chciałam zbadać mu serce, otworzył jedno oko i westchnął nieboraczek. No więc to nie śmierć kliniczna, tylko niemoc. Widocznie zasnął nagle i czując, że słabnie, wskoczył do wózka. Doktor Malina miał zawsze szybki refleks... dlatego wskoczył do wózka...

— Co też ty wygadujesz, moja złota. Przecież doktor Malina tu stoi — siostra wskazała na przebranego Zyzia.

— Stoi? Doktor Malina tu leży — upierała się ponuro salowa. — No, niech siostra zobaczy — odstłoniła prześcieradło.

Gruba Cesia spojrzała i jeszcze bardziej napęczniała z wrażenia. Jej straszne przeczucia ugruntowały się.

— Faktycznie — wykrztusiła — doktor Malina leży w wózku... A w takim razie ci dwaj... — spojrzała na nas groźnie.

Nim jednak zdążyła wyjawić swe straszne podejrzenia, z głębi korytarza rozległ się tubalny głos dyrektora Otrębusa.

— Panowie, jak długo mam jeszcze czekać, proszę szybko do mnie — wyraźnie kiwał na nas palcem.

Ruszyliśmy skwapliwie w jego kierunku. Mimo wszystko mniej baliśmy się doktora Otrębusa niż Grubej Cesi. Oczywiście Gruba Cesia nie miała zamiaru wypuszczać nas z rąk i po chwili osłupienia ruszyła za nami z krzykiem:

— *To nie lekarze! To ci, którzy uciekli ze stołu, panie doktorze...*

Lecz i tym razem los dla nas okazał się niezmiernie łaskawy. Oto bowiem otworzyły się nagle drzwi windy i wygramolił się z nich wielki dostojny człowiek, z wielką wełniastą czupryną.

— *O Boże, pan naczelnik!* — *zmieszala się Gruba Cesia i stanęła jak wryta.*

Akurat znajdowaliśmy się wtedy tuż przy windzie i korzystając z tego, że naczelnik zagroził siostrze drogę, czym prędzej wpakowaliśmy się w drzwi windy, zatrzaskaliśmy je spieszenie, nacisnęliśmy guzik z napisem „piwnica” i zjechaliśmy na sam dół. Tu, w korytarzu wiodącym do szpitalnej pralni ściągnęliśmy z siebie pośpieszenie lekarskie stroje.

— *W co się ubierzesz* — *zapytałem Zyzia* — *skoro twoje ubranie jest w depozycie? Może poszukamy czegoś dla ciebie w pralni?*

— *Nie ma potrzeby* — *powiedział Zyzio i poklepał się po brzuchu.*

Dopiero teraz zauważyłem, że w pasie okręcony jest jakimś ciuchem koloru zgnilej zieleni. Rozwinął go spieszenie i zaczął naciągać na siebie. Okazało się, że jest to roboczy kombinezon.

— *Skąd to masz?* — *wytrzeszczyłem oczy.*

— *To kombinezon Andrzeja Buły... a dokładnie: służbowy kombinezon modelarni LOK z ulicy Saperów. Jak mi powiedział Buła, a wiesz przecież, że leżeliśmy na sąsiednich łózkach, ten przypadek zdarzył mu się właśnie w modelarni. Bo on miał głupi zwyczaj trzymania w zębach różnych rzeczy, takich jak gwoździe czy szpilki, nie mówiąc o ołówkach i długopisach. Znasz ten typ ludzi, dla których dwie*

reçe to za mało. Buła właśnie należał do takich, no i będąc w modelarni połknął gwóźdź czy też kawałek pisaka i zabrali go stamtąd tak jak stał, w kombinezonie roboczym, prosto do szpitala. Buła bał się operacji i planował ucieczkę; udało mu się ukryć kombinezon w łóżku pod materacem.

— I ty z tego skorzystałeś... Czy Buła o tym wie?

— Nie. Skąd ma wiedzieć? Przecież zabrali go na stół operacyjny, zanim powtórnie zjawilem się w jego sali... — Zyzio urwał nagle, bo zbliżała się do nas pani magister Siuchta.

— Co ty tu robisz? Przywiozłeś nowe brudy? — zapytała Zyzia.

— Tak, proszę pani — odparł Zyzio nie tracąc przytomności umysłu

— dwa komplety ubrań lekarskich z chirurgii do uprania ekstra i ekspresso, a nawet espressimo — wskazał na rzucone przez nas szaty i obaj spiesznie opuściliśmy pralnię.

— No, udało się — odetchnął Zyzio, gdy znaleźliśmy się szczęśliwie na dworze. — Która godzina?

— Kwadrans po dziesiątej — odparłem ponuro, uświadomiwszy sobie, że czeka nas jeszcze przeprawa w szkole. Jak usprawiedliwić naszą nieobecność?

— Zdążymy dopiero na czwartą lekcję — zauważył Zyzio. — Czy zawiadomiłeś moich starych, że jestem w szpitalu...

— Twoich starych?!

— Przecież miałeś zadzwonić, żeby czekali rano w portierni...

— Na śmierć zapomniałem! — wyznałem bardzo zmieszany.

— *Zapomniałeś?! — Zyzio spojrział na mnie wściekły.*

— *Gdy dowiedziałem się, że zabrali cię na operację, na prawdziwą operację, to straciłem głowę...*

— *Fatalnie! — wykrzyknął Zyzio. — Popsuleś cały plan! Kto nam teraz napisze usprawiedliwienia do szkoły?! Kto uwierzy, że byłem całą noc w szpitalu...*

— *Jeszcze nic straconego — zauważyłem — mogę teraz zadzwonić.*

Powiem, że właśnie wychodzisz ze szpitala po nocnych zabiegach i żeby przyszli po ciebie do poczekalni. Ty będziesz tam już czekał... może uwierzą.

— *Bardzo wątpię — jęknął Zyzio.*

— *Powiem im, żeby zapytali moją mamę... Moja mama poświadczy, że już wczoraj wieczorem, kiedy byłeś u nas, czuleś się bardzo źle... i że odprowadziłem cię do szpitala... tak jej powiedziałem.*

— *Tak powiedziałeś?*

— *Przecież to szczerą prawdą.*

— *No, niby tak... Zresztą nie mamy innego wyjścia, więc dobrze,*

spróbuj zadzwonić — zgodził się Zyzio. — Telefon masz w portierni.

Pobiegłem do portierni. Do aparatu była kolejka. Zająłem miejsce w kolejce i usiadłem na ławce w poczekalni szpitalnej. Nagle drgnąłem. Naprzeciw mnie siedziała pani Gnacka, mama Zyzia. Zerwałem się z ławki.

— *Pani tutaj?*

— *Ach, to ty, Tomku — ożywiła się pani Gnacka — na miłość boską,*

co się stało z Zyziem?

— Pani nie wie? — wykrztusiłem.

— Wiem tylko, że jest w szpitalu.

— Skąd pani wie?!

— Od twojej mamy.

— Dzwoniła pani do nas?

— Aśka mi powiedziała, że widziała was razem w czasie pożaru.

Więc kiedy Zyzio nie wrócił na noc, zadzwoniłam do ciebie... już spałeś.

Telefon odebrała twoja mama. Powiedziała, że mój Zyzio jest w szpitalu,

ale żebym się nie martwiła, bo to nic poważnego. Mimo to

przestraszyłam się, bo jakby nie było nic poważnego, to czy zabraliby

chłopaka do szpitala? I zaraz zadzwoniłam do dyżurnej siostry i do

informacji, ale powiedzieli mi, że nic nie wiedzą o moim synu, że wcale

nie był przywieziony do szpitala i że nigdzie nie jest zarejestrowany, ani

na izbie przyjęć, ani na pogotowiu... Więc całą noc nie spaliśmy i

szukaliśmy Zyzia po całym mieście, a potem pomyślałam, że jedyny

prawdziwy ślad to jednak ten szpital, bo przecież pani Okistowa nie

mogła się mylić. Więc przyszłam tu z samego rana i zapytałam tego

starego odźwiernego z budki przy bramie, czy późnym wieczorem albo

w nocy nie wpuszczał do szpitala jakiegoś chłopca... I on sobie

przypomniał, na szczęście ma dobrą pamięć, że wpuszczał dwóch,

jednego z zabandażowaną ręką i opisał go dokładnie. To był rysopis

Zyzia, nie mogło być wątpliwości. I powiedział, że ten chłopiec nie

wyszedł ze szpitala do tej pory, a zatem musi tu na pewno być. Więc

pobiegłam do tego okienka, gdzie informują i zrobiłam awanturę.

Nadbiegła siostra dyżurna i nagadałam jej, co myślę o porządkach w tym szpitalu. Siostra, owszem, bardzo cierpliwa osoba, wysłuchała spokojnie i kazała poczekać. Obiecała, że zbada i wyjaśni sprawę... Może zarejestrowali Zyzia pod innym nazwiskiem...

— Niech się pani nie martwi — przerwałem w tym miejscu — już wszystko wyjaśnione. Zaraz przyprowadzę tu Zyzia. Właśnie go zwolnili... Badania nie wykazały nic poważnego...

— Naprawdę? — ucieszyła się pani Gnacka.

— Tylko niech pani o nic go nie pyta i nie robi mu żadnych wyrzutów. Lepiej w ogóle nie wspominać o wczorajszych zdarzeniach...

On ma uraz głowy i mogłyby u niego wystąpić znowu zaburzenia... musi mieć spokój, proszę pani.

— Tak, tak, oczywiście... będę pamiętała — otarła łzę pani Gnacka — żeby tylko przyszedł... żeby tylko mogła go zabrać do domu.

— Na pewno będzie pani mogła — odpowiedziałem. — Proszę chwilę poczekać.

Pobiegłem po Zyzia, wyjaśniłem mu zwięźle, jak sprawy stoją, i przyprowadziłem go do matki.

— Dlaczego w takim kombinezonie? — to były pierwsze słowa pani Gnackiej.

Zdumiewające i raczej przykre, że przede wszystkim to ją zainteresowało. Przykre i niebezpieczne.

— Nieważny, zewnętrzny szczegół, proszę pani — rzekłem

pośpiesznie, starając się zwrócić zainteresowanie tej prozaicznej i zbyt praktycznej kobiety w stronę uciech duchowych. — Niech pani lepiej cieszy się Zyziem, że wszystko się dobrze skończyło.

Zyzio zrobił sympatyczną „księżycową minę” i uściskał matkę.

— Naprawdę bardzo mi głupio, mamo, z powodu tego... przypadku

— rzekł skruszonym głosem, ale z powodu tej jego „księżycowej miny” trudno mi było stwierdzić, czy była to skrucha szczera.

— Tyle nieszczęść, tyle zmartwień — pani Gnacka raz po raz ocierała oczy. — Ty zawsze musisz coś zrobić takiego... Dlaczego inne matki mają spokojne dzieci...

— Pani obiecała nie wspominać! — wtrąciłem. — Chodźmy lepiej stąd szybko, bo musimy przecież do szkoły...

— Spytam jeszcze doktorów...

— Nie... nie, żadnych pytań. Dzisiaj jest w szpitalu pewne zamieszanie, proszę pani, mogliby przez pomyłkę wziąć Zyzia na operację albo w najlepszym razie zacząć go badać od początku... Nie... nie... idziemy do szkoły. Prosimy tylko o usprawiedliwienie...

Wystarczy, jak pani napisze, że byliśmy obaj w szpitalu i dlatego spóźniliśmy się na lekcje.

Sprawę z panią Gnacką udało się załatwić pomyślnie. Pół godziny później Zyzio przebrany już i z książkami w worku maszerował wraz ze mną do szkoły.

— Myślisz, że to wszystko nam się upiecze? — zapytałem, wciąż jeszcze pełen wątpliwości.

— *Już nam się upiekło!* — odparł Zyzio.

— *Nie jestem pewien. Jak myślisz, po co Otrębus wezwał wszystkich lekarzy do swojego gabinetu? Żeby wyjaśnić sprawę zaburzeń. No i wyjaśnią. Czy to takie trudne? Wystarczy, że Wojtek powie...*

— *Wojtek nie powie. Uprzedziłem go.*

— *A Buła? A Piżmak? Znają nasze nazwiska.*

Zyzio umilkł. Trudno było liczyć na dyskrecję Piżmaka czy Buły i trzeba było być przygotowanym na najgorsze.

Moje przeczucia mnie nie myliły. Ledwie bowiem skończyła się lekcja z panem Pelmanem i nie zdążyliśmy jeszcze wybiec na korytarz, gdy zjawił się Piesio z ósmej, który od pewnego czasu pełnił funkcję pierwszego gońca Oberona i specjalizował się w przynoszeniu złych wieści.

— *Gnacki i Okist do pana dyrektora!*

Spojrzeliliśmy na siebie. No więc zaczęło się.

Z ponurymi minami, jak skazańcy, stawiliśmy się w gabinecie.

Oberon, jak zwykle, „tonął” w pracy. Po jednej stronie biurka — sterta papierzysek z urzędowymi nadrukami, po drugiej — dwa aparaty telefoniczne. Właśnie, podtrzymując brodą słuchawkę (jak on to potrafi?), prowadził służbową rozmowę przez telefon, w tym samym czasie lewą ręką grzebał w korespondencji, a prawą robił notatki.

Zdumiewająco wielostronny człowiek, jednocześnie potrafi wykonywać trzy różne czynności. Prawdziwy sztukmistrz. Mógłby występować w cyrku. Byliśmy bardzo dumni z talentów naszego Oberona.

Przez dwie minuty, a może nawet dłużej, wystawieni byliśmy na męki oczekiwania. Oberon udawał, że nas nie zauważa. Wreszcie odłożył słuchawkę i nie przerywając grzebania w papierach powiedział:

— Ładnych rzeczy ja się o was dowiaduję... Miałem właśnie pięć minut temu telefon ze szpitala...

Dreszcz przeszedł nam po kręgosłupie, a po żebrach ciarki.

— My naprawdę nic... panie dyrektorze — zaczął Zyzio, ale Oberon zgasił go natychmiast:

— Cicho, teraz ja mówię. Czy to się godzi, moi drodzy, żebym ja się dowiadywał o waszych sprawach od osób trzecich i postronnych...

Takie rzeczy melduje się natychmiast! A wy jakieś konspiracje... A potem mam telefony i nie wiem, o co chodzi, w czym rzecz, i wychodzę na ignoranta, który nie ma pojęcia, co w trawie piszczy mu pod samym nosem... że tak powiem. I nie wyglądam mądrze. Czy to ładnie robić ze mnie balona... bo, powiedzcie sami?

Ale my woleliśmy nie wypowiadać się w tym względzie, więc milczeliśmy. To wszystko są zasadzki Oberona. Chce nas doprowadzić do tego, żebyśmy własnymi słowami, sami, potępili nasze uczynki i wydali na siebie wyrok. To jego sposób — zadaje takie niby niewinne pytania... Ale my znaleźliśmy te zagrania i wiedzieliśmy, że o cokolwiek by pytał, nie wolno nam udzielać teraz odpowiedzi. O, nie ma głupich, nie ułatwimy Oberonowi zadania, nie damy się własnymi rękami wsadzić do pułapki.

Oberon spojrział na nas ciężko nieruchomym okiem.

— *Cóż to? Zabrakło wam słów? Oczywiście, zawsze i wszędzie*

wygadani, tylko nie w szkole. Wszędzie aktywni, tylko nie tutaj.

Patrzyliśmy w podłogę. Oczywista insynuacja! Wyjątkowo

niesprawiedliwe zarzuty. Przecież dotąd Oberon z reguły zarzucał nam

właśnie wygadanie i piętnował nasze rzekome gadulstwo. A co do

aktywności? Czy już zapomniał... od kogo wyszedł pomysł stworzenia

Straży Porządkowej i kto pomógł wyświecić tajemnicę woźnego

Macocha, zwanego Bamboszem?

— *Ha, boicie się spojrzeć mi w oczy? — grzmiał Oberon. — No*

pewnie, tak się nie postępuje, moi drodzy... Ja sobie wypraszam...

— *A o co chodzi, panie dyrektorze — wykrztusiłem nieszczerze — my*

naprawdę nie rozumiemy...

— *Żeby robić mi takie rzeczy... To niesłychane! Przeżyłem poważny*

szok...

— *Szok?*

— *Zupełne zaskoczenie. To niezdrowe w moim wieku, to mi źle robi*

na serce.

— *Jakie zaskoczenie?*

— *Że*

mam

w

szkole

gazetowych

bohaterów,

działaczy,

zamaskowanych aktywistów!

— Aktywistów?

— PCK!

Łypnęliśmy okiem nieufnie w stronę Oberona. Czy to miała być gorzka ironia, czy też zasuwa poważnie? Nie... nie ma żadnej ironii.

Oberon nagle zrobił się poważny.

Gnat odchrząknął.

— Przepraszam, panie dyrektorze, ale skąd ta wiadomość?

— Jak to? — zmarszczył brwi Oberon. — Nie czytaliście dzisiejszej gazety? No to przeczytajcie! — wskazał na zakreśloną na ostatniej stronie notatkę.

Przeczytaliśmy osłupiali. A notatka brzmiała dokładnie tak:

DWÓCH CHŁOPCÓW URATOWAŁO DZIEWCZYNKĘ

Wczoraj dwóch uczniów szkoły T. Rejtana, Zygmunt Gnacki oraz Tomasz Okist, przywiozło na ostry dyżur do szpitala miejskiego 12-letnią Renatę S. znajdującą się w stanie ostrej zapaści.

Jak nas poinformował dyrektor szpitala doktor Otrębus, tylko szybka pomoc i natychmiastowe zorganizowanie transportu przez chłopców uratowało życie Renacie S.

Obaj chłopcy są od dawna znani jako aktywni i ofiarni działacze szkolnej organizacji PCK.

Oberon zaśmiał się, jakby szyderczo, a potem zapytał:

— Przeczytaliście?

— *Tak* — wymamrotał zaskoczony Zyzio.

— *Czy to się zgadza?*

— *Nie...*

— *Nie?!*

— *To znaczy, niezupełnie... — zaczerwieniłem się.*

— *To znaczy, przesadzili — dodał Zyzio. — Propaganda.*

— *Jak to w gazecie, panie dyrektorze.*

— *My... my wcale nie jesteśmy znani od dawna.*

— *Ściśle mówiąc, ani od dawna, ani znani.*

— *A po drugie, nie jesteśmy działaczami.*

— *Poza tym nie ma tu nic o Matyldzie Opat — zauważyłem czując, że głupio czerwienię się coraz bardziej. — A to przecież ona dostarczyła karawan...*

— *Karawan?! — wytrzeszczył oczy Oberon. — Jaki karawan?*

— *To znaczy autobus — wyjaśniłem.*

— *Autobus?*

— *Autobus pogrzebowy, panie dyrektorze.*

Oberon nastroszył się.

— *Co to?! Znów jakieś żarty? Wy sobie kpicie ze mnie.*

— *Ależ nie, panie dyrektorze — wyjąkałem przestraszony — to był naprawdę autobus pogrzebowy... to znaczy ślubno-pogrzebowy, bo kiedy myśmy wieźli tę dziewczynę takim małym wózkiem, to właśnie nadszedła Matylda Opat... — i opowiedziałem dokładnie, ze wszystkimi szczegółami.*

— *Niesamowite — Oberon potarł nerwowo łysinę — zupełnie niesamowite.*

— *Wiem, że panu dyrektorowi ta wersja się mniej podoba, ale niestety — jęknąłem — takie jest życie.*

— *Nie... nie, moi drodzy, to mi się podoba, to mi się podoba coraz bardziej. Właśnie pomyślałem sobie...*

— *Naprawdę, panie dyrektorze, z tymi działaczami to przesada — przerwaliśmy pośpiesznie, przestraszeni, że Oberon swoim zwyczajem wrobi nas teraz w jakąś prawdziwą działalność — to wszystko był przypadek, wyjątkowy przypadek, każdemu mogło się zdarzyć, panie dyrektorze.*

— *Każdemu?! — skrzywił się Oberon. — Chyba jesteście zbyt skromni. Dyrektor Otrębus dzwonił do mnie ze szpitala i powiedział mi, że wyróżniacie się od dawna, macie jakieś niezwykle sukcesy na tym polu... Co to było?... A tak, już przypomniałem sobie... Bandażowanie. Ćwiczenia sanitarne... Pierwsza pomoc... Podobno zakasowaliście Defonsiarnię. No i ta fantastyczna historia z chorym Wojtkiem. Słyszałem, że jesteście specem od psychoterapii, Gnacki. A może macz zdolności hipnotyczne? Czy doktor Otrębus mógłby to wszystko wyssać z palca? Na pewno nie wyssał.*

— *Nie wyssał, panie dyrektorze... Ale my naprawdę dopiero od wczoraj...*

— *Chcecie powiedzieć, że to wszystko zdarzyło się w ciągu jednego dnia?*

— *Tak jest, panie dyrektorze.*

— *To był w takim razie jakiś nadzwyczajny dzień — zauważył ironicznie Oberon.*

— *I bardzo długi.*

— *Tak. Zupełnie niezwykły!*

— *Tak, najdłuższy dzień w moim życiu — zamruczał Zyzio — ale to wszystko przypadek, panie dyrektorze...*

— *Po prostu, w wyniku pewnych...*

— *Pewnych okoliczności musieliśmy — zakończył Zyzio.*

— *Musieliśmy — potwierdziłem.*

— *Musieliście? Chcecie powiedzieć, że wplątaliście się w jakąś kabałę? — zainteresował się nagle Oberon.*

— *Nie... skąd, tylko te okoliczności...*

— *Jak was znam, z pewnością nader niejasne.*

— *Słowo daję, że nasze motywy...*

— *Z pewnością były nieczyste, jak zwykle... Warto by zbadać ten fenomen.*

Przestraszyliśmy się nie na żarty.

— *Pan dyrektor chce wnikać?*

Ale Oberon wolał nie wnikać, dając dowód swej dojrzałości pedagogicznej.

— *Nie — machnął ręką — nic nie chcę wiedzieć, bo jestem przekonany, że głowa by mi spuchła. To są moje rozważania teoretyczne... Wolę trzymać się tego, co mi powiedział doktor Otrębus.*

— *Grzebał roztargniony w papierach lypiąc na nas czujnym okiem.*

— *Co ja jeszcze miałem wam powiedzieć... A... tu mam zapisane.*

Dzisiaj, o godzinie siedemnastej, macie zebranie.

— *Zebranie?*

— *W szpitalu, gabinet dyrektora. Doktor Otrębus prosi, żebym was delegował. Więc deleguję was. Jutro złożycie mi sprawozdanie.*

— *Nie!... — jęknął Zyzio z rozpaczą w oczach.*

— *Co takiego?! — podniósł głos Oberon.*

— *Nic, panie dyrektorze — spłoszył się Zyzio.*

— *Chciałeś coś powiedzieć.*

— *Chciałem powiedzieć, że... że to już zupełna heca!*

Rozdział XII

TAJEMNICZA SPRAWA ADELI [\[top\]](#)

Zebranie aktywu PCK odbyło się w atmosferze niepokoju i podniecenia. Już na wstępie doktor Otrębus zaznaczył, że zaszły pewne przykre wypadki, które zmusiły go do nagłego zwołania posiedzenia.

Bąłem się, czy mimo wszystko nie chodzi tu o wczorajsze wybryki Zyzia i moje, okazało się jednak, że Otrębus ma znacznie poważniejsze zmartwienia na swojej posiwiałej głowie.

— *Ostrzegalem — mówił — straszylem, uprzedzałem, że stan sanitarny tego miasta jest poniżej dopuszczalnego krajowego minimum, co ja mówię, poniżej wszelkiej krytyki! Walczyłem całe dwa lata, o filtry, o oczyszczalnie ścieków, o nowoczesne umywalnie i szalety miejskie, o higienę w bufetach, barach, restauracjach i stołówkach, nie*

mówiąc już o szkołach, przedszkolach i żłobkach — wszystko groch o ścianę. Inne okoliczne miasta i osady zrobiły wielki krok naprzód, a u nas nic się nie zmieniło, a raczej zmieniło się na gorsze, bo ludzi przybyło i przybyło brudasów, a inwestycji sanitarnych ani na lekarstwo... No i stało się to, co się stać musiało. Mamy epidemię... Zapanowała chwila nieprzyjemnej ciszy. Wszyscy znieruchomieli na swoich miejscach.

— Epidemię?! Jaką epidemię?!

— Żółtaczkę. Ta biedna Renia nie była ani pierwsza, ani ostatnia...

To epidemia, moi drodzy!

Nie wszyscy wiedzieli, co to jest żółtaczka, i Otrębus musiał wyjaśnić w kilku zdaniach objawy i przebieg tej choroby. Szczególnie zaakcentował, że jest to choroba wirusowa i że wirus żółtaczki jest wyjątkowo odporny. Zrozumieliśmy także, iż między innymi objawami chorobę tę w jej rozwiniętym stadium poznaje się po żółtym zabarwieniu powłok cielesnych pacjenta. Mimo woli każdy z nas powiódł okiem po pozostałych uczestnikach zebrania, ale na szczęście nikt z obecnych nie wyróżniał się specjalnie żółtym kolorem, wszyscy natomiast byli nienaturalnie bladzi.

Doktor Otrębus odchrząknął.

— Oczywiście, nie ma powodu do paniki — dodał. — Jak dotąd, mamy tylko pięć wypadków zachorowań, jeśli jednak nie zabierzemy się energicznie do walki... no... to może być gorzej... znacznie gorzej... powiedziałbym, tragicznie.

Następnie roztoczywszy przed nami ogrom niebezpieczeństwa powiedział, że niezależnie od wszystkich administracyjnych posunięć i postawienia służby zdrowia w stan alarmu — liczy na młodzież. Potem przeszedł do zadań, jakie nas czekają, do wzmożenia walki o higienę w naszym środowisku, zwłaszcza w szkole. Było nam bardzo przykro, bo oświadczył w tym miejscu, w obecności licznej delegacji naszych wrogów — Defonsiaków i, co jeszcze gorsze — w obecności Adeli, że najgorzej sytuacja przedstawia się u Rejtana, to znaczy w naszej budzie. A potem zrobiło się nam z kolei niesamowicie głupio, bo powiedział, że, na szczęście, na tle czarnej sytuacji w naszej szkole maluje się jaśniejsza plama i tą plamą jest działalność niejakiego Zygmunta Gnackiego oraz Tomasza Okista. „Koledzy ci od dwu dni znaleźli się w czołówce działaczy PCK”. Następnie opowiedział w paru słowach o naszej zadziwiającej aktywności na tym polu i udzielił nam publicznie pochwały. My tymczasem przeżywalismy chwilę, mówiąc oględnie, niepokoju, ponieważ akurat wtedy weszła do gabinetu nasza dobra znajoma, siostra Celestyna. Odwróciliśmy czym prędzej twarze do ściany udając, że zainteresowała nas pajęczyna zwisająca z sufitu. Siostra Celestyna rozglądała się przez chwilę dookoła, z widoczną niechęcią przesuwając wzrok po zgromadzonych dziewczętach i chłopcach.

Dyrektor Otrębus przerwał swoje peany na naszą cześć.

— Co się stało, siostrze? — zapytał z niepokojem. — Jakieś złe nowiny? Nowe zachorowania?

— *Na razie jedno — odburknęła Gruba Cesia.*

— *Kto?*

— *Doktor Malina.*

— *Ma żóltaczkę?! — przestraszył się Otrębus.*

— *Żóltaczkę?! — Gruba Cesia zaśmiała się niskim głosem. — Nie, to coś jeszcze gorszego. — Nachyliła się nad dyrektorem i przez chwilę szeptała mu coś do ucha.*

— *Co też siostra?! — skrzywił się Otrębus. — Jak siostra może takie rzeczy... Mamy epidemię, a siostra z takimi głupstwami!*

— *To nie są głupstwa! — oburzyła się Gruba Cesia. — Pan dyrektor sam powiedział, że w obliczu epidemii mamy się zmobilizować, ale jak się mamy zmobilizować, kiedy mamy stresy, bo doktor Malina wciąż z tą coca-colą. To są poważne zaburzenia!... Żeby nam wmawiać, że to myśmy mu coś dosypały do coli!... Zabrał siostronom wszystkie butelki i oddał do analizy. Twierdzi, że te objawy nastąpiły po wypiciu coca-coli... Dzwonił do Sanepidu, żeby przysłali inspektorów. A kiedy przełożona chciała mu podać łyżeczkę syropu na uspokojenie, potraktował siostrę bardzo niegrzecznie...*

— *Dosyć — chciał przerwać Otrębus, ale Gruba Cesia go nie słuchała.*

— *Od rana nam urządza wściekłe awantury, twierdzi, że to my wsypałyśmy mu czegoś do coca-coli...*

— *A to nie wy?*

— *Co też pan dyrektor... Nie spodziewałam się, że i pan...*

— *Więc kto?!*

— *Według mnie to chyba ta fałszywa salowa, co dzisiaj pokazała się w szpitalu, albo ci chłopcy... co mieli iść na operację, albo ten, co uciekł ze stołu, ten Buła... ale on się wypiera wszystkiego, mówi, że to nie on uciekł, że zabrali kogo innego na stół przez omyłkę, że on ma świadków, że cały czas był w świetlicy i oglądał w telewizji powtórzenie odcinka serialu „Colombo”.*

— *Co ja się dowiaduję — jęknął Otrębus — więc wciąż jeszcze nie wiecie, kogo mieliście operować i kto uciekł?*

— *Niestety, śledztwo nie dało wyników... Tylu się tu pęta różnych uczniów — spojrzała na nas spode łba.*

— *Niech pani nie zwala na uczniów siostrzo... Bałagan się wkradł! Po prostu bałagan! Ta afera musi być wyświetlona do końca! To zbyt poważne sprawy, żeby można było machnąć ręką...*

— *Tak jest, panie dyrektorze... Niech pan będzie spokojny, na szczęście zapamiętałam dobrze te podejrzone twarze. Wcześniej czy później zdemaskuję sprawcę! — oświadczyła siostra Celestyna i ponownie przesunęła gniewnym wzrokiem po zgromadzonej młodzieży.*

— *Będę zaglądać w oczy, pójdę do szkoły, wytropię i przyprowadzę za uszy...*

— *Och, nie! — wyrwało mi się niechcący, zapewne ze strachu.*

Oczywiście ugryzłem się zaraz w język i schowałem się za szerokimi plecami Grubego Cypka, ale Otrębus nastawił już ciekawie ucha.

— *Ktoś coś powiedział?*

— *To Okist, panie dyrektorze — usłużnie podpowiedział Gruby*

Cypek. — Niech lepiej pani mu się od razu przyjrzy — obrócił się do

*Grubej Cesi — te hece to do niego podobne... — urwał nagle, bo zauważył
groźne spojrzenie Adeli.*

— *Ty coś wiesz? — Gruba Cesia wpatrywała się w Grubego Cypka z*

*wyraźną sympatią, zapewne z racji pokrewnej tuszy. — Dobrze ci patrzy
z oczu, dziecko, i masz solidny wygląd. Gdybyś zechciał mi pomóc...*

Ale Gruby Cypek zrozumiał, że palnął głupstwo i że jego wredna

uwaga bardzo mu zaszkodziła w oczach Adeli, więc chrząknął

zakłopotany i zamruczał:

— *Nie... ja nic nie wiem, proszę pani, żartowałem tylko, my stale*

nabijamy się nawzajem z siebie, więc dlatego chciałem zrobić Okista...

— *A jednak chciałabym przyjrzeć się temu Okistowi — powiedziała*

ponuro siostra Celestyna i ruszyła w moim kierunku.

— *Nie... to na pewno nie on — Cypek zagroził jej drogę — on ma*

alibi, dzisiaj od piątej rano razem badaliśmy natężenie ruchu na Trasie

Wylotowej, proszę pani...

— *Wy? — wybaluszył oczy Otrębus.*

— *Tak jest. Liczyliśmy pojazdy i zapisywaliśmy w rubrykach — łgał*

gładko Cypek. — Praca społeczna, na zlecenie wydziału komunikacji i z

ramienia drużyny, bo nam było potrzebne do oceny, bo pani chciała

wstawić nam tylko „wyróżniający”, a my chcieliśmy, żeby było

„wzorowy”, więc poszliśmy pracować na to konto...

— *Naprawdę zadziwiacie mnie...*

— *Panie dyrektorze, niech pan nie wierzy — zasapała siostra*

Celestyna — ten gruby kręci. Jego powierzchowność mnie zmyliła, ale skoro teraz widzę, że on ma diabła pod skórą...

— *Niechże siostra przestanie! Siostra jest zdenerwowana i wszędzie widzi podejrzanego typy... Niechże siostra nie diabolizuje!*

— *Jak mam nie diabolizować, kiedy ten Okist... Pan dyrektor sam słyszał, że jemu się coś podejrzanego wyrwało...*

— *To prawda, sam słyszałem. Co to miało znaczyć Okist? — Otrębus zwrócił się do mnie.*

— *Nic... nic takiego, panie dyrektorze — wybelkotałem, wciąż kryjąc twarz za plecami Grubego Cypka i wpatrując się w sufit.*

— *Co ty tam widzisz? — zainteresował się Otrębus.*

— *No... pajęczynę!*

— *Co? Pajęczynę?! — zdumiał się Otrębus.*

— *Tak, po prostu pajęczynę.*

Wszyscy zadarli głowy do góry. Istotnie, z wysokiego sufitu zwisała długa srebrzystoszara nić pajęczyny kołysząc się lekko, poruszana niewyczuwalnymi prądami gabinetowego powietrza.

Otrębus zatrzęsł się.

— *To rzeczywiście skandal! Pajęczyna?! Taka wielka? U mnie?! To nas kompromituje! Siostrze, niech siostra przyśle mi zaraz Nowaka z drabiną, miotłą i ścierką!*

Siostra Celestyna wybiegła.

— *Nie potrzeba wzywać pana Nowaka — powiedział nagle Zyzio —*

my sprzątniemy sami — i nim się ktoś zorientował, porwał ze stolika flakon, wyciągnął z niego podobną do miotły wielką sztuczną różę na zielonej lodydze z patyka. — Podsadź mnie, Tomciu — obrócił się do mnie.

— Nie dosięgniesz — wykrztusiłem.

— Wejdę na Wielkiego Cypallę — powiedział Zyzio. — Trzymaj mnie, Cypek!

Gruby Cypek chciał protestować, ale Zyzio już stanął na jego ramionach i jednym sprawnym ruchem oczyścił sufit z pajęczyny.

— Gotowe, panie dyrektorze — otrzepał ręce.

— Dziękuję — rzekł zaskoczony i nieco przerażony naszą aktywnością Otrębus. — Wy naprawdę jesteście o-o-operatywni... Jedno mnie tylko dziwi — dodał po chwili — skąd w takim razie takie zaniedbania w waszej szkole...

— Trudno jest być prorokiem we własnym kraju — bąknął nieco od rzeczy Zyzio.

— Sądziłem jednak, że poczyniliście już pewne kroki... to znaczy próby...

— Higiena jest naszym hobby, panie dyrektorze — zapewnił skwapliwie Zyzio. — Chcemy walczyć, to nasze marzenie, walczyć o zdrowie. To nas w tej chwili opanowało.

— Tak, jednakże wasz dyrektor wyraził zdziwienie, że nic o tym nie wie.

— Nic nie wie? — z kolei Zyzio zdziwił się nieszczerze.

— *Nie przedstawiliście żadnej propozycji, w ogóle nie pisałeś ani słowa, w ogóle nie funkcjonujecie w jego świadomości. Nie zna was od tej strony. To było również dla mnie przykre zaskoczenie.*

Zyzio chrząknął zakłopotany.

— *To prawda... zaszła pewna...*

— *Pewna zwłoka — uzupełniłem.*

— *Byłem... nie... niedysponowany, panie dyrektorze.*

— *Co takiego?*

— *Pożar... może pan dyrektor słyszał... to właśnie w moim domu.*

Był wybuch w piecu.

— *Przykro mi, ale sądziłem, że już przedtem daliście się poznać w szkole...*

— *Oczywiście, że daliśmy się poznać.*

— *Jednakże pan... pan Oberowicz miał zasadnicze wątpliwości.*

Podejrzewam, że daliście się poznać raczej... raczej nie od tej strony.

— *To możliwe — przyznał Zyzio. — Pan dyrektor wie, że ludzie patrzą raczej powierzchownie... i wpadają im w oczy nieistotne rzeczy...*

— *zauważył markotnie — ale pan dyrektor od razu spojrział głębiej... i chyba pan dyrektor nam wierzy... pan dyrektor na pewno widzi...*

— *Tak, widzę pod pianą głęboki nurt — rzekł Otrębus z namaszczeniem, marszcząc brwi.*

A potem roześmieliśmy się wszyscy.

Ale zaraz zadzwieczał telefon. A gdy Otrębus podniósł słuchawkę, od razu śmiech zamarł na jego ustach. Przez chwilę udzielał odpowiedzi

monosylabami, a potem zwrócił się do nas:

— Niestety, musimy się pożegnać. Mamy naradę w wydziale zdrowia. Doktor Malina zajmie się wami. I jeszcze jedno. Od jutra nie będziecie mogli przychodzić do szpitala, wstrzymujemy wszystkie odwiedziny i ograniczamy do minimum kontakty aż do czasu opanowania epidemii. Ale liczę, że będziecie mieli aż nadto duże pole do działania w swoich domach i szkołach. Będziemy się spotykać w Klubie PCK, co tydzień, jak dotąd.

Doktor Malina miał raczej dość nudną pogadankę i raczej dość ciekawe kolorowe filmy o wypadkach i chorobach. Kiedy wszyscy byli przejęci do głębi demonstrowanym przypadkiem tężca, który się wywiązał w następstwie zaniedbanego, nieodpowiednio opatrzonego skaleczenia, uznałem, że nadeszła chwila, żeby wynieść się po cichu z tego niebezpiecznego miejsca. Trąciłem Gnata w bok.

— Idziemy.

— Niby dlaczego? — wyszeptał zapatrzony w ekran Zyzio.

— Bo może być gorąco. Ona czyha.

— Kto?

— Siostra, Gruba...

— Gruba Ce?

— Właśnie.

— Skąd wiesz?

— Widziałem, kiedy ktoś wychodził. Ona stoi przy drzwiach. Czeka, aż będziemy wychodzić... Wtedy nas zdemaskuje.

— *Nas?! — syknął Zyzio. — Nie przesadzaj, ona poluje tylko na ciebie. Głowę daję, że zapamiętała tylko twoją twarz.*

— *Więc nie wyjdiesz ze mną?*

— *A po co mam wychodzić?*

Przygryzłem wargi. No właśnie. Co pewien czas Zyzio daje takiego beztroskiego kopniaka naszej przyjaźni. Nie można na nim polegać. To fakt. Nie sprawdza się w pewnych sytuacjach.

— *Mogłem się tego spodziewać — szepnąłem z goryczą. — W końcu zawsze zostaję sam... ty myślisz tylko o sobie.*

— *No, no, nie rozklejaj się — warknął Zyzio. — Skończ tę żalospną mowę i spływaj. Przeszkadzasz mi, a ten tęczec jest kapitalny — zamruczał zapatrzony chciwie w ekran. — Popatrz, jak wyprężyło chłopaka, cały wypięty w łuk... O, do diabła, ciarki przechodzą...*

Ciekawym, czy to aktor, czy prawdziwy chory...

— *Cześć, baw się dobrze — podniosłem się z krzesła.*

— *Nie bądź głupi — Zyzio złapał mnie nagle za spodnie. — Co chcesz zrobić?*

— *Wyjść.*

— *Jeśli Gruba tam stoi, to cię złapie.*

— *Wyjdę przez pokój operatora.*

— *To co innego — Zyzio puścił mnie — ale nie bardzo rozumiem, czemu tak się śpieszysz. Wyjdiesz po filmie.*

— *Nie wyjdę, bo operator zamyka wtedy kabinę, bo wszyscy chcą tamtędy wychodzić i walą mu się na głowę.*

— *Cicho tam! Co za szepty!* — *zgromił nas doktor Malina.*

Nie przedłużając więc jałowej rozmowy z Zyziem przemknąłem się skulony między rzędami krzesel, ostrożnie uchylilem drzwi kabiny operatora i stanąłem jak wryty. Zamiast pana Pieniążka z PCK, który zwykle obsługiwał projektor, w kabinie było troje Defonsiaków, niejaki Krogulec, as techniki i prawa ręka Grubego Cypka, oraz dwie dziewczyny: Monika i... serce zamarło mi w piersiach — ta druga to była Adela we własnej osobie. Chichotali i szczebiotali wesoło, popijając przez słomkę jakiś płyn z butelki, która krążyła z rąk do rąk.

— *Czego?* — *na mój widok Krogulec skrzywił się niechętnie.*

— *Tomciowi pić się chce* — *zachichotała Monika i podsunęła mi butelkę.*

Stwierdziłem z rozczarowaniem, że jest to woda mineralna staropolanka.

— *Dziękuję... ja tylko... no, po prostu chciałem wyjść.* —

Doskoczyłem spiesznie do drugich drzwi i po chwili byłem już na korytarzu południowym, poza polem widzenia siostry Celestyny.

Chciałem ruszyć biegiem w stronę klatki schodowej, gdy nagle usłyszałem za sobą dźwięczny głos:

— *Poczekaj chwilę.*

Zatrzymałem się i odwróciłem zaskoczony. Na progu kabiny stała Adela. Uśmiechała się do mnie. Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek spotka mnie takie szczęście. Adela, dla której Rejtaniak był powietrzem, która nie zauważała mnie dotąd, uśmiechała się do mnie! Niesamowite!

— *Nie podoba ci się film? Przestraszyłeś się tężca? Czemu uciekasz?*

— *zapytała.*

— *Z powodu Grubej Cesi — odparłem.*

Adela zaśmiała się wyraźnie rozbawiona. Z początku zjeżyłem się odruchowo i nasłuchiwałem, czy nie ma w tym śmiechu jakiejś szyderczej nuty, ale nie stwierdziłem ani odrobiny szyderstwa.

Przeciwnie, patrzyła na mnie przyjaźnie i pod wpływem jej wzroku prysnęły wszelkie obawy, poczułem się od razu na pewnym gruncie.

Więc też zaśmiałem się i powiedziałem:

— *Wiesz... ona wmówiła sobie, ta niemądra Cesia, że ja mam coś wspólnego z dzisiejszym zamieszaniem...*

— *A nie masz? — w oczach Adeli zapaliły się wesołe ogniki.*

— *Nie rozumiem...*

— *Zdaje się, że widzieliśmy się dzisiaj tutaj...*

— *Tak? — udałem nieudolnie zdziwienie.*

— *Brali cię na operację. Podobno połknąłeś ostry przedmiot. No i jak... Już po operacji?*

— *O... obeszło się — wykrztusiłem — wyciągnęli mi rurę ssącą, bez operacji.*

— *Ty oszuście!*

— *Co?!*

— *Po co te zgrywy — zasapała Adela — ja wiem wszystko.*

Opowiedział mi Buła... Zastanawiam się tylko, po co to robiłeś? I chyba wiem — znów uśmiechnęła się do mnie.

— *Wiesz?*

— *To ci było potrzebne do pisania... Będziesz o tym pisał. Mam rację?*

Zaczerwieniłem się.

— *Oczywiście — wykrztusiłem pośpiesznie.*

— *No właśnie, od razu pomyślałam, że zbierasz po prostu materiał...*

Poddajesz go obserwacji.

— *Kogo?*

— *No, Zygmunta Gnackiego. Badasz jego zwierzęce odruchy w warunkach szpitalnych.*

— *Zwierzęce odruchy? — powtórzyłem i spojrzałem ponownie na Adelę, czy nie kpi sobie ze mnie. Ale ona była poważna.*

— *To jest chyba jedyny powód, dlaczego przebywasz tak często z tym osobnikiem. Badanie Zygmunta Gnackiego to duża frajda. Czy robisz to na czyjeś zlecenie, czy tak po prostu?*

— *Na zlecenie Instytutu Psychologii Specjalnej — odparłem bez zastanowienia.*

— *Myślę, że on się nadaje także do powieści — zauważyła Adela.*

— *Za bardzo się nim interesujesz — stwierdziłem niezadowolony.*

— *Za bardzo? Nie. W sam raz. Potem zrozumiesz — dodała tajemniczo.*

— *Co masz na myśli?*

— *To poważna sprawa... A raczej dwie sprawy. Nie chciałabym mówić o tym tutaj...*

— *A gdzie?*

— *Powiedzmy: jutro, o czwartej, w parku szpitalnym. Zgoda?*

Już miałem się zgodzić skwapliwie, ale ugryzłem się w język w ostatnim momencie. Nagle bowiem cała sprawa wydała mi się zbyt podejrzana. Te nagłe względy Adeli. To zainteresowanie moją, co tu dużo mówić, mizerną osobą. A jeśli jest to nowy podstęp Defonsiaków?

Jakaś perfidna zemsta Grubego Cypka? Toteż zamiast się zgodzić skwapliwie, przybrałem nagle chytry wyraz twarzy, uśmiechnąłem się krzywo i powiedziałem:

— *Ty? Ze mną? Umówić? Żartujesz chyba.*

— *Dlaczego tak myślisz? — stropiła się Adela.*

— *Czy Cypek o tym wie?*

— *Nie, a co to ma do rzeczy?*

— *Jak to co? Należysz przecież do Defonsiarni... Nie udawaj Greka, wiesz, jakie są stosunki...*

Adela zaśmiała się bez troski. Jak wspaniale potrafiła się śmiać!

Kąciki oczu unosiły się jej zabawnie do góry, w policzkach tworzyły się dołeczki, jej usta stawały się jeszcze czerwiejsze, zęby jeszcze bielsze, doprawdy, mogłaby służyć za reklamę pasty „Pollena”. Spuściłem oczy, gdyż czułem, że to jest bardzo niebezpieczny śmiech, i mogę skapitulować haniebnie, bo opuszczają mnie siły do walki i odchodzi dalsza ochota do zgrywania się na mocnego człowieka.

— *Cypek nas nienawidzi — zamruczałem ponuro.*

— *Chyba nie wierzysz sam w to, co mówisz... Poczciwy Cypallo nie*

jest do tego zdolny...

— Jednakże...

— To złudzenie.

— Spójrz na moją głowę! — zasapałem. — I na nos!

— O co chodzi! — Adela przestała się śmiać.

— Widzisz to podrapanie i ten guz?

— Owszem.

— No, więc przyjrzyj się, to jest prawdziwe podrapanie i prawdziwy guz. To podarunek od Cypka i jego ludzi... wczoraj. Więc chyba mi się jednak nie zdaje i nie wszystko jest złudzeniem.

— Nie rozumiem... słyszałam przecież, że współpracujecie, sam doktor Otrębus mówił, że wystąpiliście wspólnie na pokazie bandażowania... — Adela spojrzała na mnie zdezorientowana.

Zaśmiałem się gorzko.

— Nie udawaj, że nie wiesz, jak było naprawdę!

— Naprawdę nie wiem. Musisz mi opowiedzieć.

Opowiedziałem jej w kilku słowach, jak wczoraj Cypek napadł na nas ze swoimi ludźmi, gdy wracaliśmy ze stadionu, jak nas porwał samochodami i przymusowo obandażował.

— No więc sama widzisz! — zakończyłem. — On nas nienawidzi.

— To wszystko przez tę głupią rywalizację — powiedziała nieco oszołomiona i zbita z tropu Adela. — Te walki między szkołami! To dobre dla szczeniaków z trzeciej, czwartej, no, najwyżej piątej klasy! Ale nie bierzesz chyba tego poważnie? Nikt z mądrych dziewczyn i chłopaków

nie bierze tego poważnie.

— A Cypek...

— On nie jest poważny.

— Ale przez niego poważnie mnie boli głowa.

— Cypek to jeszcze nie Defonsiarnia. Nie demonizuj Cypka.

Większość z nas wyrosła z tego... Ja też wyrosłam już dawno —

spojrzała na mnie dziwnie. — Tomku, to chyba nie stanie między nami...

to byłoby okropnie głupie.

Zaczerwieniłem się.

— Tak... to byłoby okropnie głupie — zgodziłem się.

— A więc do jutra — Adela przesłała mi jeden ze swych

oszałamiających uśmiechów i zniknęła w drzwiach kabiny.

Chwiejnym krokiem, zapewne z powodu tego oszłomienia,

ruszyłem korytarzem do wyjścia. I nawet zapomniałem o czyhającej na

mnie Grubej Celestynie.

Rozdział XIII

MÓJ ŚWIAT STAJE NA GŁOWIE [\[top\]](#)

Oczywiście i tej nocy nie mogłem długo zasnąć. Z powodu galopu

myśli. W mojej głowie przelewały się tabuny rozhukanych mustangów,

tarpanów i kuców, a na dodatek chyba dzikich osłów, ponieważ ich ryk

podobny był do szyderczego chichotu, a jak wiadomo, tak właśnie ryczą

dzikie osły. A był powód do takiego śmiechu i do gorzkiej refleksji nad

zawilościami życia. No, bo kto by się spodziewał, że te wszystkie moje

szpitalne draki będą miały taki skutek, że te głupie awantury, te

gorszące zajścia w dostojnym przybytku cierpienia, te bałabańskie hece będą miały swój całkiem dorzeczny sens! Dzięki nim stało się to, o czym przedtem nie śmiałem nawet marzyć — poznałem Adele! Tak, nie ma się co czarować! To nie moja literacka i redaktorska sława, to nie moje artykuły i felietony, nie zalety mego ducha ani ciała, lecz po prostu skandal mi pomógł! To właśnie przez te szpitalne wyglupy Adela zwróciła na mnie uwagę! To niesprawiedliwe, to głupie, to bolesne, ale takie jest właśnie życie! Zresztą nie mam prawa się uskarżać.

Najważniejsze, że końcowy efekt jest pomyślny, nad wszelkie spodziewanie. Adela przemówiła do mnie! Naznaczyła mi spotkanie jutro na szesnastą! Tylko to się liczy!

A potem, coraz bardziej podniecony, pomyślałem z dumą, że to jednak nie przypadek, po prostu ja sam wypracowałem tę sytuację.

Wszystko to zawdzięczam mojej niepospolitej aktywności. Skandal to był tylko uboczny produkt. Czy mogę ponosić za to winę? Zawsze się płaci jakieś koszty. Grunt, że wygrałem. Wygrana przez moją podziwu godną aktywność.

Rozkoszowałem się tymi myślami, dałem się porwać w ich rozszalały, niekontrolowany bieg, a te rozhukane myśli rozkołysały z kolei moje czułe serce i zmusiły je do nerwowego galopu. Wybiła dwunasta godzina, a ja wciąż galopowałem. Lecz nie był to galop beztroski i radosny, był to galop równie podniecający jak męczący i pełen dławiącego lęku — po prostu czułem, że jest to galop nad przepaścią. Nigdy czegoś podobnego nie przeżywałem. Nawet wtedy,

gdy na przyjęciu u znajomych rodziców wypilem, w tajemnicy przed mamą, dwie kawy po turecku i duży kieliszek koniaku.

Na próżno mówiłem sobie: dosyć tego, ciesz się, ale bądź rozsądny.

Musisz usnąć, żeby jutro być w dobrej formie i zrobić korzystne wrażenie na Adeli. Nie mogłem się uspokoić, przeciwnie, czułem, że coraz bardziej płonę. Bo jednocześnie narastał we mnie strach. A jeśli to jest podstęp? Jakiś perfidny spisek Defonsiaków, do którego wciągnęli Adelę i posługują się nią jak przynętą... Zastanów się na zimno! Czy nie za dużo szczęścia? Skąd nagle takie względy u Adeli dla twojej nędznej osoby. Nie... nie... nie bądź śmieszny z tą swoją aktywnością! To wielkie zarozumiałstwo tak tłumaczyć twój sukces... Zastanów się lepiej na zimno, co się za tym kryje!

Próbowałem więc przez następną godzinę zastanawiać się na zimno, ale nie potrafiłem. Czy można rozkazać wulkanowi, żeby miotał z siebie lód zamiast rozpalonej lawy i płomieni? Ja właśnie byłem takim wulkanem. Im więcej myślałem, tym bardziej trawił mnie niepokój.

Adela zawsze była zagorzałą Defonsiaczką, więcej — ona była symbolem Defonsiarni. Grała tam pierwsze skrzypce. Nawet sam Gruby Cypek liczył się z jej zdaniem. Po cichu mówiono nawet, że Cypek rządzi Defonsiarnią, ale Cypkiem — Adela! Czy więc możliwe, by nagle złamała pierwsze przykazanie Defonsiarni, które brzmi przecież: „Walcz z Rejtaniakiem na pięści i słowa, zawsze i wszędzie, na boisku i na estradzie, na lądzie i na wodzie”. Tak, rzeczywiście trudno uwierzyć w dobre intencje Adeli... A przecież tak bardzo chciałem... Co warte jest

życie, jeśli nie można nikomu zaufać, na nikim polegać... Adela jest z Defonsiarni... To prawda, ale do licha, czy przyjaźń nie może przeskoczyć takich przeszkód? Adela powiedziała, że ma to już poza sobą, że to były szczenięce rozgrywki, że już wyrosła z tego, że to nie powinno stanąć między nami, a ja skwapliwie przyznałem jej rację. Czy nie za bardzo pochopnie? A jeśli robiła mnie w konia? Po raz dziesiąty i dwudziesty powtarzałem w myśli całą naszą rozmowę, oglądałem skrupulatnie pod światło każde słowo Adeli, badałem każdy jej gest, każde zmarszczenie brwi i każdy uśmiech... Być może pod spojrzeniem Adeli ogłupiałem do reszty i jestem kompletnym kretynem, ale nie mogłem uchwycić w jej zachowaniu ani odrobiny zgrywy, ani cienia fałszu! A jeśli nawet... I pomyślałem nagle, że wszystkie te rozważania nie mają większego sensu, bo z całą jasnością uświadomiłem sobie, że nawet gdybym nie wierzył Adeli, to i tak poszedłbym na to spotkanie. Dopiero gdy to sobie uświadomiłem, ogarnął mnie dziwny spokój i usnąłem.

Rano zasnęłam fatalnie. Poprzedniego dnia i nawet jeszcze w nocy obiecywałem sobie, że wstanę wcześnie i pójdę pod Defonsiarnię, żeby zbadać, czy Adela wciąż jeszcze przyjaźni się z Cypkiem, i ocenię z grubsza sytuację, ale oczywiście nic nie wyszło z tego projektu. Nie dość, że wstałem późno to jeszcze kompletnie ogłupiałem, senny i jakiś oczadziały. Nie tylko nie zdążyłem na czas do Defonsiarni, ale co gorsza, spóźniłem się do mojej własnej szkoły. W szkole moje odurzenie trwało nadal. Zdaje się, że oberwałem parę bomb, ale niewiele mnie to obeszło,

byłem jakby znieczulony i nie bardzo wiedziałem, co się ze mną dzieje. Dopiero koło południa zaczęło mi powoli przechodzić, a najbardziej pomógł mi basen, bo na ostatniej lekcji poszliśmy z wuefowcem ćwiczyć skoki do wody i pływanie. Chciałem zadekować się w szatni i przekimnąć przyjemnie tę godzinę, bo raz po raz nachodziły mnie fale senności, ale Maciek Kwękacz mnie odkrył i zaczął namawiać, żebym zagrał z nim w sześćdziesiąt sześć. Zanim odpędziłem fafla, już mnie wypatrzyła ta wścibska lizuska Brunhilda Przypora i od razu narobiła wrzasku: „Chodźcie, zobaczcie, Okist zamknął się w kabinie z tym biednym Maćkiem. Pewnie go znów sprowadza na złą drogę!” Więc wszyscy, zamiast skakać do wody, przybiegli i wyciągnęli najpierw Maćka Kwękacza z kartami, a potem mnie. I rozsypali w dodatku Maćkowi karty. A kiedy je zbierał, przybiegł wzburzony pan Pokutko, nasz wuefowiec, i było mu bardzo przykro, że wolimy karty od wychowania fizycznego. Chciałem mu wytłumaczyć, że się myli, że to wcale nie tak, ale ci dranie już mnie wepchnęli do wody i tak bardzo mnie rozzłościłi, że z tej złości wygrałem wyścig na sto metrów stylem zmiennym. Byłem o dwie sekundy lepszy od rekordu klasy i pan Pokutko bardzo się wzruszył. „Gdybyś ty, Okist, zainteresował się poważnie pływaniami — powiedział — to byś mógł zrobić karierę...” Ale ja wolałem zainteresować się poważnie Adelą i zamiast zostać jeszcze godzinę na nadobowiązkowym treningu pana Pokutko, prysnąłem zaraz po lekcji, to jest o godzinie czternastej zero zero, aby należycie przygotować się do spotkania w ogrodzie szpitalnym.

W domu pośpiesznie zjadłem obiad, nie myśląc nawet, co jem, dopiero potem zorientowałem się, że — ku zdumieniu moich drogich siostr oraz ku szczeremu wzruszeniu mamy — wsunąłem cały talerz szpinaku „a la nudności do wyplaszania gości”, w którym to daniu specjalizuje się moja biedna mama, oraz — co jeszcze bardziej zaskakujące — spożyłem bez oporu i gładko jedną z tych obrzydliwych zupek typu ni-to-ni-owo-na-śmieta-nowo. Następnie rezygnując z czekania na deser i herbatę, zamknąłem się w pokoju i zrobiłem przegląd mojej garderoby. Co wybrać? W czym wystąpić? Wersja odświętna? Wersja niedbała? Wersja codzienna? Wersja specjalna, okolicznościowa? W pierwszej chwili chciałem wybrać wersję odświętno-urzędową i wpakować się w mój nieskazitelny granatowy strój „egzaminacyjny”, ale już po pierwszej przymiarce zrezygnowałem. Wydało mi się, że wyglądam zbyt sztywno, po prostu śmiesznie. To może popsuć wszystko, a w każdym razie zniweczyć swobodną atmosferę, wprowadzić niepożądane skrepowanie. A atmosfera powinna być swobodna. W imię swobody włożyłem więc moje stare dżinsy, w których byłem tego dnia w szkole, lecz gdy spojrzałem w lustro, przeraziłem się. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, w jakim okropnym są stanie. Brudne i poszarpane, a do tego stanowczo za małe i za ciasne. Po i prostu wyrosłem z nich i wyglądam jak obrzydliwy pajęczek... Nie, ta wersja odpada stanowczo, już raczej należy spróbować wersji specjalnej, okolicznościowej... W tym momencie przypomniało mi się, że mam właśnie takie specjalne spodnie

okolicznościowe z czarnego aksamitu, które uszyto mi z racji częstych zgonów w naszej dość licznej, kochającej się i uwielbiającej uroczystości żałobne, rodzinie. Spodnie miały właściwy, modny krój i naprawdę robiły wrażenie...

Resztę mych wahań rozproszyła pogoda. Gdy wyrząłem przez okno, czarne chmury kłębiły się na niebie i wiał posepny wiatr. Tak... nie ulega wątpliwości, że wersja okolicznościowa, solidna i aksamitna, w połączeniu z czarnym ciepłym swetrem, najbardziej tu pasuje.

Porwałem więc ten znakomity strój i pobiegłem z nim do łazienki.

Po kilkunastu minutach wyszedłem stamtąd gruntownie umyty, przebrany i ogólnie wyczyszczony tudzież odświeżony.

Zrobiło to duże wrażenie na moich siostrach, a jeszcze większe na mojej dobrej mamie.

— O Boże, Tomciu, co się stało? — wykrzyknęła zdumiona.

— Nic się nie stało — odburknąłem.

— Czy znowu mamy dzisiaj jakiś pogrzeb? — zaniepokoiła się na serio mama. — Na śmierć zapomniałam! Kogo dzisiaj żegnamy, moje dzieci? Czy przypadkiem nie wujka Kostusia?

— Co też mama?! — skrzywiłem się z niesmakiem. — Mama zawsze wyjedzie z czymś takim, że od razu może się odechcieć wszystkiego.

Niechże mama da spokój!

— Czy naprawdę nikt nie umarł, dziewczynki? — upewniła się mama.

— Nikt — powiedziała Karolina napychając się ptysiem z kremem.

— *To czemu Tomcio tak się ubrał?*

— *Pewnie znów kręcą film kostiumowy — pisnęła Jagoda.*

— *Nie, on ma randkę — zamruczała ponuro Karolina.*

— *Co?! — wykrzyknąłem zaskoczony.*

— *Randkę — powtórzyła Karolina oblizując palce z kremu.*

— *Tomcio, randkę? O Boże! — wykrzyknęła mama.*

— *Niech mama nie słucha tej głuptaski — zaczerwieniłem się.*

— *On ma randkę. Umówił się — wyskandowała jak maszyna*

Karolina, sięgając po nowe ciastko. — Umówił się w parku szpitalnym.

— *Z kim? — mama przyglądała mi się osłupiała.*

— *Z Adelą Wigor — oświadczyła Karolina.*

Teraz ja z kolei osłupiałem.

— *Kto ci to powiedział? — wykrztusiłem.*

— *Ona sama.*

— *Łżesz!*

— *Widziałam się z nią!*

— *Ty z Adelą?! —*

— *W klubie, a dokładniej na korcie... Od dwu dni przestała zadzierać nosa i raczyła rozmawiać ze mną, a nawet pożyczyła mi dwa razy swoją rakietę tenisową. Ona ma zagraniczne rakiety! I mówiła, że cię widziała w szpitalu, i pytała, czy wciąż jeszcze zadajesz się z Zygmuntem Gnackim i czy...*

— *Tomku, więc to prawda?! — przerwała mama. — To by nam wyjaśniło, dlaczego wyszedłeś taki...*

— *Taki wypucowany na wysoki połysk — pisnęła Jagoda otrzepując rękę z cukru pudru. — To by nam wyjaśniało także, dlaczego zostawiłeś swoim kochanym siostrą wszystkie ciastka. Zakochani nie mają apetytu...*

— *Zakochani się śpieszą — dodała flegmatycznie Karolina.*

— *Niech mama im coś powie... Mama widzi, że znowu się mnie czepiają... Szukają guza — zasapałem z dławionej wściekłości — żeby nie było znowu na mnie, jak je nauczę szacunku dla brata! To prowokacja!*

— *Sam prowokujesz! — wykrztusiła Jagoda. — Spójrz do lustra, jak ty wyglądasz!*

— *Do licha! Czy w tym domu nie można już porządnie umyć się i ubrać?! Co was tak dziwi?! Po prostu wymyłem się i ubrałem.*

— *Po prostu?*

— *Tak. Po prostu.*

— *Nigdy tego nie robiłeś!*

— *Nie złość się, Tomku, ale nie byliśmy przyzwyczajone...*

— *To się musicie przyzwyczaić — wybuchnąłem. — Zmieniam styl! Jestem już wystarczająco dorosły! Od dziś zawsze tak będę wyglądał — dodałem już spokojniej, strzepując ostentacyjnie pyłek z nieskazitelnej czerni mego swetra, i z godnością przejrzałem się w wielkim rodzinnym lustrze w złoconych ramach, które zdobiło kąt pokoju.*

Wszystko już właściwie grało w moim wyglądzie z jednym bagatelny wyjątkiem — mojej okropnej twarzy. Twarz była, mówiąc łagodnie, „nieodpowiednia”, co stwierdziłem ze smutkiem. Trójkątny

pyszczek wymoczka, odstające uszy i parę pryszczu na okrasę.

Wprawdzie mam myślące, szerokie i wysokie czoło, ale nikt tego nie zauważa, wszyscy widzą tylko te żalosne pryszcze.

Więc żeby poprawić choć trochę twarz, chwyciłem z półki pod lustrem pudełko kremu i nasmarowałem się obficie, lecz wynik był raczej odrażający. Czy w ogóle można z taką fasadą do Adeli Wigor... I znów stanęła mi przed oczami nieskazitelna, doskonała postać Adeli.

Pogrążony w niespokojnych i raczej ponurych myślach, próbowałem po kolei różnych specyfików znajdujących się pod lustrem, a na końcu postanowiłem odświeżyć się wodą kolońską. Machinalnie sięgnąłem po flakon z rozpylaczem i zacząłem dokładnie spryskiwać sobie oblicze.

Z zamyślenia wyrwał mnie dopiero chichot moich drogich sióstr.

— Mamo, niech mama zobaczy — piszczały jedna przez drugą —

Tomek sobie polakierował twarz!

Dopiero teraz zobaczyłem, że w ręku trzymam zamiast wody kolońskiej lakier do włosów w aerozolu.

— Co ty wyprawiasz! — przeraziła się mama, a widząc, że stoję zupełnie oglupiały, skinęła na Jagodę. — Odbierz mu!

— Tomcio kompletnie zwariował! — pisnęła Jagoda i chciała mi wyrwać flakon.

— Poczekaj — zatrzymała ją ta złośliwa osa Karola — to wcale nie jest takie głupie — powiedziała poważnie — polakierować sobie twarz.

Tomciowi to wyjdzie na dobre...

— Myślisz?

— *To mu ustali twarz.*

— *Nie będzie na randce robił głupich min... Prawda, Tomciu?*

— *Nie, jemu chodziło raczej o coś innego.*

— *O co?*

— *O lakierowany uśmiech.*

— *Żeby poderwać Adelę?*

— *Właśnie. Bo on miał zawsze trudności z uśmiechem.*

— *Ponurak. Więc dlatego ten lakier...*

— *Twarz zastygła w uśmiechu! To jest idea!*

— *Lakierowany, odporny na wilgoć i złe humory uśmiech! Ha, ha!*

Zatrząsałem się z pasji. Spojrzałem na mamę z pretensją. Jako

władza domowa, powinna bezzwłocznie przerwać te szyderstwa. Ale

mama, ku mojemu zgorzeniu, śmiała się razem z nimi.

— *Cicho! Niech mama im coś powie! Głupie oślice! — chciałem*

zagrzmieć z głęboką pogardą, ale z mojej zalakierowanej twarzy wydarł

się tylko żalosny bełkot i jęk. Zbyt gruba warstwa lakieru... zasechł

błyskawicznie i unieruchomił mi twarz. Ani poruszyć szczęką, ani

unieść do góry kąciki ust, ani brwi... Zupełnie jakbym miał twardą, choć

przezroczystą maskę. Czy to był zastygły lakierowany uśmiech?!

Spojrzałem przerażony w lustro. Nie! To był raczej lakierowany

niepokój, lakierowana słabość i żalosna niepewność zastygłe w moich

rysach.

Zawstydzony pobiegłem do łazienki, zamknąłem się na klucz i przez

całe pół godziny mozolnie zdrapywałem z siebie lakier. W rezultacie

moja twarz zrobiła się bardziej czerwona niż twarz wodza Apaczów.

Upudrowałem ją więc pośpiesznie i, nie zważając na nowe zaczepki siostr, wymknąłem się z domu.

Wziąłem takie tempo, że przybyłem do parku szpitalnego o pięć minut za wcześnie. Adeli nigdzie nie było, mimo że obszedłem wszystkie aleje i ścieżki. A więc jeszcze nie przyszła. Zaczaiłem się w bocznej alejce, za krzakami, niedaleko wejścia do parku i niecierpliwie obserwowałem bramę. Czy przyjdzie? A jeśli naprawdę zrobiła mi kawał?

Niepotrzebnie się niepokoiłem. Ledwie zegar na wieży kościelnej wybił czwartą godzinę, Adela pojawiła się w bramie. Podziwu godna punktualność. To mi się naprawdę podobało. Natomiast znacznie mniej mi się podobało, że Adela nie przyszła sama, lecz w towarzystwie asysty składającej się z Krogulca i jeszcze dwóch Defonsiaków. Śmiali się i rozmawiali głośno, a mnie zrobiło się od razu przykro, że Adela śmieje się razem z nimi. A więc nie przeżywa tego tak jak ja... Może w ogóle nie przeżywa? Zdjął mnie niepokój. Chyba za dużo sobie obiecywałem po tym spotkaniu, zbyt dalekie wyciągałem wnioski... Przecież Adela powiedziała tylko: „Mam pewną sprawę, a raczej dwie sprawy”...

Przygryzłem wargi. W każdym razie nie będę o niczym z nią rozmawiał, dopóki oni nie odejdą... W żadnym wypadku nie będę rozmawiał! Na szczęście, jakby odgadując moje myśli, przy pierwszym skrzyżowaniu alei Adela odprawiła asystę i skierowała się samotnie w kierunku muszli orkiestrowej nad stawem.

Ruszyłem w tę samą stronę równoległą alejką i tuż przy muszli

dopędziłem Adelę.

— To świetnie, że już jesteś, bo mamy mało czasu — powiedziała i

spojrzała raczej na zegarek niż na mnie.

I muszę wyznać, że to mnie mimo wszystko, zaskoczyło dosyć

nieprzyjemnie.

— Będziemy rozmawiać krótko — dorzuciła obciążając swój

sportowy pulower.

— Krótko? — w moim głosie zabrzmiało głębokie rozczarowanie.

— Wyrwałam się tylko na chwilę. Nikt nie wie, że tu spotykał się z

tobą... Chyba rozumiesz... Cypek ma takie przestarzałe poglądy. Gdyby

dowiedział się... — rozejrzała się niespokojnie, a mnie jej niepokój raczej

uspokoił. Więc chyba jednak nie jest w zмовie z Defonsiarnią... — Mam

nadzieję, że nie czają się tutaj i nie podglądają...

— Niechby

spróbowali,

pokazałbym

im!

—

oświadczyłem

bohatersko.

— Daj spokój — westchnęła Adela — nie zdajesz sobie sprawy...

— Chyba nie boisz się Cypka? — zapytałem i usiłowałem zaśmiać się

lekceważąco tudzież drwiąco, ale nie bardzo mi wyszło.

— *Jasne, że się nie boję — odparła Adela — ale tu nie chodzi o strach...*

— *Tylko o co?*

— *O trucie. Czy ty wiesz, jak Cypek potrafi truć? Sapie, krzyczy, wymachuje rękami. A te jego wymówki, ta jego rozpacz, te sceny, o Boże, jakie to nudne!*

— *Rozpacza? — oblizałem wargi z emocji. Trudno mi było wprowadzić wyobrazić sobie rozpaczającego Cypka, ale to musiał być wspaniały, niezwykle widok! Rozpaczający cynik!*

— *Mówi, że doprowadzam go do szału — ciągnęła Adela oglądając sobie lakierowane na perłowo paznokcie. — Przystaje jeść i myć się, a za to bije kolegów, z byle powodu robi im nelsona, przewraca na ziemię, a potem na nich siada. Nie wiem, na co to wskazuje — Adela westchnęła i spojrzała w zachmurzone niebo niewinnymi, jasnymi oczyma.*

— *To wskazuje na zazdrość — zasapałem — to jest wstrętny, zazdrosny pawian!*

— *Myślisz? Być może masz rację. On jest taki przeczulony!*

— *Przechulony?!*

— *Jak każdy poeta. On jest taki delikatny...*

Zatrzęśłem się. Delikatny! To określenie w stosunku do Grubego Cypka wydało mi się co najmniej niestosowne.

— *Nie bądź śmieszna — powiedziałem. — Za bardzo się nim przejmujesz. To ty jesteś przeczulona i w ogóle przestań o nim mówić — wybuchnąłem nagle i zawstydziłem się tego demaskującego wybuchu.*

*Poczułem, że robi mi się gorąco i moja nieszczęsna gęba na pewno
wygląda teraz jak ugotowany burak.*

— Masz dziwną twarz — zauważyła Adela.

— Dziwną? — wykrztusiłem.

*— To znaczy... — utknęła nagle, a potem, co było niestety smutną
prawdą, skrzywiła się ze wstrętem, a może tylko boleśnie, w każdym
razie skrzywiła się i nie ulegało wątpliwości, że moja twarz zrobiła na
niej jak najgorsze wrażenie.*

*— To... to z powodu uczulenia, czyli... czyli przewrażliwienia —
próbowałem wyjaśnić — wiesz... ja jestem taki... taki...*

*— Wiem. Jesteś wrażliwy — powiedziała Adela, a ja nie wiedziałem,
czy nie kpi ze mnie. — Napisałeś nawet coś o wrażliwości.*

— Rzeczywiście, coś napisałem...

— To się zaczynało tak:

Nie chcę być wrażliwym, panie profesorze!

A jeśli już muszę, niech będę jak bęben.

*Chrząknąłem zakłopotany i łypnąłem na Adelę, ale ona była
poważna.*

*— Najlepsze jest zakończenie — orzekła. — Zapamiętałam je
doskonale:*

Obciągam bęben własną skórą,

biję na alarm, krzyczę z męki!

Mój ból was zbudzi, ludzie, czujcie!

— Niesamowite — zamruczała. — Albo ten „Czas napelniania”.

Upycham ciasno i zachłannie

nadzieje ciepłe, watowane sny

w plecaku moim. Starczyć muszę

na długą podróż... przez te wszystkie dni...

— *To o marzeniach? — zapytała.*

— *Tak — chrząknąłem niepewnie.*

— *Napisałeś na ten temat jeszcze parę wierszy i jedno*

wypracowanie.

— *Skąd wiesz?*

— *Czytałam je.*

— *Żartujesz? W jaki sposób?! Wiersze były w gazetce, ale*

wypracowanie?

— *Wypracowanie zostało przepisane i krąży do dziś po naszym*

mieście w odpisach.

— *Przepisali, żeby nabijać się ze mnie...*

— *Ależ nie! Podziwiają cię i umieszczają fragmenty w swoich*

pamiętnikach.

— *Nie wierzę!*

— *No to zobacz, w moim też jest kawałek. — Adela wyciągnęła ze*

swojej torby dość okazały, oprawny w czerwony safian pamiętnik,

otworzyła go na stronie, gdzie wyrysowane były kolorowe

fantastyczne, strzeliste wieże, i powiedziała: — Przeczytaj!

Przeczytałem:

Buduję na zapas z dźwięku, światła i mgły moje zamki.

Może któregoś nie rozdmucha wiatr...

— Nie ma co ukrywać, Tomku — powiedziała Adela — zrobiłeś się dosyć sławny.

Tak powiedziała Adela, a ja poczułem, jak słodki i ciepły miód kapie na moje spragnione uznania serce. A więc pozyskałem sympatię Adeli z powodu mojej działalności literackiej. Zresztą rozkoszna słodycz spłynęła także na moje usta. Słodycz malinowa. Spojrzałem zdumiony

— Adela, przyjaźnie uśmiechnięta, wkładała mi do ust dwa różowe dropsy.

— Poczęstuj się — powiedziała.

Poczułem się prawie zupełnie szczęśliwy... Lecz czy nie za dużo tej słodyczy? Postanowiłem być ostrożny.

— Zdziwiłaś mnie — powiedziałem. — Nie myślałem, że ty... — urwałem i zawisłem, jak mówi poeta, na wargach Adeli.

— Postanowiłam zrewidować moje poglądy na życie — oświadczyła Adela — i doszłam do wniosku, że mam niekorzystny bilans.

— Ty?! W tak młodym wieku?

— Niestety — Adela westchnęła ciężko. — Same rozczarowania!

Świat jest podły!

— Jak to? A Jurek Cypałło, przecież Jurek...

— Niestety, Jurek Cypałło się nie rozwinął.

— Co masz na myśli?!

— Stanął w miejscu i drepcze. Nie idzie naprzód! A kto nie idzie naprzód, ten się cofa, bo wyprzedza go rzeka...

— *Jaka rzeka?!*

— *Rzeka życia. Sam tak napisałeś. Nie pamiętasz? Jurek wysiadł.*

Nie dotrzymuje mi kroku, stał się płaski, nie na poziomie, przyziemny!

— *Jurek przyziemny? — słuchałem zdziwiony. — Przecież ten jego wiersz o upadku czy też wzlocie...*

— *Okazało się, że jednak to był upadek rzeczywisty. Przede wszystkim moralny...*

— *Czy rozbił coś?*

— *Nie mówmy o tym — ucięła i nachmurzyła się. — On mnie już nie obchodzi. Rozumiesz, nic!*

— *Nic?!*

— *Dlatego właśnie umówiłam się z tobą...*

Poczułem, że ogarnia mnie szczęście. Cały świat zawirował radośnie. Drzewa, trawniki, alejki i muszla koncertowa, do której właśnie wkroczyli strażacy z instrumentami dętymi. Naprawdę dziwne, że nie wypadli z tej muszli! Przecież cały mój świat stanął w tej chwili na głowie.

Rozdział XIV

ZAPRZYJAŻNIJMY SIĘ NA TYDZIEŃ [\[top\]](#)

— *Dziwnie wyglądasz — Adela spojrzała na mnie zaskoczona. — Czy coś się stało?*

— *Nie, nic — odparłem — tylko...*

— *Tylko co?*

— *Chodźmy stąd. Przez tę orkiestrę zrobiło się nagle ciasno. Zobacz,*

ile ludzi...

— Dokąd mamy pójść?

— Na tamten brzeg stawu, chodź! — nieśmiało ująłem ją za rękę.

*Przez minutę szliśmy w milczeniu. Staralem się opanować moje
wzruszenie. Adela nie może się dowiedzieć, co się ze mną dzieje. Ale iść w
milczeniu — też głupio. Czulem, że powinienem coś powiedzieć. Ale co?*

Oczywiście coś mądrego i zasadniczego.

*— Możesz być zupełnie spokojna — odezwałem się wreszcie siląc się
na zdecydowany ton — i śmiało polegać na mnie.*

*— Naprawdę? — spojrzała na mnie spod przymrużonych powiek i
nagle odniosłem wrażenie, że na moment oczy jej zabłyły
rozbawieniem.*

Znów nawiedziła mnie fala podejrzeń.

— Wydaje mi się... — zacząłem i urwałem nagle.

— Co ci się wydaje? — znów ten wesoły błysk.

*— Posłuchaj — zatrzymałem się i spojrzałem jej w oczy —
powiedziałem ci, że możesz na mnie polegać, ale najpierw muszę
wiedzieć, co jest grane.*

*Mój zdecydowany ton zrobił na Adeli pewne wrażenie. Spuściła
oczy i zapytała niespokojnie:*

— Co ci jest? Czy uraziłam cię czymś?

— Widzisz... mówiłaś, że masz kłopoty...

— Kłopoty?

— To znaczy mówiłaś, że świat jest podły... że masz niekorzystny

bilans, rozczarowania...

— *Mam pieskie rozczarowania.*

— *No, właśnie, a kiedy tu szłaś, to się śmiałaś...*

Adela zmieszala się.

— *Ja? Śmiałam się?*

— *Widziałem. Szłaś z Krogulcem i jeszcze z dwoma typami i było ci bardzo wesoło. Widziałem was z drugiej alei, od bramy...*

— *No więc dobrze, śmiałam się, i co z tego? Czy muszę przed wszystkimi obnosić się z ponurą twarzą? Chciałam na moment zapomnieć o moich kłopotach, ale nie udało mi się. Chyba zauważyłeś, że ledwie odprawiłam Krogulca i tych chłopaków, od razu przestałam się śmiać, bo już nie potrzebowałam udawać...*

— *Więc udawałaś tylko śmiech?*

— *Tak. Udawałam. Znasz takie wyrażenie: „robić dobrą minę do złej gry”? No więc ja właśnie robiłam. A gra jest zła. Naprawdę. Strasznie się zawiodłam. Nie wiedziałam, że świat jest taki podły... — Adela wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i otarła sobie oko, a potem nosek.*

— *Uspokój się — powiedziałem. — Dziewczyna taka jak ty nie powinna się załamywać...*

— *To znaczy, jaka? — Adela spojrzała na mnie wilgotnymi oczyma spod jedwabistych rzęs tak dziwnie, że i mnie zrobiło się jakoś...*

jedwabiście...

— *Śliczna i mądra, zdrowa i młoda... Masz wszystkie atuty w ręku!*

— *Naprawdę tak myślisz? — Adela pociągnęła nosem po raz ostatni i*

schowała chusteczkę.

— Wszyscy tak myślą — odparłem z głębokim przekonaniem. — To jest chwilowa depresja, musisz się z tego wygrzebać, zapomnieć, rozpocząć wszystko na nowo! Na szczęście jesteś dopiero na początku drogi, całe życie przed tobą!...

— Masz rację — powiedziała Adela — właśnie próbuję... po to właśnie umówiłam się z tobą...

— To znakomity pomysł! — skinąłem rozpromieniony głową.

— Ciocia Hela rozpoczęła życie na nowo, gdy miała pięćdziesiąt lat, więc ja tym bardziej mogę...

— Jasne! A co postanowiłaś konkretnie?

— Konkretnie to postanowiłam rzucić się...

— Rzucić się?!

— Rzucić się w wir pracy — wyjaśniła spokojnie Adela.

Przyjąłem to oświadczenie z pewnym zawodem.

— Czy... tylko to postanowiłaś?

— Zaskoczyłam cię, widzę?

— Trochę.

— To jest u nas rodzinne. Mama mówi, że wszyscy Wigorowie, gdy im coś nie wyjdzie, rzucają się w wir pracy i że to uratowało nieraz naszą rodzinę od zguby... Na przykład wujek Tesio. Mama mówi, że wujek Tesio, jak ma kłopoty z ciocią, rzuca się w wir pracy i dlatego jeszcze nie poszedł do domu wariatów.

— Masz dużo dobrych przykładów w rodzinie — rzekłem z pewnością

zazdrością. — W mojej rodzinie wszyscy są tak skandalicznie normalni,

że aż przykro... to znaczy: przeciętni.

— To co oni robią, gdy im nie wychodzi? — zainteresowała się Adela.

— Nic.

— Nic?

— To znaczy oczywiście martwią się na początku, a nawet wściekają, jęczą i obwiniają wszystkich dokoła przez dwa dni, a potem wszystko wraca do normy.

— I nie rzucają się w żaden wir?

— W żaden — rzekłem z goryczą.

— To znaczy godzą się z tym, co jest.

— Właśnie.

— To też jest metoda — powiedziała zamyślona Adela — uznać swój los... pogodzić się z losem.

— Mnie to nie odpowiada — oświadczyłem.

— Wolisz rzucać się w jakiś wir?

— Oczywiście. Zwłaszcza z tobą.

Adela roześmiała się.

— Jesteś dowcipny.

— Czasami próbuję.

— Och, Tomku, jak to dobrze, że będziesz ze mną na nowym etapie mojego życia...

— Cała przyjemność po mojej stronie.

— Nie mów tak!

— *Jak?*

— *Tak jak na oficjalnym przyjęciu w Wersalu. Bo wtedy nie wiem, czy mówisz serio, czy żartujesz.*

— *To jak mam mówić?*

— *Zwyczajnie. To, co myślisz naprawdę.*

— *Naprawdę to myślę, że możemy być dobrymi kumplami.*

— *To dobrze — powiedziała Adela — bo umieściłam cię w moich planach.*

— *Jakich?*

— *Literackich.*

— *Jak to? Przecież miałaś się rzucić w wir!*

— *Rzucam się w wir pracy pisarskiej.*

— *Co takiego?!*

— *Będę pisała powieść.*

— *Ty?!*

— *Myślisz, że nie potrafię?*

— *No... nie wiem... — zmieształam się — to zależy... Czy już masz temat? O czym to będzie?*

— *Jeszcze się nie zastanawiałam konkretnie...*

— *A ogólnie?*

— *Ogólnie to będzie o zepsuciu świata.*

— *Zepsuciu?*

— *Moralnym. Opiszę wszystkie kłamstwa chłopaków! Wszystkie oszustwa, podłości, nikczemności, brutalności, chamstwa, egoizmy,*

tchórzostwa, świńskie obyczaje, pychę i głupotę!...

— Coś ty! — patrzyłem na nią zaskoczony.

— I wszystko to będzie prawda! Sama prawda! — Adela umilkła na chwilę, a potem powiedziała już spokojnym głosem: — Opowiedz mi coś o Zygmuncie Gnackim.

— O Gnackim?! Dlaczego o Gnackim? — wytrzeszczyłem oczy.

— Myślisz, że on jest nie dość zepsuty?

— Nie o to chodzi.

— A o co?...

— Przecież... ty go właściwie nie znasz!

— Ale za to ty go znasz.

— Myślałem... myślałem, że jednak wolisz o Grubym Cypku.

— Och, on nie jest wart większej wzmianki. Jak mu poświęcę pół stronicy, będzie dosyć...

— Ale skąd weźmiesz materiał do Gnackiego?

— No, właśnie od ciebie. Przecież powiedziałaś wczoraj, że przeprowadzasz studia nad Zygmuntem Gnackim.

— Tak powiedziałem?

— Na zlecenie Instytutu Psychologii Specjalnej.

Spojrzałem zakłopotany na Adelę. W jej oczach błyszczała autentyczna ciekawość. Po jakie licho wyjechałem wczoraj z tym nieszczęsnym Instytutem! Sam wpakowałem się w pułapkę! Czy musiałem zacząć od kłamstwa? Czy przyjaźń może być zbudowana na kłamstwie? Powinienem sprostować, natychmiast sprostować, obrócić

wszystko w żart!

— *Co tak patrzysz? — Adela zmarszczyła brwi. — Może przechwalałeś się tylko? Robiłeś ze mnie balona?*

Stchórzyłem. Gdyby nie powiedziała tego ostatniego zdania, gdyby milczała, na pewno sprostowałbym, a tak spłoszyłem się, tchórz mnie znowu obleciał i zamiast sprostować, postanowiłem brnąć dalej i powiedziałem pośpiesznie:

— *Co ty... jakiego balona?...*

— *Więc naprawdę są takie badania?*

— *Oczywiście — brnąłem dalej. — Przyszedł do nas z Dyrem taki facet z teczką i powiedział, że go interesujemy... To znaczy, że bada sądy, zapatrywania i opinie młodzieży... i kazał nam wypełnić ankiety, tam były różne pytania, a my musieliśmy na nie odpowiadać... A potem zapytał, kto chce być korespondentem Instytutu, ale nikt nie chciał, bali się. Więc nasza pani powiedziała, że sama wytypuje... i zaczęła typować, ale też się bała, że wytypuje kogoś niewłaściwego i będzie kompromitacja, więc odłożyła do następnego dnia. A następnego dnia ten typ z Instytutu znowu przyszedł do klasy z Oberonem, to znaczy z naszym Dyrem, i powiedział, że przeczytał nasze ankiety i że wybrał jednego z nas do stałej obserwacji i dalszych badań... I okazało się, że wybrał Gnackiego. Zupełnie nie wiem dlaczego wybrał akurat Gnackiego!*

— *Jak to, dlaczego?! — przerwała mi podniecona Adela. — To chyba jasne. Po prostu szukał w waszej klasie kogoś ciekawego, no i tylko*

Zygmunt Gnacki nadawał się... tylko on jest tak ciekawy...

Wynikało z tego niedwuznacznie, że ja nie jestem już tak ciekawy.

Przełknąłem tę niewątpliwie nietaktowną i nie przemyślaną uwagę

Adeli w milczeniu.

— Ale że ty zgodziłeś się?! — Adela popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

— Ja? Na co? Nie bardzo rozumiem.

— Dziwię się, że zgodziłeś się zostać korespondentem i pisać o Zyguncie Gnackim. Czy to będzie bezstronne, czy to będzie miało wartość naukową?... Ty przecież nie lubisz Gnackiego.

Chrząknąłem.

— Możesz być spokojna — oświadczyłem. — Ten smutny facet z Instytutu powiedział, żeby nie silić się na obiektywizm, że to ma być subiektywne i że można wyladować swoje instynkty i agresję...

— Dziwny sposób badania — zauważyła Adela.

— Tak, bardzo dziwny. Mnie się zdaje, że oni chcą jednocześnie badać badanego i tego, kto o nim pisze... W każdym razie Zyzio bardzo się przestraszył, że jakiś łobuz będzie na nim wyladowywał instynkty i błagał mnie, żebym ja został tym korespondentem.

— Przecież ty go nie lubisz. Czy on o tym nie wie?

— Wie, ale powiedział, że ja zrobię to przynajmniej kulturalnie, że ma do mnie zaufanie jako do poety.

— Pasjonujące — Adela uśmiechnęła się jakby do samej siebie.

Stanęliśmy w przytulnym zakątku. Z trzech stron osłaniał nas

gąszcz młodych wiązków i upojnych, świeżo rozkwitłych jaśminów.

Przed nami otwierał się malowniczy widok na staw i płaczące wierzby.

Adela wskazała na ławkę. Usiedliśmy.

— To dobre miejsce — rzekła — tu się teraz będziemy spotykać i opowiesz mi wszystko o Zyziu...

Zerwałem się z ławki wzburzony.

— Co takiego?! Mamy się spotykać, żeby mówić o Zyziu?! O, nie! Co to, to nie!

— Czego się wściekasz? — Adela spojrzała na mnie zdumiona.

— No, wiesz! Gdybym wiedział!... Gdybym wiedział, że tylko o to ci chodzi... Trzeba było od razu mnie uprzedzić. Ja na takie głupstwa nie mam czasu! A Gnata mam po uszy na co dzień! To mnie nie bawi. Cześć!

— Poczekaj — zatrzymała mnie. — Nie wiedziałam, że z ciebie taki nerwus. Skoro nie chcesz o Gnackim, skoro cię to nie bawi...

— Zupełnie mnie nie bawi!

— No, to nie mówmy o tym... ostatecznie, to nie takie ważne.

— Nieważne?

— Nie.

— Ale twoja powieść...

— Będę pisać z wyobraźni — powiedziała Adela i westchnęła. —

Przejdźmy do drugiej sprawy.

— Do drugiej?

— Przecież mówiłam ci, że mam dwie sprawy.

— To prawda — przypomniałem sobie.

— *Ta druga jest zasadnicza. Siadaj.*

Usiadłem z powrotem.

— *Już ci powiedziałam, że postanowiłam zmienić styl życia i rzucić się w wir pracy.*

— *Tak, powiedziałaś mi.*

— *Otóż rzecz w tym, że już nieraz rzucałam się przedtem i nie wychodziło. W każdym razie nie tak dobrze jak wujkowi Tesiowi albo kuzynce Misi. Pod tym względem jestem chyba wyrzutkiem w naszej rodzinie... czarną owcą... Wyobraź sobie, nie potrafiłam wytrzymać w wirze pracy nawet... nawet jednego dnia. Mama mówi, że jestem słomiany ogień, ale to chyba nie to...*

— *Starzy zawsze tak mówią — wzruszyłem ramionami — ale nie przejmuj się, to na pewno nie to!*

— *A co?*

— *Po prostu nie potrafisz się poświęcić jednej rzeczy, bo masz rozległe*

zainteresowania,

masz

większą

wyobraźnię,

więcej

temperamentu od tej kuzynki Misi...

— *Myślisz?*

— *Jestem przekonany. A poza tym... poza tym to nie bardzo wierzę,*

że nie potrafisz tkwić w wirze pracy... Przecież wiem, że już dwa lata pracujesz w PCK, z zamięłowaniem i poświęceniem, stale chodzisz do szpitala...

— Och, nie... wzięłaś zły przykład. Właśnie w szpitalu przekonałam się, że nie mogę wytrzymać z chorymi nawet dwie godziny... Kręcę się, robię dużo szumu, ale to nie jest prawdziwa praca, sama wiem o tym najlepiej.

— Może nie trafiłaś na swojego konika.

— Konika?

— Na pracę, którą mogłabyś pokochać jak prawdziwe hobby! Albo całkiem zwyczajnie nie masz warunków do pracy, do żadnej solidnej pracy, bo przeszkadzają ci...

— Chyba tym razem trafiłaś w dziesiątkę — powiedziała Adela. —

Sama doszłam niedawno do tego wniosku. Przeszkadzają mi.

Wykorzystują, że jestem towarzyska z natury... ta żalosna menażeria...

te ich wieczne zgrywy, te pozy przemądrzałe, to silenie się na dowcip,

kiedy się jest małośilnym w tej dziedzinie od pieluszki... Stado małp

huśtających się na ogonach... — ciągnęła coraz bardziej podniecona. —

Człowiek marnuje tylko czas, jakby go miał za dużo... Nie dość, że buda

zajmuje nam najlepsze godziny, to tracimy głupio resztę... Wystarczy,

że zadzwoni telefon, że ktoś krzyknie, a już rzucamy robotę i pędzimy...

pędzimy do stada, towarzyskie bydlęta... I żeby było po co... Ale my

pędzimy, żeby się rozmienić na drobne, żeby przelewać z pustego w

próżne. No, powiedz sam! Założę się, że tak samo myślisz! Ty też nie

jesteś zadowolony z tego, co robisz po lekcjach...

— No... nie — przyznałem z ociąganiem — to znaczy niezupełnie.

— Niezupełnie? — Adela zmarszczyła brwi.

— To znaczy... zupełnie nie — skapitulowałem.

— Tak myślałam. Gdybyś był zadowolony, to byś nie pisał tych różnych rzeczy, nie miałbyś czasu ani potrzeby, ani jak to mówią, „napędu”. To się bierze z niezadowolenia.

— Chyba masz rację. Ale co robić?

— Wyleźć z paczki — powiedziała twardo Adela. — Zmienić klimat... i to towarzystwo... Po prostu wypiąć się...

— Wypiąć się i wyłączyć?

— Właśnie. Powiedzieć „cześć” tym smutnym kreaturom. Przelewa nam się. Koniec zabawy! Widzę, że jesteś zaskoczony... — Adela zmarszczyła brwi.

— Zaskoczony! Nie... tylko...

— Tylko co?

— Nie spodziewałem się...

— Więc jednak zaskoczyłam cię.

— Nie w tym sensie, co myślisz, to znaczy nie spodziewałem się, że myślisz tak... no... tak głęboko, że tak wszystko rozumiesz.

— Uważałeś mnie za szczęśliwą idiotkę. Za zadowoloną z siebie lalę?

— Nie... skądże, tylko nie przypuszczałem, że oni cię aż tak drażnią.

— Mam ich dosyć!

— Ja też — wyznałem szczerze.

— *A zatem mogę na ciebie liczyć?*

— *Oczywiście.*

— *To świetnie. Potrzebuję czyjejś pomocy. Nikt nie da rady sam...
zwłaszcza...*

— *Zwłaszcza, gdy jest towarzyski.*

— *Widzę, że rozumiesz doskonale — ciągnęła Adela. — No więc
znając siebie i wiedząc, że jestem... no...*

— *Towarzyska...*

— *...wahałam się długo, czy to ma sens... Tyle razy już mi nie
wychodziło... Czy to w ogóle możliwe w mojej sytuacji, czy to nie jest
czyste szaleństwo... No, bo założmy, że poznam kogoś i odważę się
zerwać z paczką... ale przecież mogę trafić na kogoś nieodpowiedniego,
naciąć się i ośmieszyć... przed całą szkołą! Chłopaki lubią śmiać się z
takich rzeczy. Jesteście wstrętnymi smarkaczami! Wszyscy chłopcy w
twoim wieku są głupimi smarkaczami i szczeniakami...*

Chrząknąłem nieco urażony.

— *Zdarzają się wyjątki — bąknąłem. — Zresztą... zresztą mogłaś
zaprzyjaźnić się z kimś starszym, na przykład o trzy lata...*

— *Nie — Adela stanowczo potrząsnęła głową.*

— *Dlaczego?*

— *Boję się. Taki facet uważa się za dorosłego i jest jeszcze bardziej
przemądrzały. I jest za bardzo śmiały — Adela zaczerwieniła się.*

— *Wolisz nieśmiałych?*

— *Nie lubię, jak chłopak ma zbyt dużą przewagę.*

— *Wolisz sama mieć przewagę...i onieśmielać.*

— *Przestań. Po prostu szukam kogoś na podobnym poziomie...*

kolegę, który by mnie rozumiał, który myśli tak samo... I pomyślałam o tobie... Ale może nie chcesz...

— *Ależ tak, oczywiście — rzekłam ochoczo i żarliwie — gdybyśmy mogli się zaprzyjaźnić...*

— *Otóż to! — oczy Adeli zabłyśły i nagle stały się gorące jak błękit rozpalony słońcem. — Zróbmy im wszystkim kawał! Zostańmy przyjaciółmi... — spojrzała na mnie z niepokojem. — Nie bardzo ci się podoba?*

— *No, wiesz, tylko dla kawału?!*

— *No,*

nie...

zostańmy

przyjaciółmi

naprawdę!

Dla

tych

zarozumialców to będzie dobra nauczka! Masz jakieś zastrzeżenia?

— *Nie... skądże... Ja już właściwie dawno chciałem cię poznać...*

jeszcze w szóstej klasie!

— *Nie żartuj — roześmiała się Adela.*

— *Słowo. Bardzo mnie interesowałaś, ale z powodu tych okropnych stosunków raczej nie miałem szans... Co innego teraz.*

— *A więc zgoda?*

— *Tak. A więc... więc pocałujmy się na zgodę.*

— *Co?*

— *Czy mogę cię pocałować? — zaproponowałem.*

— *Za tydzień — odparła Adela.*

Teraz ja z kolei zaniemówiłem.

— *Musi upłynąć tydzień — Adela wzruszyła ramionami.*

— *Nie bardzo cię rozumiem.*

— *Po tygodniu się rozstrzygnie...*

— *Co?*

— *Nasza przyszłość, los, oczywiście — odpowiedziała Adela patrząc w zielone lustro stawu, w którym odbijał się tajemniczy świat, dziwnie pomarszczony świat, i my sami: niepewni, chybotliwi, rozkołysani, rozmazani, nieokreśleni.*

— *Popatrz, jacy śmieszni jesteśmy — wskazała — tam, w wodzie!*

— *To tylko odbicie — mruknąłem.*

— *Naprawdę też tacy trochę jesteśmy... wszystko jest takie niepewne jeszcze — powiedziała ze smutkiem. — Nie wiadomo, co będzie z nami. Nic nie wiadomo. Jeszcze nic nie znaczymy, zupełnie nic.*

Zależymy od innych, od starszych, od rodziców, od szkoły... Do czego dojdziemy, gdzie wylądujemy, jak będziemy wyglądać za parę lat, kim w ogóle będziemy. Co za głupi wiek. O Boże, jak ja zazdroszczę dorosłym! Oni są naprawdę, a my dopiero za drzwiami w kolejce do bycia.

— „*W kolejce do bycia*”... wiesz, to bardzo dobry tytuł dla twojej powieści... — wtrąciłem.

— *Daj spokój. Rozmawiamy poważnie. Faktem jest, że nie możemy zbyt na sobie polegać. Jesteśmy w poczekalni i nie wiemy, dokąd jedziemy i który pociąg nas zabierze. Dlatego postanowiłam myśleć realnie: zaprzyjaźnijmy się na tydzień!*

— *Oszalałaś!*

— *Lepiej od razu tak postawić sprawę, żeby nikt nie miał pretensji.*

Po tygodniu zobaczy się...

— *Co za pomysł!*

— *To jest dobry pomysł. Skąd wiesz, że wytrzymałbyś ze mną dłużej niż tydzień, albo ja z tobą? I czy potrafisz zerwać z Zygmuntem*

Gnackim?

— *Zerwać z Gnatem? Co ty?*

— *No właśnie, sam widzisz, już się przestraszyłeś.*

— *Nie bardzo rozumiem... — wybelkotałem — co ma do tego Zyzio.*

Adela założyła nogę na nogę i przez chwilę huśtała nią w milczeniu.

Wydawała się całkowicie zajęta oglądaniem nogi.

— *Jesteś szczeniakiem — powiedziała po chwili.*

— *Co?*

— *Nie gniewaj się. Wszyscy w twoim wieku są szczeniakami. Potem się z tego pomału wyrasta, ale to długo trwa i dużo kosztuje, a przez ten czas obrywa się cięgi...*

Milczałem, zupełnie przygnębiony takim postawieniem sprawy

przez Adełę.

— Czy po to mnie tu ściągnęłaś, żeby mi mówić takie rzeczy? —

wykrztusiłem wreszcie.

— Nie złość się. Jeśli mówię z tobą, to znaczy, że wierzę w ciebie —

uśmiechnęła się Adela.

— Wierzysz?

— Wierzę, że nie musisz być szczeniakiem, że możesz się szybko

zmienić, że możesz już teraz pozbyć się szczeniactwa. Stać cię na to!

— Nie urosnę w ciągu jednego dnia — zauważyłem ponuro.

— Nie wzrost jest ważny — powiedziała Adela wpatrując się w

czubki swoich pantofli. — Ważne jest, kto co ma w głowie.

— Tego nie widać.

— Owszem! To łatwo poznać po stylu bycia, po postawie! To nie

wzrost robi z ciebie szczeniaka, ale sposób bycia! Zachowanie, sposób

mowy i różne głupie reakcje. To cię demaskuje, nie wzrost! A przecież

tak niewiele ci potrzeba... Wystarczy, jeśli zmienisz styl i pewne

twarze...

— Twarze?

— Nie zmienisz stylu, jeśli nie zmienisz towarzystwa, to pierwszy

warunek! Od tego musisz zacząć! Zmień najpierw twarze wokół siebie, a

zwłaszcza jedną twarz!

Milczałem przez chwilę przeżuając pomалу różne myśli.

— Dlaczego on ci przeszkadza? — mruknąłem w końcu.

— Dlaczego? Co za pytanie! Chyba wiesz, jaki jest Zygmunt Gnacki!

Chyba poznałeś go dostatecznie...

— *Owszem, ale...*

— *Postuchaj, jeśli jest coś takiego, co nazywa się sztubactwo, to on*

jest

kwintesencją

sztubactwa.

Skondensowane

sztubactwo

w

efektownym opakowaniu! To jest właśnie Gnat! Naprawdę szkoda! To

jest żalosne, okropne, że taki... taki... zdolny chłopak jest właśnie

arcysztubakiem, że ma taki żalosny szczeniacki styl... Czy

zastanawiałeś się, dlaczego nic nie robi, żeby się z tego wydobyć?

— *Nie, raczej nie.*

— *Ale ja się zastanawiałam — podjęła gwałtownie Adela. — To*

dlatego, że przyzwyczaił się do rządzenia, że mu smakuje władza, że

może rządzić wami. On się dobrze z tym czuje, to mu pochlebia. Ale

gdybyś ty się zbuntował... to by mu wyszło na dobre... może by zmienił

styl i przestał się bawić w te głupstwa... Bo inaczej to będzie jeszcze w

tym tkwił całe latka, podstarzały chłopczyk, wieczny urwis... Chyba...

chyba, że jakaś dziewczyna wyciągnie go z tego — dodała ponuro.

— *Za bardzo się nim przejmujesz — zauważyłem.*

— *Tu chodzi o ciebie... i o naszą przyjaźń! — odparła ostro. — Czy*

wiesz, za kogo cię uważają? Za zausznika Gnackiego.

— *Za... zausznika?*

— *Właśnie. Chyba rozumiesz, że to byłoby dla mnie upokarzające przyjaźnić się z zausznikiem! Jeśli ci naprawdę zależy na naszej przyjaźni...*

— *Zależy mi — rzekłem pośpiesznie — ale zrozum, jestem w komitecie redakcyjnym, to nie jest tylko zwykła paczka, to jest funkcja społeczna i dlatego nie mogę od razu... Na szczęście rok szkolny już się kończy i wtedy...*

— *No właśnie, od razu wiedziałam, że nie jesteś przygotowany na zerwanie z Gnackim... boisz się postawić sprawę jasno...*

— *Zrozum mnie, jesteśmy tyle lat razem...*

— *Co najmniej o dwa lata za długo — rzekła ostro Adela. — Chyba wytłumaczyłam ci jasno i dokładnie, dlaczego musisz uwolnić się od niego natychmiast i bez ceregieli!*

Milczałem. Adela objęła mnie ramieniem.

— *Posłuchaj — rzekła cicho — czy kiedyś naprawdę coś ci się z nim udało? No, powiedz szczerze.*

— *Nie.*

— *To jest komplikator. Wielki komplikator, i do tego pechowy.*

Trudno było temu zaprzeczyć.

— *Pierwszą rzecz, jaką musisz zrobić, to uwolnić się od niego.*

Inaczej wszystko na nic. Zastanów się.

— *Dobrze — odparłem ponuro — spróbuję jakoś, ale ty... ty uwolnisz się za to od Defonsiaków. Nie zniosę dłużej tej asysty.*

— *Oczywiście.*

— *Zrobisz to zaraz jutro!*

— *Zaraz, gdy tylko zerwiesz z Zygmuntem Gnackim. Wtedy oni to przełkną. Powiem im, że przestałeś być zausznikiem i redaktorem. To właściwie tak, jakbyś przestał być Rejtaniakiem. Chyba nie będzie to dla ciebie zbyt trudne. Gnacki jest okropny...*

— *Tak, on jest okropny — powtórzyłem cicho.*

— *A zatem umowa zawarta, i jutro... — Adela urwała nagle, bo za nami wyraźnie trzasnęła gałązka.*

Obejrzeliśmy się gwałtownie.

— *Ktoś tutaj był! — wyszeptała przestraszona Adela. — Śledzą nas. To pewnie Cypek.*

Podszedłem do zarośli. Rzeczywiście, tuż za nami wciąż jeszcze chwiała się potrącona gałązka. Jej koniec był świeżo nadłamany.

Spłoszony pająk umykał pośpiesznie wzdłuż zerwanej sieci. Pochyliłem się. W miękkiej ziemi, tuż koło krzaka, widać było wyraźny odcisk stopy.

— *Masz rację — powiedziałem do Adeli. — Podsluchiwała nas jakaś świnka.*

Rozdział XV

ADELA — PRZEDE WSZYSTKIM [\[top\]](#)

Przez moment patrzyliśmy jak zahipnotyzowani w gąszcz jaśminu.

— *Tam! — wskazała nagle Adela i chwyciła mnie kurczowo za rękę.*

Powiodłem wzrokiem po żywopłocie ze strzyżonych wiązów, który

oddzielał park szpitalny od plantacji czarnych porzeczek. Ktoś biegł za żywopłotem. Jakiś łysy typ! Widać było wyraźnie jego okrągłą, nagą czaszkę, a przy ziemi, tam gdzie żywopłot był rzadszy i słabo ulistniony, migły biało-czerwone adidasy. Zerwałem się z ławki i co sił w nogach pognałem za typem. Niestety, zanim dopadłem do żywopłotu, łysoni znikł już w gęstwinie dwumetrowych krzewów porzeczeki. Dalszy pościg po dziesięciohektarowej plantacji nie miał sensu i wróciłem zrezygnowany do Adeli.

— Kto to mógł być? — zapytałem zadyszany.

— Nie wiem, nie mam pojęcia. — Adela patrzyła na mnie wystraszona.

— Znasz jakiegoś łyska w adidasach?

— Nie...

— Może to jakiś przypadkowy podglądacz.

— Nie.

— Skąd ta pewność?

— Zobacz, co zostawił — ścisnęła mnie za rękę.

— Gdzie?

— W tym chojaku, na lewo!

Dopiero teraz zauważyłem na eleganckim krzaku cisu dwie jasne plamy, które klóciły się z nieskazitelną, jednostajnie ciemną barwą igliwia. Podszedłem zaintrygowany bliżej i wytrzeszczyłem oczy ze zdumienia. Powieszona za szyje na gałązce chwiały się żałośnie dwie laleczki, maskotki, dziewczynka i chłopczyk typu Jaś i Małgosia,

sprzedawane powszechnie w naszym mieście w kioskach „Ruchu”.

Prztyknąłem je palcem.

— Tego się przestraszyłaś? — próbowałem roześmiać się, ale nie bardzo mi wyszło.

Adela wciąż wpatrywała się w powieszony figurki oczyma okrągłymi jak spodeczki.

— To my — wyszeptała.

— Głupi żart! — wzruszyłem ramionami.

— Nie. To nie żart. To znak!

— Znak?

— Ostrzeżenie!

— Mówię ci, że to jakiś wariat — próbowałem bagatelizować.

— Nie... to oni — przełknęła ślinę przez ściśnięte gardło.

— Myślisz, że to sprawka Defonsiaków?

Skinęła głową.

— Niemożliwe — powiedziałem — to był jakiś tysoń. O ile wiadomo, w szeregach Defonsiaków jeszcze nikt nie ołysiał.

— To mógł być ktoś przebrany.

— Daj spokój, za dużo oglądasz filmów kryminalnych!

— Gdybyś założył na głowę obcisłą jasną pończochę, też byś z daleka wyglądał jak łysy.

— Też masz pomysły!

— Zresztą Gruby Cypek mógł wynająć kogoś...

— Prawdziwego tysonia? Żeby nas straszyl i śledził? — zaśmiałem

się.

— *Ty nie wiesz, jakie różne rzeczy mu chodzą czasem po głowie...*

Boję się!

— *Nie masz czego! — powiedziałem. — Przypuśćmy nawet,*

faktycznie kazał nas śledzić. No to co...

— *Jak to, co? — Adela spojrzała na mnie zaskoczona.*

— *No to co, ja się pytam — rzekłem wyzywająco. — Niech nas śledzi!*

Niech się dowie!

— *Nie... och, nie! — przeraziła się Adela. — Nie powinien się*

dowiedzieć... To byłoby okropne!

Zacisnąłem zęby. Słowo daję, nie podobał mi się ten jej strach...

Doprawdy, już zbyt przesadny!

— *Nie cierpię tego!... — wybuchnąłem. — Tego pilnowania się, tej*

tajemnicy, tych twoich strachów... Czy cały czas mamy żyć w lęku?

— *Przez kilka dni, zanim... zanim...*

— *Zanim co?*

— *Zanim nie przygotuję Cypka i zanim ty nie zrobisz tego, co*

obiecałeś.

— *Mam lepszy pomysł — powiedziałem.*

— *Jaki?*

— *Silne uderzenie!*

— *Silne uderzenie?*

— *Skończmy z tym wszystkim za jednym zamachem! Zróbmy im*

kawał, niech zgłupieją z wrażenia!

— *Co masz na myśli? — zaniepokoiła się Adela.*

— *Pokażemy się razem na kortach! Jeszcze dzisiaj! A to będzie sensacja!*

— *Na kortach? — Adela wytrzeszczyła oczy.*

— *Tak na kortach!*

Adela umilkła osłupiała. Mój pomysł musiał zaskoczyć ją całkowicie. Odkąd tenis stał się modny w naszym mieście, korty zamieniły się w rodzaj forum, gdzie koncentrowało się popołudniowe życie młodzieży. Pójść z dziewczyną na korty znaczyło rzucić wyzwanie.

— *Daj spokój — wymamrotała wreszcie. — Czy zdajesz sobie sprawę... to byłaby przecież...*

— *Prowokacja — dokończyłem — ale ja mam właśnie zamiar prowokować i wyjaśnić szybko sytuację.*

— *Ani się waż — oczy Adeli rozbłysły gniewnie. — Nie życzę sobie żadnych skandali, rozumiesz? Żadnych.*

— *Nie chcesz palić za sobą mostów... — rzekłem ze źle ukrywaną goryczą.*

— *Po prostu boję się plotek. Musimy postępować rozsądnie.*

— *Rozsądnie? Duże brawo i buźka! Precz z improwizacją uczuciową!*

My bazujemy na rozsądku! Wszystko winno być przewidziane, zaplanowane i ubezpieczone. I helikopter na chodzie, gotowy do ewentualnego odwrotu. To nie jest głupie, słowo daję! To się nazywa myślenie praktyczne i zimny rozsądek. Tylko, że od tego zimna zaczynają mi marznąć uszy...

— *Co masz na myśli? — Adela zmarszczyła brwi.*

Nie odpowiedziałem. Ja też nie chciałem palić mostów. I choć mnie korciło wyrąbać prosto z mostu, co myślę o nadmiernej ostrożności Adeli, ugryzłem się w język i milczałem. Gdybym czuł, że ona tylko się boi, że to jest po prostu tchórzostwo, próbowałbym ją przekonywać, ale ja wiedziałem, że to nie jest tchórzostwo, to jest bardzo chłodna kalkulacja. Na mój gust stanowczo za dużo tej kalkulacji, a za mało prawdziwego uczucia... A może w ogóle brak? Wszystko u Adeli jakies takie za dobrze obmyślane, wykalkulowane... O właśnie, to trafne słowo — wykalkulowane. Zupełnie nie tak wyobrażałem sobie to pierwsze spotkanie. Cholernie przykro mi było, ale milczałem pokornie, bo się bałem już pierwszego dnia naszej przyjaźni zgłaszać pretensje i robić dziewczynie wyrzuty. W każdym razie nie spodziewałem się tego po Adeli, wprost przeciwnie... I nagle olśniła mnie myśl. Ależ tak, to przecież niesłychanie proste! Adela, całkiem zwyczajnie, nie była jeszcze z nikim poważnie zaprzyjaźniona, nie była nikim zainteresowana, nie zaangażowana... powiedzmy krótko: nie kochała się w nikim! To niezwykle, gdy się zważy jej powodzenie, jej oszalamiające sukcesy towarzyskie, ten otaczający ją tłumek... Nigdy bym nie przypuszczał! A jednak... tak, to było trafne wytłumaczenie. Adela wszystkie swoje uczucia trzymała jeszcze w banku... A więc głowa do góry! Używając metafory meteorologicznej — oziębłość Adeli to chłód poranku przed wschodem słońca. Gdy słońce wzejdzie, chłód zniknie. Rzecz w tym, kto będzie słońcem. Otóż, nie chwaląc się, w tej chwili ja mam największą

szansę. Zaprzeczyć się nie da. Poczułem duże rozradowanie, tudzież uniesienie poetyckie. Niestety, Adela nader szybko sprowadziła mnie na ziemię.

— Coś tak zbaraniał nagle? — zapytała. To też była metafora, ale na mój gust zbyt brutalna, aczkolwiek zapewne ludowa. — Źle się czujesz?

— Adela spojrzała na mnie zatroskana.

— Nie, po prostu myślałem...

— O czym?

— Oczywiście o tobie, to znaczy o nas, i w ogóle.

— No i co wymyśliłeś? Zgadzasz się z tym, co mówiłam?

— Tak, jak najbardziej — zapewniłem pośpiesznie. — Przyjmuję twoje warunki. Zaprzyjaźnimy się na tydzień!

— To znaczy zerwiesz z Zygmuntem Gnackim? — Adela spojrzała na mnie badawczo.

— Zastanowię się jeszcze...

Sam nie wiem, dlaczego to mi się wyrwało, bo przecież zupełnie nie to chciałem powiedzieć... tak, zupełnie nie to... ale może zdenerwowała mnie ta natarczywość.

— Jak długo będziesz się zastanawiał? — usłyszałem jej chłodny głos. — Wiem, że ci niezbyt zręcznie, więc może ja sama z nim porozmawiam? — zaproponowała nagle.

— Ty?!

— Tak.

— Nie... Och, nie — przestraszyłem się. — Jutro z nim zerwę, na

pewno. Kiedy się spotkamy?

*— Jutro, kwadrans po siódmej, w tym samym miejscu — Adela
wstała i pożegnała się ze mną. — A zatem, do jutra.*

— Odprowadzę cię — bąknąłem pod nosem.

*— Nie — ucięła stanowczo. — Wrócimy osobno, tak będzie
bezpieczniej. Idź przez stare boiska. Będziesz miał nawet bliżej!*

*Przygryzłem wargi i ruszyłem, rad nierad, w stronę dawnych
terenów sportowych „Ozamu”. Gdy przeniesiono stadion na Zarzecze,
na terenach tych miały stanąć nowe hale produkcyjne fabryki, ale na
razie w dalszym ciągu kwitło tu życie sportowe, z tym, że zamiast
klubowych piłkarzy pełno tu teraz było piłkarzy dzikich, różnych
trampkarzy,*

maniaków

ćwiczących

„bieg

po

zdrowie”,

modelarzy-hobbystów itp. dziwadeł.

*Wolałem, żeby mnie nie zauważył ktoś z ludzi Chrzęszcza. Nie
chciałem się narażać na zaczepki, do których zawsze byli skorzy.*

*Szedłem więc obrzeżem boisk, wzdłuż szpalerów wysokich topoli, na pół
zasłonięty przez krzewy, które ostatnio rozplenily się tu bujnie.*

*Byłem już niemal na drugim końcu stadionu, gdy usłyszałem
dziwny głos, ni to jęk, ni to bełkot dochodzący z pobliza, jakby z*

*ostatnich topól. Przyspieszyłem kroku, zboczyłem nieco w prawo i
zajrzałem w zarośla. Zajrzałem i stanąłem jak wryty. Do przedostatniej
topoli przywiązany był człowiek... ale nader dziwnie przywiązany.*

*Skrepowano go bandażem opasując zarazem pień drzewa, od stóp do
głowy. Jedyne głowę miał wolną, lecz podwiązano mu mocno szczękę
dolną, tak że mógł wydawać tylko niewyraźne, niezbyt głośne pomruki.*

*Na mój widok ożywił się znacznie, a jego bełkot nabrał tonów
błagalnych. Nie należę do chłopców narwanych i lekkomyślnych. Życie
w naszym mieście, a zwłaszcza wiadome stosunki między nami a
Defonsiarnią, wiecznie napięta sytuacja i niezliczone zasadzki
nieprzyjaciół nauczyły mnie ostrożności. Dlatego zbliżyłem się do
związanego bez pośpiechu i czujnie, rozglądając się na wszystkie
strony. Dopiero gdy upewniłem się, że nikt mnie nie śledzi, zdjąłem
związanemu bandaż ze szczęki i przyjrzałem mu się dokładnie. Znałem
tego osobnika. To był chłopak z paczki piłkarskiej Chrzęszcza, niejaki
Nowosz.*

— Rozwiąż mnie, na co czekasz — jęknął.

Ale ja postanowiłem najpierw przeprowadzić badanie.

*— Kto cię tak urządził? — zapytałem. — Sądząc po nadużyciu
szlachetnych bandaży do celów raczej nagannych, to...*

— Ci dranie Defonsiacy — dyszał Nowosz rozcierając sobie szczękę.

— Co tu robisz?

— Jak to co? Grałem w piłkę.

— Tu w zaroślach?

— *Wlazłem tam za potrzebą.*

— *I oni cię przydybali?*

— *Wracali na skróty ze szpitalnego parku.*

— *Krogulec był z nimi?*

— *Nie, jeden to był ten mały konus, no wiesz, Ziemek Ziemiński, a drugiego nie znam. Jakiś szczur. Napadli mnie z nienacka.*

— *Dlaczego nie krzyczałeś, baranie?*

— *Jak to nie, darłem się.*

— *A Chrząszcz cię nie usłyszał, ani kumple?*

— *Nie.*

— *Dziwne.*

— *Pewnie już poszli do domu.*

— *Bardzo dziwne — powiedziałem. — A może ty nie przyszedłeś tu grać w piłkę? A może szedłeś gdzieś sam?*

— *Co to? Śledztwo? Rozwiąż mnie zaraz, bo będę krzyczał!*

Jakiś starszy długodystansowiec z siwą bródką przyglądał się nam podejrzliwie. Widok przywiązanego bandażem do drzewa chłopca wydał mu się wyraźnie szokujący i zamierzał interweniować.

— *Co to za makabryczne zabawy? — zauważył z niesmakiem. — A w dodatku marnotrawstwo środków opatrunkowych, importowanych...*

Jak wy się nazywacie?

— *Bolek i Lolek — pisnął Nowosz.*

— *Kpicie sobie!*

— *Nie, proszę pana. Kazali nam bandażować się w ramach*

pierwszej pomocy... robimy sprawności... — Igał Nowosz, i to Iganie przychodziło mu nadzwyczaj łatwo. „Zbyt łatwo — pomyślałem — niebezpieczny typ”. Przebywanie w towarzystwie takiego łobuza wydało mi się kompromitujące, toteż rozwiązałem go szybko i oddaliłem się bezzwłocznie.

Do domu wróciłem późno, bo przedtem długo błądziłem po cienistych i zacisznych podmiejskich uliczkach, z gorącą głową i sercem pełnym sprzecznych uczuć. Najbardziej mnie poruszyło dziwne żądanie Adeli. To prawda, że sam nieraz chciałem zerwać z Gnatem, ale nigdy nie brałem tego poważnie. Do licha, jak to przeprowadzić?! Jak zacząć z nim tę decydującą rozmowę? Powiedzieć wprost?! Zachowaj Boże.

Pochwalić się, że poznałem Adelę i że nie będę miał teraz czasu... Nie! Wpadłby w szal. Więc jak mu wytłumaczyć, że nie będę więcej spotykał się ani z jego paczką? Nie ma rady. Trzeba wstawić jakąś fabułę: mama zachorowała i muszę zajmować się domem. Albo: przygotowuję siostrę do egzaminu... Albo: spędzam całe popołudnia u łóżka umierającej babci. Albo: kryzys materialny w rodzinie. W wolnych chwilach sadzę kapustę u ogrodnika... A jednak wiedziałem, że będę czuł się jak zdrajca. I stale widziałem przed sobą zdumioną twarz Zyzia, twarz smutnego kłowna.

Przecież nie przypuszcza w swojej zarozumiałości, że mógłbym mu zrobić coś takiego. To będzie dla niego cios. Zwątpi w przyjaźń, załamie się i stoczy nisko... Trudno, bracie... Nie mogę się pieścić z tobą! Gdybyś ty poznał Adelę, nie miałbyś takich skrupułów... Tak jest. Zbyt długo byłem wykorzystywany przez Gnata. Zawsze grał pierwsze skrzypce.

Pakował mnie w tarapaty. Komplikował moje życie... Nie powinienem się wahać...

A jednak wciąż patrzy na mnie twarz smutnego kłowna... Dostyc tego! Nie można być dla wszystkich równie dobrym. Życie ma swoje prawa. Adela przede wszystkim i przed wszystkimi! Tak, jestem zły!

Muszę być zły! Zacisnąłem pięść i z całej siły uderzyłem w twarz kłowna Zyzia. Zniknął.

Jego blada smutna twarz już nie pojawiła się. Ale czułem się tak, jakbym popełnił z zimną krwią morderstwo. Mimo to wytrwałem w moim postanowieniu cały wieczór i całą noc, we wszystkich moich snach.

Rano obudziłem się z mocnym postanowieniem, że w szkole, zaraz na pierwszej przerwie, powiem Zyziovi, że wycofuję się z czynnego życia społecznego klasy oraz że będę musiał zrezygnować, przynajmniej chwilowo, z uroków należenia do jego zaszczytnej paczki. Podam się także oficjalnie do dymisji jako redaktor gazety, lecz to załatwię już osobiście z Oberonem. Niech Zyzio myśli, że idea wyszła od Oberona. Że Oberon po prostu mnie wylał... Tak postanowiłem, gdy obudziłem się rano, ale gdy znalazłem się w szkole — moja odwaga dziwnie wyparowała. Wystarczyło jedno spojrzenie Zyzia, tym bardziej, że tego dnia trzymał się ode mnie raczej z daleka i miał na ustach bardzo dziwny uśmiezek. Ten uśmiezek najbardziej mnie niepokoił i w rezultacie postanowiłem przemyśleć jeszcze raz całą sprawę w skupieniu. W tym celu wziąłem zaraz na drugiej przerwie klucz do sali

biologicznej. Było parę takich miejsc w naszym mieście, gdzie czułem się oderwany od marności tego świata, niemal tak, jak kontemplujący joga. Salę biologiczną cenilem wysoko pod tym względem — zajmowała szczególną pozycję. Chyba z powodu znajdujących się tu eksponatów. Wyjątkowo dobrze wpływały na moje samopoczucie szkielety i czaszki kręgowców, imponujące modele wygasłych dawno gatunków, gady jurajskie i autentyczna, potężna kość kopalnego dinozaura w szklanej gablocie wiszącej nad równie autentycznym olbrzymim „plasterkiem” pnia drzewa z trzeciorzędu, podarowanym szkole przez górników z Turoszowa. W obliczu tych czcigodnych eksponatów moje własne problemy nabierały właściwych proporcji. Miał rację mój dziadek Mateusz, który stale powtarzał, że rzeczy przykre należy rozpatrywać „sub specie aeternitatis” [\[1\]](#). To przynosiło ulgę. Opadały opary złości, niepokoju, niepewności, urazy i niechęci, znikaly niepotrzebne nacieki, naleciałości, zaproszenia i zamglenia — wszystko, co mogło zakłócić jasność, bezstronność i trzeźwość mojego sądu. Oczyszczony i spokojny, mogłem myśleć swobodnie i wydajnie, a na końcu podjąć decyzję. Lecz tym razem było inaczej. Mimo że pozbyłem się wszelkich oparów i zaproszeń, mimo że myślałem całkowicie swobodnie i nader wydajnie — po raz pierwszy nie podjąłem żadnej decyzji, a nawet nie znalazłem teoretycznej odpowiedzi na żadne postawione sobie pytanie, przeciwnie, pytań i wątpliwości zaczęło się mnożyć coraz więcej. Po czwartej lekcji puszczono nas do domu, bo pani Tromboniowa pojechała z wycieczką do Wieliczki. Miałem dosyć myślenia i poszedłem

zwrócić pani Stypułkowskiej klucz od sali biologicznej. To było o godzinie dwunastej zero pięć. Nie przypuszczałem jeszcze wtedy, że wypadki nagle zaczną się toczyć w tempie galopującym i że w ciągu paru godzin życie samo wyjaśni wszystkie moje wątpliwości, że doznam zdumiewających zaskoczeń i mój świat po raz drugi stanie niebezpiecznie na głowie... Ale trzeba to opowiedzieć po kolei.

Otóż zwróciłem klucz o godzinie dwunastej zero pięć, a pół minuty później, gdy wychodziłem z sali, zostałem schwytany przez ludzi Chrząszcza. Zasadzili się na mnie pod drzwiami. Zupełnie niezrozumiały napad! Zaskoczony, uległem w pierwszej chwili i dałem się prowadzić jak baran, bez oporu, ale cały czas moja „baśka” pracowała. Prowadziło mnie dwu wielkich drugorocznych — Kowalski i Papuła. Wiedziałem, że będziemy przechodzić przez wąską furtkę. Jeśli bowiem prowadzą mnie do cieplarni, gdzie mają swoją kwaterę, to będą musieli przechodzić przez tę furtkę, a wtedy nie zmieścimy się we trzech ani nawet we dwóch, będą więc musieli zwolnić uścisk, zmienić sposób prowadzenia mnie, i to będzie dla mnie szansa... Istotnie, tak się stało. Przed furtką Papuła mnie puścił, wtedy ja szarpnąłem się z całej siły, wyrwałem się Kowalskiemu, a gdy Papuła chciał rzucić się na mnie, pchnąłem na niego furtkę i przygniotłem go do płotu. Kowalski już doskoczył z pięściami, ale ja dałem nura w bok, w zarośla, a odepchnięta przez przyduszonego Papułę furtka uderzyła w nos Kowalskiego tak boleśnie, że wydał nieartykułowany ryk ranionego wołu i przez długą chwilę chwiał się na nogach jak pijany...

Korzystając z chwilowego oszołomienia moich prześladowców

*ruszyłem biegiem przed siebie. Miałem zamiar obieć dookoła szklarnię i
wyskoczyć tylnym wyjściem na ulicę, ale nagle zobaczyłem przed sobą
Robaka i Bobka Kwiecińskiego z teczką. Musieli należeć do spisku, bo
natychmiast chcieli rzucić się na mnie, ale miałem tym razem jeszcze
więcej szczęścia. Obok mnie leżał wąż ogrodniczy. Porwałem go
błyskawicznie i pokręciłem kółkiem zaworu. Strumień lodowatej wody
chlusnął prosto w Robaka i Kwiecińskiego. Zatrzymali się z
rozpaczliwym wrzaskiem, a ja zawróciłem i przez furtkę z powrotem
wbiegłem na dziedziniec szkolny. Gonili mnie rozwścieczeni.*

*— Poddaj się! Nie masz szans! — krzyczeli. — To ci nic nie pomoże. I
tak będziesz w naszych rękach. Złapiemy...*

*— No, to spróbujcie! — odpowiedziałem pewny swojej sprinterskiej
przewagi. Parę razy obiegliśmy dookoła szkołę.*

*Widząc, że mnie nie dogonią, rozdzielili się i postanowili wziąć mnie
w dwa ognie. Zorientowałem się jednak szybko w tym manewrze i
wbiegłem do szkoły. Oni musieli zwolnić, bo akurat nadciągnęła pani
Czupurska od wuefu z całą watahą koszykarzy, a za nimi woźny
Macoch. Zauważył od razu, że Robak i Kwieciński są w butach i ociekają
wodą. Rozindyczył się z powodu takiej profanacji świętych posadzek i
zapędził łobuzów do szatni.*

*Odetchnąłem i spokojnie poszedłem do toalety zmyć krew z
zadrapanej ręki i doprowadzić się jakoś do porządku po tych
nikczemnych napaściach. Otworzyłem drzwi pogwizdując beztrosko i*

stanąłem jak wryty. Pośrodku umywalni stał Zyzio we własnej osobie i ponuro wycierał ręce.

— Cześć, Gnat — bąknąłem siląc się na normalny ton.

— Witaj, eks-przyjacielu — warknął Zyzio.

— Eks? — udałem głębokie zdumienie. — Ranisz mnie w samo serce!

— Jesteś moim byłym przyjacielem — oświadczył z goryczą Zyzio.

— Dlaczego, Zygmusiu? — zapytałem niewinnie, wiedząc dobrze, iż nic tak nie drażni Gnata, jak nazywanie go Zygmusiem.

— Nie nazywaj mnie tak! — krzyknął wściekły.

— Nie rozumiem, co cię właściwie denerwuje?

— Twój ton i styl! Porozmawiajmy poważnie.

— Poważnie? Z jakiej to okazji, mój Komplikatorze?

— Jest wyjątkowa okazja. Chodź! — chciał mnie chwycić za rękę, ale odsunąłem się w porę.

— O co chodzi?

— Dowiesz się na miejscu.

Nie podobał mi się ten ton, nie wróżył nic dobrego. Zbyt dobrze znałem Zyzia. Czulem, że burza wisi w powietrzu.

— Dziękuję, przyjdę jutro — powiedziałem.

— Pójdiesz teraz — powiedział Zyzio i złapał mnie brutalnie za ramię.

Stanowczo nie znoszę, gdy ktoś narzuca mi na chama swoją wolę.

Wykręciłem się więc błyskawicznie i zapobiegawczo rąbnąłem

eks-przyjaciela w żołądek. Zyzio jęknął cicho, ale nie przewrócił się ani

nie zgiął jak scyzoryk, ani nawet nie zatoczył... Po prostu mój cios był za słaby. Nie chciałem sprawić zbyt dużego bólu eks-przyjacielowi. A potem okazało się, że to był jednak duży błąd, tym bardziej że łobuz miał w dodatku szeroki pas z metalową klamrą jak tarczą i w rezultacie jemu nic się nie stało, a ja... ja nieborak rozbiłem sobie pięść na tej tarczy. No i czy warto być litościwym? Ach, litość zupełnie nie popłaca, gdy ma się do czynienia z mściwym gadem! A Zyzio okazał się właśnie takim gadem. Zupełnie nie docenił humanistycznej łagodności mojego ciosu i, nim zdążyłem uciec, podstępnie podłożył mi nogę. Wyłożyłem się jak długi i nie było już dla mnie ratunku. W następnej chwili Zyzio już siedział na mnie, a zważywszy jego parametry i to, że był starszy o rok z okładem, miał nade mną zupełną przewagę. Mimo to nie poddawałem się, uparcie próbowałem strząsnąć z siebie ohydny ciężar. Zyzio podrygiwał raz po raz, jak na koniu, i musiał wyęźać wszystkie siły, żeby nie spaść ze mnie.

— Uspokój się! Przestań wierzczać i zachowuj się kulturalnie — sapał zdenerwowany. — Co to za maniery! Ja cię zapraszam na rozmowę, a ty mnie rąbiesz w żołądek! To jest zdziczenie, Tomciu!

— Sam jesteś dziki — zacharczałem.

— Ja?!

— To ty siedzisz przecież na mnie jak głupie zwierzę! Puść! Puść mnie zaraz, ty ohydny gibbonie!

Ale Zyzio nawet nie wysłuchał tej mowy, bo właśnie w tej samej chwili nadszedł Chrzęszcz ze swoimi czołowymi zausznicami, jeśli tak

można powiedzieć, a mianowicie ze znanymi mi dobrze garami: Papułą, Kowalskim, Robakiem i Kwiecińskim. Ci dwaj ostatni jeszcze szczękali zębami po prysznicu, który im zafundowałem. Szczękali zębami, ale właśnie dlatego dyszeli zemstą, czułem to. Ich pojawienie się, gdy ja byłem bezsilny, nieco mnie zmartwiło.

Na mój widok Chrząszcz rozjaśnił się.

— Masz go, widzę — powiedział do Gnata — a już się bałem, że zwieje. Chytra sztuka. Moich czterech idiotów wystrychnął na dudka — spojrzał pogardliwie na Papułę, Kowalskiego, Robaka i Kwiecińskiego.

— Bądź ostrożny... Wciąż jeszcze wierzga?

— Trochę — odparł Gnat.

— Zaraz przestanie — powiedział Chrząszcz i wyciągnął z kieszeni pokaźny kłębek bandaża. — Zabandażuję go.

— Szybko przejąłeś metody Defonsiaków — zacharczałem. — Jak na taką zakutą pałę, to duże osiągnięcie...

— Za dużo gadasz — uśmiechnął się łagodnie Chrząszcz. — Chyba oprócz opatrunku, założymy ci na pyszczek kapturek!

Skinął na Bobka Kwiecińskiego, który równie skwapliwie jak nerwowo otworzył drżącą ręką teczkę i wyciągnął z niej duży czerwony kaptur, przypuszczalnie odpięty od damskiej kurtki, płaszcza lub wiatrówki. Pochylił się nade mną i nie czekając na dalsze instrukcje chciał mi włożyć na głowę tę wątpliwą ozdobę.

— Nie tak — zbeształ go Chrząszcz — zapomniałeś o instrukcji!

Tylem na przód! Naciągnąć dobrze na twarz i zawiązać na karku. Twarz

musi być cała zakryta!

Bobek Kwieciński chciał poprawić, ale Zyzio odsunął go stanowczo.

— Zostaw, kaptur na razie nie będzie potrzebny, ani kaptur, ani bandaż, tak myślę. Okist jest oszust, fagas i zbuk, ale nie jest wariat! On uprawia realizm krytyczny. Oцени trzeźwo sytuację i nie będzie wierzył ani bluzgał, bo zrozumie, że to nie ma sensu. Prawda Tomciu?

Istotnie, nie jestem szaleńcem mimo pewnych pozorów. Toteż ocenilem trzeźwo sytuację, stwierdziłem, że nie mam szans, i skinąłem głową.

Wtedy Zyzio przestał mnie gnieść, zlął ze mnie i pozwolił mi wstać.

Wstałem i otrzepałem ubranie.

— Co to wszystko ma znaczyć?! — zapytałem ostro. — O co mnie oskarżacie?

— O zdradę — powiedział Zyzio.

Rozdział XVI

OSKARŻENIE [\[top\]](#)

W milczeniu wyprowadzono mnie ze szkoły i poszliśmy do starej szklarni. Za cichą zgodą woźnego Macocha mieścił się tu klub piłkarzy, w którym rej wodził Chrzaszcz. Większość szyb w szklarni była wybita, zamiast nich wstawiono papę lub kawałki płyt pilśniowych, w rezultacie panował tu tajemniczy półmrok. Gdy moje oczy przyzwyczały się do tego półmroku, zauważyłem, że całe wnętrze jest gęsto wytapetowane ilustracjami wyciętymi z czasopism sportowych i fotosami

wybitnych

przedstawicieli

poszczególnych

dyscyplin,

zwłaszcza piłki nożnej. Największe jednak wrażenie zrobiła na mnie

wielka płachta brystolu rozpięta na kikucie dawnego komina, z

naklejonymi tekstami i zdjęciami. Osoby na tych zdjęciach wydawały

mi się znajome... Tak, nie mogłem się mylić, to byliśmy my, chłopcy i

dziewczyny ze szkoły Rejtana oraz nasi nauczyciele. Ale w jakich

niezwykłych ujęciach... Od razu widać, że zdjęcia były nie upozowane,

robione całkowicie na żywo i chyba bez wiedzy portretowanych...

— Co to jest?! — wykrztusiłem.

— Właśnie chcieliśmy ci pokazać — powiedział ponuro Zyzio. — To

jest nowa prowokacja Defonsiaków.

— Gazeta ścienna?!

— Tak. Zrobili reportaż o naszej szkole.

— Złośliwy?

— Piekielnie.

— Kłują?

— Żądłem humoru i satyry.

— To najgorsze żądło.

— Ja też tak myślę.

Patrzyłem zaskoczony to na Zyzia, to na gazetę.

— Ale... ale powiedz mi, skąd ją wziąłeś?

Zyzio uśmiechnął się słabo.

— Mieli czelność zawiesić ją na zewnątrz swojej szkoły, na parkanie.

Udało nam się zdjąć... Wymagało to pomysłu i dużego poświęcenia, ale udało się.

— No to fajnie.

— Nie bardzo. Zaraz powiesili drugi egzemplarz. Okazało się, że mają kilka. Prócz tego jeszcze dwa wiszą u nich wewnątrz szkoły.

Gnat miał tak żalospną minę, że wyglądał na zbitego mopsa.

Uśmiechnąłem się mimo woli. Od razu spostrzegł.

— Wesolo ci? — warknął. — No, nie dziwię się — wycodził po chwili.

— Ale na końcu ja będę się śmiał, nie ty... rozumiesz? — chwycił mnie nagle za kołnierz.

— Co ci jest?! — wyrwałem się przestraszony.

— Nic. Porozmawiamy potem. A teraz obejrzyj sobie te śmieszne obrazki.

— Lepiej przystąpmy od razu do rzeczy — zaproponował niezadowolony Chrzyszcz.

— Mamy czas. Niech sobie najpierw poogląda — powiedział Zyzio i błysnął złowrogo okiem. Chrzyszcz i jego ludzie też błysnęli. Nie był to szczególnie sympatyczny widok, więc tym bardziej skwapliwie zabrałem się do oglądania obrazków.

Trzeba przyznać, że moi szanowni koledzy nie wyszli na tych zdjęciach zbyt mądrze, aczkolwiek nie były to zdjęcia specjalnie złośliwe, w każdym razie żaden fotomontaż czy deformujący retusz. Po

prostu przyłapano nas na „gorących uczynkach” w różnych, mało budujących pozach i sytuacjach nie na pokaz... Czy może mądrze wyglądać ziewający Kękuś? Stanowczo nie. Kękuś normalnie nie jest piękny i paszczę ma jak krokodyl, a cóż dopiero, gdy ziewa! Czy może mądrze wyglądać zagapiony nasz przyjaciel Kleksik z półotwartymi ustami jak śnięta ryba, z wylupiastymi oczami jak żaba? Kleksik w takiej pozycji robi wrażenie faceta o współczynniku inteligencji... no, właśnie rybiej. Ale mówiąc szczerze, mógłbym wymienić sto sytuacji życiowych, w których wyglądaliśmy jeszcze gorzej...

Najbardziej chyba udał im się Zyzio. Rozczochrany, jak chochoł, krzyczący coś, potwornie skrzywiony, rozgorączkowany, z cierpieniem pulsującym na twarzy. Nad zdjęciem umieścili napis: „Zatroskany stanem inteligencji redaktorów i przygnębiony poziomem swojej gazety — Zygmunta Gnacki”, a pod spodem: „Uśmiechnij się, stary, życie jest piękne. Mimo wszystko”.

— To twój najlepszy portret — zażartowałem obracając się do Zyzia. Zyzio zmiął w ustach przekleństwo.

— Dranie! Pewnie pstryknęli to na tym meczu, kiedy ten głupi Kwękacz zmarnował stuprocentową bramkę. Faktycznie, cierpiałem wtedy — dodał po chwili posepnie.

Obok uczniów były fotografie nauczycieli. Na pierwszym miejscu fotografia Oberona trzymającego się za głowę, poniżej zaś rzecz zdumiewająca — co pikantniejsze cytaty z mowy gabinetowej, którą nas uraczył w związku ze sprawą Bambosza, trzy tygodnie temu. A przecież

była to mowa w zamkniętym gabinecie!

A potem Bambosz sam, w rozchełstany fartuchu, krzyżący, z obłędem w oczach, biegnący gdzieś z rozwianymi włosami, wyglądający raczej nienormalnie. I znów krótki napis: „Po roku pracy — na progu szaleństwa”.

— No i pani Stypułkowska i pani Tromboniowa, załamujące żałośnie ręce, i osłupiały pan Kozdroń — nasz matematyk, jakby sparaliżował go widok głupiego błędu w klasówce, i wreszcie fotogeniczny jak zawsze pan Pelman, z rękami założonymi na plecach, zgarbiony, pochylony, oklapły i nieszczęśliwy, a pod tymi wszystkimi zdjęciami ogólny podpis: „Oto miłe i sympatyczne, lecz głęboko zatroskane grono. Czyżby uczenie w szkole Rejtana nie sprawiało już żadnej satysfakcji? Koledzy Rejtaniacy, szanujcie zdrowie Ciała Pedagogicznego!”

— Przeczytałeś? — zapytał Zyzio.

— Tak — odpowiedziałem.

— Obejrzałeś wszystko dokładnie?

— Tak.

— I co?

— Kapitalne zdjęcia i podpisy!

— Tylko to masz do powiedzenia?

— Raczej tak. Nie trzeba tym się specjalnie przejmować. To jest w konwencji szkolnej zgrywy, mierny ładunek satyryczny...

— Mierny?!

— *Wszystkie zdjęcia są, niestety, autentyczne, przyczepić się nie można, a podpisy... No cóż, ostatni jest nawet bardzo sympatyczny...*

Gnat zasapał.

— *Lizusi! Wstrętni lizusi! Podlizują się naszym gogom, bo się boją, nas natomiast atakują bezczelnie!*

— *Nie przejmuj się... Oczywiście, nie są obiektywni... ale, mój kochany, obiektywizm w gazecie... a tym bardziej w sztuce... to trochę naiwne żądania... Powtarzam: zdjęcia są prawdziwe. Niestety, tak wyglądamy czasami...*

— *Ale nie tylko tak! Te zdjęcia są wybrane umyślnie złośliwie, są złośliwie jednostronnie!*

— *Zgoda. Ale to jest właśnie piekielna broń każdej sztuki...*

Wystarczy, że autor spojrzy na ciebie pod pewnym kątem, a możesz wyjść na osła, nawet skądinąd będąc pełnokrwistym koniem; możesz wyjść na gapiowatego imbecyla, nawet skądinąd będąc geniuszem...

— *I o to właśnie mamy na pieńku z Defonsiarnią! Że nas zrobili na osłów i imbecylów. Ale ciebie to specjalnie nie martwi.*

— *Specjalnie, nie.*

— *A ja wiem nawet, dlaczego.*

— *Naprawdę?*

— *Nie udawaj, że nie wiesz...*

— *Słowo daję, że nie wiem...*

— *No, to zaraz się dowiesz. Wracam do mojego pytania. Czy nic cię specjalnie nie uderzyło w tych zdjęciach?...*

— *A co mnie miało uderzyć?*

— *To, że ciebie tam nie ma! Nigdzie! Na żadnej fotografii!*

— *To prawda — chrząknąłem nieco zakłopotany. — No cóż, widocznie jestem zbyt małą figurą...*

— *No, nie bądź taki skromny!*

— *Może... może po prostu przypadek... Nie jestem zbyt fotogeniczny i ciekawy... Nie wzięli mnie pod uwagę!*

— *A może za bardzo wzięli cię pod uwagę?*

— *Nie rozumiem.*

— *Ja też nie rozumiem. Spójrz! Zamieścili dosłowne cytaty z Oberona, wszystko, co powiedział wtedy w gabinecie, przypominam: w zamkniętym gabinecie, na temat Straży Porządkowej i na temat omamów pana Pelmana. Temat do kpin, nie? Toteż przejechali się po nas zdrowo.*

— *Może podsluchiwali przez „kanał Moniuszki”, skoro Bunia Przypora mogła podsluchać...*

— *Ona podsluchiwała parę dni wcześniej... A potem kanał został zamurowany. Sam dopilnowałem, żeby był dokładnie zamurowany. Za dużo osób o nim wiedziało i stał się niebezpieczny... Więc kiedy była ta historia z Pelmanem, kanał już nie funkcjonował. A zatem... a zatem mamy pytanie pierwsze: skąd Defonsiacy znali szczegóły naszej rozmowy z Oberonem i tego, co powiedział Pelman?*

Milczałem. Pytanie istotnie było trudne.

— *Czy ty wiesz, co to znaczy? — zasapał Zyzio. — Skąd te szczegóły i*

skąd, do licha, te zdjęcia!

— Może robili teleobiektywem.

— Żartujesz chyba...

— Ależ nie... Nie zdziwiłbym się, gdyby i to potrafili...

— Zaimponowali ci, widzę!

— Ależ to naprawdę jest wspaniałe! Drapieżny pomysł... Doskonale skomponowane zdjęcia, dowcipny komentarz, no i do tego ten korespondent, który im przekazał tajne wiadomości...

— Chciałeś powiedzieć: szpieg.

— W każdym razie Gruby Cypek zakasał cię, Gnat! Faktem jest, że tobie taki pomysł nie przyszedł do głowy... Osunąłeś się, zostajesz w tyle, nie dotrzymujesz kroku, Gnat! — mówiłem nie ukrywając szyderstwa.

— Nie bój się. Nadrobimy opóźnienie — wycedził zimno Zyzio. — Już wczoraj miałbym wyrównane rachunki, gdyby nie mała przykrość, która spotkała Matyldę.

— Matyldę? — zmarszczyłem z niepokojem brwi. — Wciągnąłeś do tego Matyldę?!

— Gdy tylko dowiedziałem się o perfidnym zagranii Defonsiaków, natychmiast przystąpiłem do akcji. Nie jestem z tych, co pozwalają sobie pluć w kaszę. Ogłosiłem stan wyjątkowy i zwołałem nadzwyczajne zebranie redakcji. Oczywiście ty nie przyszedłeś — dodał z goryczą.

— Nie zostałem zawiadomiony.

— Owszem, próbowałem cię zawiadomić, ale byłeś nieuchwytny.

— *Tomcio miał ważniejsze sprawy na głowie — zachichotał*

Chrząszcz, a za nim, jak echo, zachichotali wszyscy jego ludzie.

— *Co to za aluzje? — skrzywiłem się. — Racz nie odbiegać od tematu i mów, co się stało z Matyldą!*

— *Niech Chrząszcz dalej opowie — zasapał Zyzio — ja naprawdę jestem zbyt zdenerwowany. Mów, Chrząszcz!*

— *Niech Bobek opowie — mruknął Chrząszcz obgryzając z krzywym uśmiechem łąkę kopru. — Mów, Bobek!*

Bobek odchrząknął:

— *No więc Gnat... to jest, przepraszam, szef bardzo się przejął tym atakiem prasowym Defonsiaków i powiedział na zebraniu redakcji: to wymaga zemsty, wydajemy numer poświęcony Defonsiarni, ze szczególnym uwzględnieniem tych ciemnych kreatur w ich redakcji z Grubym Cypkim na czele. Zobaczymy, kto lepiej nadaje się na materiał do kpín i satyry! Chcę ich mieć! — krzyczał. Chcę ich mieć na fotograficznym papierze! Głupich i śmiesznych! Dawajcie tu zaraz Matyldę!*

— *Wysłałeś Matyldę w paszczę lwa?! — oburzyłem się.*

— *Przecież dawno się napraszała, że chce pracować w redakcji, i ty sam mnie namawiałeś, żeby ją wykorzystać — powiedział Zyzio. — No więc dałem jej szansę...*

— *Szef powiedział: „To jest robota dla ciebie, jesteś dziewczyną, nie należysz ani do redakcji, ani do mojej paki, nikt nie zwróci na ciebie uwagi, pójdiesz do nich, zaczaisz się i zrobisz zdjęcia... dużo... całe*

mnóstwo zdjęć...” „Jakich?” — zapytała. „W tym samym stylu, tak jak oni zrobili nam. Daję ci dwa dni czasu! Po dwu dniach chcę tu mieć ich głupie gęby!” Tak powiedział Matyldzie i Matyllda zaraz poszła robić te zdjęcia. Niestety, wróciła po godzinie w oplakany stan... Bez zdjęć i z potłuczonym aparatem! Przerazona, ledwo żywa...

— O Boże... — jęknęłam.

— Krogulec ją napadł. Czatował już na nią razem z całą watahą Defonsiaków. Wydarli jej od razu aparat i rzucili w krzaki, a potem Krogulec obciął jej dziesięć centymetrów włosów...

— Co ty?

— Tak. Wszystko wiedzieli. I mieli nawet przygotowane nożyce — powiedział Bobek Kwieciński strzygąc nerwowo uszami, zapewne z wielkiego przejęcia.

— I mamy pytanie drugie — wycedził pomału Zyzio wpatrując się we mnie. — Kto poinformował Krogulca o misji Matylldy?

— Ale tym razem odpowiedź była łatwa — wtrącił z uśmiechem Chrząszcz.

— Gdy zestawilo się wszystkie fakty... — dodał Zyzio.

— I pomyślało logicznie...

— To ty! — Zyzio wycelował we mnie oskarżycielski palec. — I za to teraz rozprawimy się z tobą...

— Weź ten palec — odtrąciłem rękę Zyzia gwałtownie. — I umyj go sobie lepiej! — dodałem. — To jest brudne oskarżenie! I wysrane chyba z tego brudnego palca.

— *No, no, ty...*

— *Zaraz, pomyśl trochę. Jak mogłem zdradzić Krogulcowi misję*

Matyldy? To niemożliwe. Co najmniej z dwu powodów...

— *Czyżby?*

— *Po pierwsze: powód fizyczny, nie było mnie przecież na tej naradzie redakcyjnej... Po drugie: powód psychologiczny, wiesz dobrze, jak lubię Matyldę. Czy mógłbym ją sprzedać Krogulcowi? Bzdura.*

— *Bynajmniej, mój Okiście — powiedział spokojnie Zyzio — to nie jest wcale bzdura i też co najmniej z dwu powodów. Po pierwsze, Matylda zaraz po naradzie redakcyjnej telefonowała do ciebie, że nie może przyjść na umówione spotkanie, bo ma wykonać te zdjęcia... więc wiedziałeś dobrze, na czym polega jej zadanie, i na pewno wyciągnąłeś od niej wszystkie potrzebne szczegóły, a może wspólnie ustaliliście plan działania...*

— *Co za pomysł z telefonem! Ależ ja nie odbierałem żadnego telefonu!*

— *Matylda powiedziała nam, że musi do ciebie zadzwonić, bo byliście umówieni... Czy zaprzeczysz, że byliście umówieni?*

Przygryzłem

wargi.

Rzecz

niestychana.

Dopiero

teraz

przypomniałem sobie, że istotnie, umówiliśmy się na ten dzień do kina, jeszcze tydzień temu. I po raz pierwszy wywietrzało mi z głowy... Z wiadomego powodu...

— Owszem, byliśmy umówieni — przyznałem zakłopotany — ale o tej porze nie było mnie w domu.

— To ty tak mówisz... A Matylda po powrocie z tej dramatycznej wyprawy powiedziała, że rozmawiała z tobą przez telefon.

— Tak powiedziała — potwierdził Chrząszcz. — Wszyscy słyszeliśmy.

— Pytaliśmy specjalnie Matyldę, kto mógł wiedzieć o jej reporterskiej wyprawie do Defonsiarni, i powiedziała, że ty... bo przedtem telefonowała do ciebie. Tak powiedziała dosłownie: telefonowałam do Tomka.

— To jeszcze wcale nie znaczy, że rozmawiała osobiście ze mną. Mogła rozmawiać z kimś z domowników, z jedną z tych moich piekielnych sióstr, a ta roztrzepana koza zapomniała mi powtórzyć.

— To są naiwne wykręty — zauważył Zyzio.

— Naiwne i gołosłowne — dodał Chrząszcz nie przestając żuć flegmatycznie żdźbła.

— Sprowadźcie tu Matyldę — zasapałem wzburzony — niech potwierdzi, czy rozmawiała osobiście ze mną.

— To byłoby raczej trudne w tej chwili — powiedział Zyzio.

— Matylda to dzielna dziewczyna. Poszła tam jeszcze raz! — wyjaśnił Chrząszcz oblizując żdźbło.

— Co takiego?! Kazaliście jej iść powtórnie... do Defonsiarni? Po

tym, co się stało?!

Zyzio wzruszył ramionami.

— Ja muszę mieć te gęby — mruknął. — Zadanie musi być

wykonane... Dałem jej swój aparat i poszła...

— Jesteś niemożliwy — wykrzyknąłem. — Wysyłać ją jeszcze raz po

tym, co się stało? To czyste szaleństwo.

— Niezupelnie — Zyzio uśmiechnął się chytrze — właśnie po tym, co

się stało, Defonsiacy nie będą się spodziewać, że Matylda znowu

przyjdzie. To im nawet nie wpadnie do głowy! Że tak szybko przyjdzie!

A ty nie udawaj, że się tak przejmujesz Matyldą... Ładnie to zagrane, ale

nic ci nie pomoże... za stary wróbel jestem, żeby się nabrać na te

plewy... Twój psychologiczny chwyt nie jest wart funta kłaków...

Pokażcie no to zdjęcie...

— Jakie zdjęcie? — zaniepokoiłem się.

— Zrobiliśmy ci wczoraj piękne zdjęcie, romantyczne — powiedział

Zyzio i skinął na Bobka Kwiecińskiego, który skwapliwie sięgnął po

wielką fotografię formatu A5.

Popatrzyłem oniemiały. Na zdjęciu byłem ja i Adela. Siedzieliśmy

na ławce w parku, rozbawieni, a Adela wkładała mi do ust dropsa...

— Nie wiedziałem, że mamy oswojonego ptaszka — uśmiechnął się

krzywo Gnat. — Jesz jej z ręki.

— Skąd masz to zdjęcie?! Kto to robił?

— Mój człowiek. Nazwiska nie musisz znać, grunt, że zdjęcie jest

wysokiej klasy... Ale widzę, nie jesteś specjalnie zachwycony. Myślisz,

że to może fotomontaż?

— Nie, to jest prawdziwe zdjęcie — odparłem cicho.

— Więc przyznajesz się?

— Do czego niby?

— Do zdrady.

— Rozmowa z Adelą w parku to jest zdrada?

— Przypuśćmy, że ci pozwolili! Ile im zapłaciłeś? Ile i czym?

— Komu, do licha miałem płacić?!

— Defonsiakom.

— Głupi jesteś. Adela nie jest na sprzedaż... Myślisz, że wszystko można sprzedać i kupić?

— To co znaczy to zdjęcie?

— To, co widzisz...

— To znaczy, że ty i Adela... Uważaj, bo skonam ze śmiechu...

— To znaczy, że Adela mnie lubi — rzekłem zimno.

— Chcesz, żebym w to uwierzył?

— Nie wierzysz w przyjaźń? Przyjaźń to piękna rzecz, Zygmusiu!

— Przestań drażnić się ze mną — ryknął Gnat i rąbnął mnie w żebro.

— Zachowuj się kulturalnie! Ty chyba jesteś zazdrosny!

— Rozwalę cię, słowo daję! — ryczał Gnat.

— Szefie — powiedział Bobek Kwieciński — szkoda się z nim męczyć.

Przecież Nowosz wszystko słyszał. Trzeba zawołać Nowosza...

— Tak jest. Będziesz skonfrontowany z Nowoszem, żebyś nie mówił,

że sąd był niesprawiedliwy — zadyszał Zyzio patrząc mi w twarz z

nienawiścią. — Dajcie Nowosza!

Zaczęli wołać tego wymoczka Nowosza. Przybiegł po kilku sekundach. Nie patrzył mi w oczy, miał głupi uśmieszek na twarzy.

— Powiedz, co widziałeś w parku szpitalnym — zapytał Zyzio.

— Okist był z Adela. Siedzieli na ławce — recytował Nowosz piskliwym głosem. — Rozmawiali.

— O czym rozmawiali?

— O tobie, o naszej budzie... Okist mówił, że jesteś wściekły z powodu reportażu i dyszysz zemstą, i że posłałeś Matyldę...

— Kłamstwo! — wykrzyknąłem, ale wymoczкови nawet nie drgnęła powieka, bezczelnie ciągnął dalej:

— Powiedział, że Matylda będzie najpierw ukryta w krzakach z aparatem... w krzakach pod Defonsiarnią, a potem, gdy Cypek przyjdzie na zebranie komitetu redakcyjnego...

— Kłamię, łobuz!

— Słyszałem. Słyszałem na własne uszy, jak powiedział, że Matylda przeniknie do Defonsiarni przebrana w biały fartuch i czepek i będzie udawać jedną z tych pań z inspekcji Sanepidu! Wszystko opowiedział po kolei, a ona, znaczy Adela, zapisywała. I obiecał, że będzie donosił o wszystkich poruszeniach szefa...

— Jesteś szczurem — powiedziałem do Nowosza — jesteś wyjątkowo wstrętnym szczurem. Nic nie mogłeś widzieć i słyszeć, bo byłeś cały czas przywiązany do topoli o trzysta metrów od nas. Daleś się okręcić

Defonsiakom bandażem jak mumia! Kwiczałeś jak szczur i skomlałeś o

pomoc!

— Wcale nie byłem przywiązany — zamruczał Nowosz.

— Jesteś niewdzięcznym łotrem i żmiją. Kąsasz rękę, która cię odwiązała — wykrzyknąłem wzburzony i chciałem rzucić się na podłego wymoczka, ale zaraz mnie złapali i odciągnęli od niego.

Przez chwilę dyszałem ciężko usiłując zebrać myśli. A potem powiedziałem do Zyzia:

— To jest szczur. Nie powinieneś mu wierzyć. Zobacz, ma jeszcze otarcia i zadrapania, pamiątkę z tamtej przygody...

— Więc zaprzeczasz? — przerwał Zyzio.

— Zaprzeczam stanowczo.

— Twardy jesteś, ale ja nigdy nie uwierzę, że Adela mogła tak zwyczajnie zaprzyjaźnić się z tobą. Musiał być powód.

— Owszem, był powód. A może nawet dwa, trzy powody, ale ty uczepiłeś się głupio jednego, bo zaślepiiony jesteś i nie przyszło ci do głowy najprostsze wytłumaczenie...

— Ciekawym, niby jakie?

— Że Adela mogła zerwać z Cypkiem.

— Co?! — Gnat spojrzał na mnie zaskoczony. — Nie będziesz mi chyba wmawiał...

— Owszem. To jest fakt. Adela ma dosyć swojej paczki, tak jak ja mam dosyć was! Ona gwizdże już na Defonsiarnię i nie czuje do nas żadnej specjalnej antypatii.

— Chcesz mi wmówić, że Adela nagle nas polubiła — zaszydził Zyzio

— *i może przystąpi do naszej paczki?*

— *Nie, chcę ci tylko wbić do głowy, że Adela jest już dorosła i*

przestała się bawić w te rzeczy... Przystąpić, wystąpić, Rejtaniacy,

Defonsiacy, te dziecinne podziały... Posłuchaj, Gnat, najwyższa pora,

żebyś pojął, że czas płynie i że mija cię rzeka... Zostałeś na mieliźnie...

Jak długo będziesz sądził nas według swoich szczeniackich miar?

Powtarzam, Adela skończyła z paczkami. Ona jest ponad to!

— *Nie wierzę!*

— *Możesz się sam przekonać. Porozmawiaj z nią!*

— *Co?! — Zyzia zatkało na moment.*

— *Porozmawiaj jak człowiek z człowiekiem, a przekonasz się!*

— *Przyprowadziłbyś ją tutaj? — Zyzio oblizwał wargi.*

— *Przyprowadza się cielę, a Adela nie jest cielęciem. Mogę zaprosić,*

jeśli... jeśli stać cię na mały bankiet.

— *Przyszłaby?*

— *Jeśli ją bardzo poproszę.*

— *Zrobisz to? Możesz chyba jeszcze to zrobić dla mnie?*

Milczałem przez chwilę.

— *Mogę to zrobić, ale to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobię dla ciebie.*

Koniec z przyjaźnią! Nie licz na mnie więcej. I nie będę się więcej bawił z

tobą w tę głupią redakcję! W nic!

Zyzio oniemiał na chwilę, zaskoczony moim nagłym expose.

— *To znaczy... — wymamrotał wreszcie.*

— *To znaczy, że ułatwiłeś mi cholernie moją trudną decyzję. To*

znaczy, że mówimy sobie dzisiaj: cześć!

Zyzio chrząknął zmieszany.

— Zastanów się jeszcze.

— Już się zastanowiłem.

— Teraz ty jesteś dziecinny, Tomek. Proponuję nie podejmować

żadnej decyzji, aż wyjaśnimy wszystko z Adelą.

Milczałem.

— Puśćcie go — powiedział Zyzio.

Puścili mnie niechętnie. Kwadrans później byłem już w domu.

Rozdział XVII

STRASZNA PRZYGODA MATYLDY [\[top\]](#)

Myślałem, że po tej rozmowie z Gnackim poczuję się odprężony i

przysłowiowy ciężar spadnie mi z serca. W końcu postawiłem sprawę

jasno. Sami mi ułatwili. To fałszywe oskarżenie dopełniło miary mojej

goryczy i przeważyło szalę... A jednak nie byłem spokojny. Owszem, z

Zygmuntem Gnackim sprawa była załatwiona, ale nie z Matyldą! Niby

nie miałem żadnych zobowiązań w stosunku do Matyldy, a przecież

czułem się winny. Zbyt łatwo zapomniałem o niej. Czyżbym był aż takim

lekkoduchem? Wystarczyło, że Adela raz uśmiechnęła się do mnie i

Matylda Opat przestała się liczyć? Wymazałem z pamięci starą

przyjaźń... No, starą jak starą, ale w każdym razie bogatą w zdarzenia i

wzruszenia. Czy takie jest prawo życia? Czy to jest sprawiedliwe, czy

tak być musi? Fatalna historia!

Moje nagłe zainteresowanie się Adelą spowodowało, jako skutek

uboczny, niekorzystny rozwój wypadków. Gdybym nie umówił się wczoraj z Adelą, poszedłbym na to nadzwyczajne zebranie redakcji i wybilbym Gnatowi z głowy ten desperacki pomysł. Żeby tak wykorzystać nieszczęsną Matyldę? Wysłać ją w samo gniazdo os! Dlaczego się zgodziła niemądra! Zasepitem się. Wiedziałem dobrze, dlaczego. To nie z miłości do fotografii, ale... Co te dziewczyny widzą w Gnacie?! Naprawdę niepojęte stworzenia!

Mama zawołała do stołu. Pogrążony w myślach zjadłem znów bezkonfliktowo cały obiad, nie zważając, co jem.

— Tobie naprawdę od paru dni poprawił się apetyt — ucieszyła się moja biedna mama.

Uśmiechnąłem się blado i spojrzałem na zegarek. Dochodziła czwarta. O siódmej piętnaście muszę spotkać się z Adelą. Więc jeszcze dużo czasu... Gdybym natychmiast przystąpił do działania... Jeszcze jest szansa. Muszę działać, inaczej nie będę mógł spojrzeć już nigdy w lustro samemu sobie w oczy... Trzeba natychmiast pędzić do Defonsiarni. Może jeszcze zdążę odwieść Madzię od wykonania tego szalonego zadania!... Wstałem.

Niemal w tej samej chwili zadzwieczał telefon.

Podniosłem słuchawkę.

— Tomek? — zapytał jakiś głos.

— Tak, to ja.

— Złapaliśmy Opatównę — powiedział głos. — Przekroczyła granicę Defonsiarni i robiła zdjęcia... bez pozwolenia... To już drugi raz.

Pierwszy raz puściliśmy ją wolno, ale teraz sprawa jest poważna. To agresja... Zapłacicie za to. Ona i wy!

Serce stanęło mi na moment w piersiach... Więc za późno! Za długo się wahałem... Trzeba było pędzić do Defonsiarni zaraz, gdy tylko Gnat mnie wypuścił... A teraz już za późno. Teraz pozostają tylko pertraktacje.

— Czego milczysz? — pytał głos. — Zatkano cię?

— Kto mówi? — zapytałem nieswoim głosem.

— Defonsiak.

— Przedstaw się.

— Krogulec mówi.

— Nie poznałem.

— Mam watę w nosie. Ta wariatka uderzyła mnie w nos i puściła krew...

Chrząknąłem zakłopotany. Sytuacja wyglądała coraz gorzej. O ile znałem Krogulca, nie daruje tej krwi.

— Gdzie ona jest? — zapytałem.

— Zamknięta w dobrze strzeżonym miejscu, w Defonsiarni.

— Jeśli jej się cokolwiek stanie, popamiętasz mnie długo! —

krzyknąłem w bezsilnej pasji.

— Jak dotąd, jest cała i zdrowa — odparł Krogulec. — Aparat skonfiskowany, ale nie uszkodzony. Lecz wszystko może się zmienić, jeśli...

— Jakie są wasze warunki? — przerwałem.

— *O warunkach pomówimy z waszym szefem.*

— *Dzwonisz do mnie.*

— *Bo Zygmunta Gnackiego nie ma w domu. Ty mu tylko przekażesz, że dzwoniłem i że ma stawić się do godziny siedemnastej zero zero na podwórzu Defonsiarni, sam, i bez sztuczek... Teren będzie obserwowany.*

— *Lepiej jednak, żebyś podał najważniejsze warunki, to nam oszczędzi czasu. Może Gnacki będzie mógł niektóre spełnić od ręki.*

— *Dobrze — odparł Krogulec po chwili wahania. — Główne warunki są takie: I. Przeproszenie na piśmie. II. Podpisanie układu o wyrzeczeniu się siły i wszelkich działań wrogich...*

— *Wzajemne? — przerwałem.*

Nastąpiły dwie sekundy ciszy.

— *Tak — rozległ się wreszcie głos Krogulca — ale wy będziecie przepraszać i weźmiecie winę na siebie za to, co się dotychczas działo między nami.*

— *Rozumiem, możesz mówić dalej.*

Krogulec odchrząknął:

— *No więc punkty następne: III. Pudełko papieru fotograficznego do odbitek formatu A5, wiemy, że macie taki papier... IV. Klasery filatelistyczne Gnackiego, te, które pokazywał na wystawie...*

— *Wciąż jeszcze bawicie się filatelistyką?! — próbowałem się zaśmiać szyderczo, ale Krogulec zbył milczeniem tę uwagę.*

— *Następny punkt: V. W ramach reparacji, za usunięcie ostatniej*

gazety ściennej, a dokładnie: trzeciego egzemplarza zawieszzonego na parkanie przed szkołą, żądamy pięć arkuszy brystolu kreślarskiego, a nadto, jako zadośćuczynienie moralne, dodatkowe, żądamy: VI.

Przekazania naszej redakcji tajemnicy MP, w zalakowanej kopercie...

— Tajemnicy MP? — powtórzyłem zaskoczony. — O co właściwie wam chodzi?

— Nie udawaj, że nie wiesz... W każdym razie szef wie dobrze. To wyjaśnienie pewnych... pewnych tajnych spraw związanych z waszym woźnym Macochem i nauczycielem Pelmanem. Wiemy, że wasz szef trzyma ten dokument u siebie w zalakowanej kopercie. To wszystko. Nie masz ani chwili czasu do stracenia. Czekamy tylko do godziny siedemnastej zero zero. Po tym terminie nie chciałbym być w skórze Matyldy.

— Co jej zrobicie? — zapytałem, ale w odpowiedzi usłyszałem tylko okrutny śmiech Krogulca. Odłożył z brzękiem słuchawkę.

Natychmiast pobiegłem do Gnata. Wiedziałem, że jest w budzie, w pokoju redakcyjnym za biblioteką, i czeka na Matyldę. Istotnie, czekał zabijając czas wymyślaniem fraszek na Defonsiaków i obmyślaniem dowcipnych podpisów pod nie istniejące jeszcze zdjęcia. Nie powiedziałem mu od razu, z czym przychodzę. Pozwoliłem, żeby najpierw odczytał te głupie fraszki i pochyliłem się nad podpisami.

Dopiero potem powiedziałem mu:

— Możesz sobie z tych papierków zrobić frędzle i zawiesić na uchu, a fraszki wygłosić na pogrzebie... Wystarczą małe zmiany w

nazwiskach... i zamiast Grubego Cypka wstaw siebie!

— Głupi żart! O jakim pogrzebie mówisz?

— Naszej własnej gazety. Nie będzie nowego numeru! Nie będzie zdjęć. Będzie za to skandal. Tym razem Oberon ci nie daruje.

— Co się stało? Czy coś z Matyldą?! — Gnacki zbladł.

— Jest w rękach Defonsiaków. Dzwonił do mnie Krogulec. Masz do nich przyjść, natychmiast. Przedstawili twarde warunki.

Wyjaśniłem mu krótko wszystkie punkty. Zachował się nad podziw spokojnie. Gnat zawsze, gdy sytuacja staje się naprawdę poważna, zachowuje się bardzo spokojnie. Wtedy od razu bierze górę jego druga natura — lisia. Zdumiewająca rzecz, ile różnych natur kryje się w Zyziu.

Ale chyba właśnie dlatego nie można go lubić naprawdę. Co innego podziwiać. Ale lubić? Nie. Nie, ja w każdym razie...

Obserwowałem go w milczeniu, jak pogwizdując zwijał parę arkuszy brystolu w rulon i okręcał go sznurkiem.

— Nic więcej nie dostanę... — powiedział.

— Co ty właściwie kombinujesz?... Myślisz, że ci się uda wykpić jakoś...

— Nie jakoś, ale grą — sprostował. — Czy mówili, w jakim stanie jest mój aparat?

— Podobno nie uszkodzony, ale skonfiskowany.

— A zatem wyjdziemy bez strat... — zamruczał Zyzio. — No, to na razie, cześć — ruszył do wyjścia.

— Idę z tobą! — powiedziałem podniecony.

— *Nie. To by popsuło wszystko. Mam dla ciebie inne zadanie. Czekaj przy telefonie.*

— *Zadzwonisz?*

— *Tak. Wracaj do domu i czekaj cierpliwie przy telefonie i nie próbuj nic na własną rękę. Oni chcą rozmawiać tylko ze mną.*

Nie pozostawało mi nic innego, jak wrócić do chaty i czekać. Nie czekałem zresztą długo. Już po paru minutach zadzwonił telefon.

Słuchawkę podniosła mama.

— *Tak — powiedziała. — O Boże! Co? Trumna?! Zakład*

Pogrzebowy?! Tu nikt nie umarł... Ach, przepraszam... Tomek? To

dobrze, bo myślałam... Zaraz go poproszę. — Mama spojrzała na mnie

podejrzliwie. — Telefon do ciebie. Też mają zwyczaje! Żeby tak straszyć!

— *Czy... czy to pani Opatowa? — zastygłem z wrażenia.*

— *Tak, zaraz cię z nią połączą. Chce z tobą mówić. Co ty tam znowu zbroiłeś?*

— *Ja?*

— *Masz, tłumacz się — mama wręczyła mi słuchawkę.*

— *Tu Opatowa — usłyszałem energiczny głos matki Matyldy. — Czy mówię z Tomkiem?*

— *Tak, proszę pani.*

— *Niech ona natychmiast przyjdzie — rzekła ostro pani Opatowa. —*

Tak dalej być nie może! Nie dam dłużej demoralizować dziecka! Nie

życzę sobie, żebyście się spotykali... Madzia była świeża i nie zepsuta, a ty psujesz ją.

— *To chyba nie ja. Przepraszam, ale do kogo ta mowa?*

— *Do Tomka Okista, Czy ty jesteś Tomek?*

— *Jestem, ale nie rozumiem...*

— *Zrzucić maskę — usłyszałem groźny głos.*

— *Ja... ja nie mam maski, proszę pani!*

— *Zaraz... ty jesteś ten, który ma kanciastą głowę, Madzia mi pokazywała... Kanciastą głowę i wielkie długie usta, taki półatleta.*

— *Mam opływową głowę i małe usta. A wzrostu, jak do tej pory, tylko metr sześćdziesiąt jeden...*

— *To chyba nie ty. Ty jesteś jasny i pewny siebie?*

— *Jestem ciemny i nieśmiały, proszę pani.*

— *Nie. To nie twoje zdjęcia są tutaj.*

— *Zdjęcia?*

— *Narozwieszała pełno zdjęć jakiegoś chłopaka. Może wiesz, kto to?*

— *To pewnie Gnat, proszę pani.*

— *Co za okropne nazwisko. Łobuz jakiś?*

— *Nie, to kolega... bardzo porządny...*

— *Ale zawraca jej w głowie.*

— *Nie, to nie on. On ją tylko wykorzystuje...*

— *Co ty mówisz, moje dziecko?*

— *Wykorzystuje do pracy fotoreporterskiej.*

— *W takim razie to ty... to ty jesteś tym nieszczęściem.*

— *Nieszczęściem?! Jak to!*

— *Wyciągasz Madzie z domu i włączycie się godzinami bez sensu.*

— *Czy ona to tak przedstawia?*

— *Ona? To trusia! Nie piśnie ani słowa. Zastraszyleś ją! Ale ja mam na szczęście oczy i uszy. Koniec z tym. Madzia musi się uczyć.*

— *Ale ona uczy się... i naprawdę nie robi nic złego. Po prostu pracuje w komitecie.*

— *W jakim komitecie?*

— *Redakcyjnym.*

— *Ja nie mam jeszcze sklerozy, synku, co ty mi takie rzeczy...*

— *Niewątpliwie, proszę pani, ale Madzia naprawdę poszła robić zdjęcia do szkolnej gazety.*

— *Nie jestem medium, żebyś mi wmawiał rzeczy absurdalne.*

Madzia nie mogła pójść robić zdjęcia, bo widzę jej aparat na półce.

— *To jest zepsuty aparat — odparłem. — Poszła z aparatem*

Zygmunta Gnackiego.

— *Gdyby tak naprawdę było, to już dawno wróciłaby. Madzia jest punktualna.*

— *Niech się pani nie denerwuje — rzekłem łamiącym się głosem —*

Madzia na pewno wróci.

— *Jak mam się nie denerwować, kiedy o trzeciej miała pójść na lekcję angielskiego i nie poszła, a o szóstej mamy zamówioną wizytę w poradni zdrowia psychicznego...*

— *Ale po co? — nie mogłem się powstrzymać od uwagi. — Madzia jest absolutnie zdrowa psychicznie, proszę pani.*

— *Niestety, bardzo w to wątpię. Ostatnio stała się skryta. Musi się*

pozbyć skrytości — oświadczyła pani Opatowa. — Jestem pewna, że teraz też się kryje...

— Pani się myli... Gdzie miałyby się kryć i po co?

— Oczywiście u ciebie, zagadałeś ją, zawróciłeś jej głowę, a teraz biedne dziecko się boi, że jej narobię wymówek i się kryje... Powiedz, że nic jej nie zrobię, niech tylko się przyzna, że tam jest... Madziu, dziecko moje, odezwij się! Powiedz jej, żeby podeszła...

— Czy pani myśli, że ja schowałem Madzie do szafy?

— Tak myślę...

— Ależ...

— Cicho, słyszę szmer koło ciebie, to ona!

— Nie, to nasza kotka Hermenegilda.

— Robicie sobie z biednej matki balona. Przecież wyraźnie słyszę chichot...

— To chichocze De Funes, proszę pani. W telewizorze, proszę pani.

— Więc gdzie jest Madzia... moja Madzia? — w głosie pani Opatowej zadźwięczał tak przejmujący niepokój, że aż sam zadrżałem. Najchętniej powiedziałbym, co się naprawdę stało, i razem z nią martwiłbym się głośno, ale nie mogłem tego uczynić. Ona jednak wyczuła moje wahanie i jej podejrzenia wróciły z nową siłą.

— Wiem, że nie mówisz mi prawdy. Cały świat jest pełen skrytości.

Wszyscy coś ukrywają przede mną. Ale ja nie oddam wam mojego dziecka, będę walczyć o Madzię...

— Ależ zapewniam panią...

— *Milcz! Za wiele sobie pozwalacie. Mieliliśmy teraz za dużo pogrzebów i Madzia wylała się spod kontroli... Lecz kiedy mój mąż załatwi tych nieboszczyków, to weźmie się wreszcie za was i rozprawi się z wami. Strzeż się, nicponiu!* — zakończyła wibrującym od wzburzenia głosem i odłożyła słuchawkę.

Rozstroił mnie zupełnie ten telefon. Dziwna kobieta. Nie wiedziałem, że ona to wszystko tak odczuwa... Niewątpliwie stoi na progu załamania... na samej krawędzi... za tą krawędzią już tylko czarna przepaść. Zapewne przesadza, jest wyraźnie przewrażliwiona, a jednak...

Zapatrzyłem się w niespokojne drzewa za oknami. Też biedne. Choć niedawno okryły się świeżymi liśćmi, to już szarpie je wiatr...

Drgnąłem nagle, bo telefon zadzwieczał powtórnie. Dzwonił Zyzio.

— *Idź po klasery do mojej chaty* — powiedział.

— *Jednak nie udało się?* — zauważyłem ponuro.

— *Nie mamy wyjścia.*

— *Lecę* — powiedziałem.

— *Zaraz... jeszcze jedno. W dolnej szufladzie mojej szafy znajdziesz po prawej stronie niebieską, dużą, zalakowaną kopertę z napisem: MP.*

Przynieś ją koniecznie razem z klaserami. To bardzo ważne.

Zaniemówiłem na moment.

— *Więc masz tę kopertę?!*

— *Potem ci wszystko wyjaśnię. A teraz zrób, co mówię!* — Gnat odłożył słuchawkę.

Natychmiast pobiegłem do domu Gnackich. Matka Zyzia znalazła mnie dobrze i wiedziała, że jestem sekretarzem redakcji. Wystarczyło powiedzieć: „Ja po materiały do gazety”, a wpuszczała mnie do pokoju, nawet gdy Zyzia nie było.

Teraz też wpuściła mnie bez zbędnych ceregieli. Zabrałem się do szukania klaserów. Niestety, nie było ich w szufladzie w szafie, ani w biurku, ani w ogóle w innych miejscach, gdzie je kiedyś widziałem. Bardzo dziwna historia. Zrezygnowałem więc na razie z klaserów i zacząłem szukać „zalakowanej koperty z tajemnicą MP”. Nie miałem żadnych trudności. Gnat dokładnie określił miejsce. Rzeczywiście, w prawej szufladzie szafy znalazłem dużą niebieską kopertę. Rzecz w tym, że nie była zalakowana, lecz otwarta i znajdowały się w niej wycięte z gazet tabele różnych wyników sportowych. Innej koperty nie było...

Stałem zdumiony tym niespodziewanym faktem, gdy nagle otworzyły się drzwi i na progu pokoju pojawił się zadyszany Zyzio z aparatem fotograficznym przewieszonym przez ramię.

Ostupałem. A on roześmiał się swobodnie, rzucił aparat na kanapę, a sam z ulgą opadł na fotel.

— Nie musisz się już trudzić — powiedział. — Widzę, że szukałeś zdrowo i narobiłeś sporo nieporządku.

— Gdzie Madzia...

— Spokojna głowa — otarł spocone czoło. — Przynieś mi coś do picia.

Przyniosłem mu z kuchni wody z sokiem. Wypił duszkiem. Potem

wyjął aparat z futerału, obejrzał go dokładnie, przetarł rękawem.

— W porządku. Nic mu się nie stało.

— Oddali ci?

Roześmiał się rozbawiony.

— Nawet nie prosiłem ich o to. Sam wziąłem.

— Wziąłeś? Jak to?!

Zwyczajnie. Zabrałem, co moje, i w nogi. Wyprowadziłem ich w pole... Ten telefon do ciebie to było genialne posunięcie. Uwierzyli, że sprawa załatwiona, że za chwilę przyniesiesz mi klasery i tajemnicę w kopercie — znów wybuchnął śmiechem. — Uwierzyli bez pudła! I nawet poczęstowali mnie colą! Stracili zupełnie czujność. Udałem, że chcę obejrzieć aparat, czy nie jest uszkodzony. Pozwolili... A ja aparat w łapę, stół im wywalilem z flaszkami pod nogi, zanim się pozbierali, już byłem dwadzieścia metrów do przodu. Gonili mnie. Nawet Gruby Cypek. Ale nie mieli szans. Sam humor, bracie. Ja mam 10,5 sekundy na setkę.

— Ostatnio mówiłeś, że 11,5...

— Przesłyszałeś się, radzę ci podłubać w uchu... A nawet jeśli nie miałem dokładnie 10,5 sekundy, to w tym biegu wyrównałem rekord.

— No dobrze, ale przecież prowadziłeś pertraktacje i zawarłeś wstępne umowy...

— Och, szantażowali mnie, wymuszali... Te umowy są nieważne.

— No, nie wiem...

— Nieważne w świetle prawa. Zapytaj się adwokata!

Straszne podejrzenie przyszło mi nagle do głowy.

— *A Madzia?! — zapytałem bez tchu.*

Zyzio wzruszył ramionami.

— *Madzia została.*

— *Zostawiłeś Madzie w ich rękach?! — spojrzałem na Gnata osłupiały.*

— *Nic jej się przecież nie stanie — bąknął. — Co w końcu mogą jej zrobić? I tak ją muszą wypuścić.*

— *Będą ją męczyć, mścić się na niej, zostawią na noc, tam są szczury... Ona oszaleje z samego strachu... będzie zamknięta, a jej matka... Ty wiesz, w jakim stanie nerwów jest jej matka? Patologia zupełna, człowieku!*

— *To jej wina, że dała się złapać. Mówiłem, żeby nie angażować dziewczyn, bo z dziewczynami kłopot, ale ty nalegałeś. Gdybym ja był na jej miejscu... chyba rozumiesz sam... cios w szczękę, poprawiam w żołądek, a potem sprint, i już mnie nie ma!*

— *Ale to nie jest z naszej strony w porządku...*

— *Zupełnie w porządku. Jest coś takiego, co się nazywa ryzyko zawodowe. Wiedziała, na co się naraża. Wpadła. Trudno. Zresztą, nie była nawet członkiem redakcji... i do licha, co ona właściwie cię obchodzi. Przecież, jak zostało niedawno ustalone, interesujesz się raczej Adelą...*

— *Pracowała dla nas! To podłość zostawić ją na pastwę losu. Wiesz, ja myślę, że tobie naprawdę chodziło tylko o ten aparat...*

— *Zamknij lepiej swoją gębę, bo cię strzelę!*

— *Przecież jakieś zasady obowiązują...*

— *Jesteś dobry chłopak, Tomciu, ale trochę przewrażliwiony... i, nie gniewaj się, staroświecki. Teraz są inne czasy i normy.*

— *Nie popisuj się nowoczesnością — powiedziałem szyderczo. — W dawnych czasach też zdradzano przyjaciół, to nie jest wymysł naszych czasów i ty nie jesteś tu pionierem...*

— *Licz się trochę ze słowami... i nie wmawiaj mi jakiejś zdrady...*

— *Wolisz, żebym to nazwał tchórzostwem czy tylko obojętnością?*

— *Wolę, żebyś zajrzał, czy cię nie ma po drugiej stronie drzwi. Nudzi mnie ta rozmowa! Po co wywlekać wielkie słowa, zamiast rzecz nazwać po imieniu... Tobie przecież nie chodzi o jakieś tam szlachetności... po prostu robisz tyle szumu, bo Madzia jest dziewczyną... Ty myślisz, że dziewczynom należą się jakieś szczególne względy i pomoc... A to są właśnie przeżytki dawnego myślenia. Albo jest równouprawnienie, albo nie... Zastanów się.*

Umilkłem, bo poczułem się na niepewnym gruncie. Być może dlatego tak mnie oburzył czyn Gnata, że Madzia była dziewczyną, ale czy nie miałem racji?! W głębi ducha byłem nawet przekonany, że dziewczynom należą się jakieś względy, ale nie śmiałem powiedzieć tego głośno i powiedziałem tylko:

— *To nie ma znaczenia, kim jest Madzia. Po prostu jest jednym z nas! Ktoś z naszego zespołu dostał się w tarapaty i należy mu pomóc.*

Nie uznajesz obowiązku pomocy?

Zyzio skrzywił się.

— *Przyparłeś mnie do muru, więc ci powiem, w czym leży sedno*

rzeczy. Otóż w tym, że ja nie mogę jej pomóc.

— *Jak to?*

— *Nie dam przecież tych klaserów. Są zbyt cenne. Przynależą ojcu,*

że ich nie przehandluję... Gdyby się ojciec dowiedział...

— *Ale ta zalakowana koperta...*

— *Tego warunku też nie mogę spełnić, chociaż chciałbym, słowo*

daję — Zyzio uśmiechnął się krzywo.

— *Nie chcesz.*

— *Nie mogę!*

— *Czyżby? A to dlaczego?*

— *Z nader prostej przyczyny. Nie ma takiej koperty.*

— *Lecz w takim razie...*

— *To był bluff. Puściłem umyślnie tę plotkę, żeby mieć atuty do*

przetargu... No i jak widzisz, pomogło...

— *Ale nie Madzi, ty oszuście — zgasilem go.*

— *Powiedziałem, że jej nie można pomóc.*

— *Owszem, mam pewien pomysł — wycedziłem.*

— *Jaki?*

— *Tobie na pewno nie powiem — odwróciłem się i wybiegłem z*

mieszkania Zyzia.

Na ulicy spojrzałem nerwowo na zegarek i stwierdziłem z

przerażeniem, że jest już po siódmej. A ja przecież umówiłem się z Adelą!

Z budki na rogu spróbowałem zadzwonić do niej i przeprosić gorąco, że

nie będę mógł przyjść na spotkanie z powodu nagłej przeszkody, ale nikt nie podnosił słuchawki. Czyżby już wyszła? Nadzwyczaj przykra sytuacja... Lecz nie wahałem się ani chwili. Zamiast do parku pognąłem prosto do Defonsiarni.

Rozdział XVIII

W MAKULLI, CZYLI W JASKINI LWA [\[top\]](#)

Była za kwadrans ósma.

Zegar na ratuszu wybił właśnie trzy razy, gdy znalazłem się, zadyszany, pod Defonsiarnią. Szkoła K.I. Gałczyńskiego tonęła w wieczornym mroku. Ani jedno światło nie paliło się w budynku głównym. Ale nie traciłem nadziei... Kwatera Defonsiaków mieściła się bowiem w pawilonie, niewidzialnym od strony ulicy, ukrytym za gęstwiną drzew ogrodu szkolnego.

Miałem właśnie wejść w bramę, gdy ktoś poświecił mi znienacka latarką w oczy. Od razu pomyślałem o Defonsiakach. To już mogły być ich straże. Cofnąłem się odruchowo. Światło zgasło po sekundzie. Byłem przygotowany, że teraz posypią się ciosy, ale zamiast tego usłyszałem tupot oddalających się szybko kroków. Obejrzałem się gwałtownie.

Jakiś wyrostek przebiegał ulicę. Zastygłem z wrażenia. Typ wydał mi się znajomy. Gdy był już na przeciwległym chodniku, obejrzał się i wtedy w świetle rtęciowej latarni ujrzałem dobrze jego twarz. Moje osłupienie wzrosło jeszcze bardziej. Do diabła, to był Kękuś! Maciek Kwękacz we własnej osobie!

— Maciek! — zawołałem, ale on odwrócił się szybko i puścił biegiem

wzdłuż ulicy.

Patrzyłem za nim, aż zniknął za rogiem ulicy. Tak, nie mogłem się mylić, to był Kwękacz! Ale jaki odmieniony. To z powodu tej wygolonej do skóry czaszki. Zgolił głowę — pomyślałem — to zły znak. Kwękacz miał taki dziki zwyczaj: gdy był wściekły, golił łeb jak Yull Brynner. Czy Kwękacz był wściekły na nas? To fakt, że od czasu pamiętnych wydarzeń na stadionie trzymał się od nas z daleka. Zgolił głowę na złość i przeciw światu, to było jego wyzwanie. Zgolił głowę, bo postanowił się mścić. Jaką zemstę mógł wymyślić podobny typ jak Kwękacz? I nagle, kiedy tak myślałem o tej jego ogolonej głowie, straszne podejrzenie przyszło mi do głowy... Czy to nie on szpiegował nas wtedy w ogrodzie szpitalnym? Taki człowiek z gładko wygoloną głową wygląda przecież z daleka jak łysy...

Ale do licha z Kwękaczem! Mam teraz ważniejsze sprawy. Trzeba przekroczyć bramę Defonsiarni. Rozejrzałem się ponownie dookoła. Nie było żywej duszy. Nacisnąłem klamkę żelaznych drzwi, zaskrzypiały nieprzyjemnie i ustąpiły powoli. Ostrożnie zajrzałem przez szparę. Na placu przed szkołą też nie było nikogo. Teraz rzuciłem się biegiem aż do pierwszych drzew ogrodu i zagłębiłem się w gąszcz krzaczastych magnolii. Przez gałęzie zamigotało światło. Odetchnąłem. To światło w oknie pawilonu. A więc zastanę jeszcze Defonsiaków w ich kwaterze, a może nawet samego Grubego Cypka.

Pawilon

ogrodniczy

stanowił

centrum

życia

społecznego

Defonsiaków. Tu mieściły się ich kluby i kółka zainteresowań. Tu, w

piwnicy, znajdowała się znana pieczarkarnia, nad którą pieczę

sprawowało Samodzielne Koło Fungologiczne, w którym rej wodził

właśnie Cypek. Chodziły słuchy, że ponure to pomieszczenie służy

Defonsiakom za miejsce tajnych zebrań, a także za więzienie, gdzie

trzymają schwytanych przeciwników. Czyżby tam właśnie trzymali

teraz Matyldę? Dreszcz mnie przeszedł. Wprawdzie Cypek zaprzeczał

kategorycznie, aby prócz pieczarek dręczył tam kogokolwiek oraz

podkreślał, że wszystkie zebrania odbywał na parterze pawilonu, w

największym pomieszczeniu przeznaczonym na skład makulatury, czyli

jak to nazywali w swym żargonie Defonsiacy — w Makulli, ale kto

wierzył Cypkowi?

Przyspieszyłem kroku. Zarośla się skończyły, teraz należało

pokonać

dwadzieścia

metrów

żwirowej

alejki,

a

potem...

Zastanawiałem się właśnie, czy wkroczyć otwarcie do Makulli, czy też próbować jakiegoś fortelu, gdy nagle otoczyło mnie kilkanaście postaci, każda z latarką wycelowaną na mnie.

— Ręce do góry!

Podniosłem.

— Co jest grane? — zapytałem. — Coś z gier kolonijnych? Zabawa w wojsko, złodzieje i policjanci, Dziki Zachód czy Liban?

— Muszę cię rozczarować, Okist — odpowiedział atletycznie zbudowany Defonsiak, którego przezywano Gorylem — to nie jest gra, to jest rzeczywistość.

— Cholernie jasna w takim razie — zamrugałem oczami. —

Zdejmijcie ze mnie to światło, bo mi piegi powychodzą.

— Nie sil się na dowcip — powiedział Goryl. — Brać go! Zobaczymy, czy będzie dowcipny, gdy stanie przed Cypallą.

Natychmiast chwycili mnie pod ramiona i zaciągnęli do Makulli.

Na stosie paczek makulatury, jak na wysokim podium, siedział

Gruby Cypek i żuł.

— Światło na niego! — rzucił nie przerywając żucia.

— Lepiej oświećcie Grubego — powiedziałem szyderczo. — Może mu coś się w końcu rozjaśni w ciemnym łbie.

Natychmiast rzucili się na mnie. Ale ja byłem już przygotowany. Z miejsca nadziali się na mocną kontrę. Jeden po drugim, od razu dwu padło w papiery. Ale nowi rzucili się na mnie!

Walczyliśmy

zajadle

wśród

tumanów

dławiącego

kurzu,

wzlatujących w górę papierzysk i oszalałych ze strachu moli, aż

zakrztusiłem się potężnie, chyba z tych przeklętych moli, i rąbnąłem z

hukiem o podłogę... Był to wielki upadek, niemal na miarę Samsona,

gdyż pogrążył także moich nieprzyjaciół. Oto bowiem padając

zawadziłem o ów stos makulatury, na którym siedział Obrzydliwy

Cypało, i mogłem na pocieszenie oglądać również upadek tego

obrzydliwca. Widziałem, jak zachwiała się papierowa sterta, jak

wybrzuszyła się niebezpiecznie i zaczęła walić pomatu... Widziałem

twarz Cypka, nagle ogłupiałą, gdzieś w górze, a potem jego nogi —

behradne balaski zawieszona w powietrzu. Wszystko to dane mi było

widzieć jak w zwolnionym filmie i słyszeć nieludzki wrzask Cypka. I to

było wspaniałe. A ciąg dalszy i reszta nie były już takie wspaniałe;

leżałem powalony na podłodze, a na mnie siedziało dziesięciu chyba

Defonsiaków.

— Mamy go, szefie — oblizął wargi mały Ziemek, ten gorliwy smark

Ziemiński, podskakując na moich piersiach. — Już się uspokoił.

Gruby Cypek gramolił się pomatu spod papierzysk klnąc pod

nosem.

— Nie wierzcie mu — zasapał stając nade mną rozkraczony, w

pozycji pogromcy. — On jest podstępny i chytry, jak wszyscy od

Rejtana. Trzymajcie go aż do odwołania.

— Tak jest, szefie — Ziemek opadł boleśnie na mój brzuch.

Jęknąłem głucho.

— Zdejm ze mnie tego gimnastyka, błagam cię, bo znowu się rozjuszę. I wtedy zacznę bić naprawdę!

— Zejdź z niego — powiedział Cypało do Ziemka.

Smarkacz zszedł z widocznym żalem.

— I tamci wszyscy niech mnie puszcza... Porozmawiajmy kulturalnie — zaproponowałem.

Ale Gruby Cypek nie miał ochoty rozmawiać ze mną kulturalnie.

— Leż, jak ci kazałem — powiedział. — To jest odpowiednia pozycja do prowadzenia pertraktacji i teraz możemy je prowadzić. Sądzę, że wybiliśmy ci dostatecznie z głowy wszystkie brzydkie sztuczki i parszywe myśli.

— Nie mam zamiaru prowadzić w takiej pozycji pertraktacji — oświadczyłem.

— Widzę, że jesteś w złym humorze, Okist. Ale ja zaraz poprawię ci humor — uśmiechnął się złośliwie Cypek. — Przystawimy kolejność występów w tym cyrku — obrócił się do Defonsiaków przybocznych — wprowadźcie Zawodną Adełę.

— Adełę? — drgnąłem nerwowo. Opanowały mnie najgorsze przecucia. — Po co Adełę? — zapytałem niespokojnie.

Cypek ponownie uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony z mojej

reakcji.

— Adela ma ci coś do powiedzenia. Przypuszczam, że coś ważnego.

Czekała na ciebie bezskutecznie w parku szpitalnym, ale ty wolałeś tutaj... Była bardzo zdenerwowana. Podejrzewała chyba, że to ja przeszkodziłem w tym spotkaniu i że zrobiłem ci coś złego. Pomyślałem, że dobrze byłoby wyjaśnić sobie we troje wszystko, co mamy na pieńku... No więc gdy się zjawileś, zaraz posłałem po nią.

— Łobuzie, co ty knujesz? — zacharczałem.

— Zawiążcie mu usta — powiedział Cypek. — Widzę, że chce zakłócić moją rozmowę z Zawodną Adelą. Zawiążcie mu usta i zastońcie go firanką.

Przyboczni Defonsiacy natychmiast podwiązali mi szczękę, a następnie zarzucili na mnie starą zakurzoną firankę. Próbowałem jeszcze coś bełkotać i szarpać się, ale przy każdym poruszeniu kurz wlaził mi do dziurek w nosie, w ogóle brakowało mi powietrza, więc dałem spokój i leżałem jak mumia, ograniczając się do spoglądania jednym okiem przez dziurę, która szczęśliwie znalazła się naprzeciw mego oka.

Zauważyłem, że Gruby Cypek otrzepuje i obciąga spiesznie swoje dzinsy i workowaty sweter tudzież, a jeden z przybocznych czesze go z namaszczeniem mocując się z welniastym uwłosieniem i wyciągając zeń raz po raz grubsze śmieci, pajęczyny, plewy i wióry. Widać było, że Gruby Cypek miał bardzo aktywny dzień. Ledwie skończył tę toaletę, na progu stanęła Adela, z falującą piersią, zadyszana czy też po prostu

wzburzona. *Brwi ostro ściągnięte, oczy błyszczące. A ja pomyślałem, że w tym wzburzeniu, a może nawet gniewie, jest jeszcze piękniejsza niż zwykle. Tylko czy ten gniew to na mnie czy na Cypka... Zrobiło mi się trochę nijako, by nie powiedzieć — głupio. Czy potrafię jej wytłumaczyć, czy mi uwierzy, czy zrozumie, dlaczego nie przyszedłem na to umówione spotkanie?*

Adela rozejrzała się po izbie, ale nie zauważyła mnie.

— *Co to wszystko ma znaczyć? Po co mnie wyciągnąłeś z domu? — zapytała gniewnie. — Znowu te głupie zabawy?*

— *Mam dla ciebie wiadomość — powiedział Cypek. — Myślę, że cię zainteresuje.*

— *Jaką wiadomość?*

Cypek oglądał sobie paznokcie.

— *Wiem, dlaczego Okist nie przyszedł na to spotkanie...*

— *Spotkanie? — Adela poruszyła się niespokojnie. — Jakie spotkanie?*

— *Spotkanie z tobą!*

Adela zdążyła się już opanować.

— *Co ty bredzisz? Ja, z Tomkiem? — udała niezmierne zdziwienie.*

— *Dość tych zgryw! Czekalaś na niego w parku szpitalnym. W tym samym miejscu, co wczoraj... Zagrajmy w otwarte karty! Na nic się zdadzą wykręty! Znam każdy twój krok, każdą zdradę!*

— *Śledziłeś mnie?*

— *Śledziłeś mnie?*

— *Pilnowałem.*

— *Ty jesteś zupełnie niemożliwy!...*

— *Mam niezbite dowody! Umawiasz się z Okistem!*

Adela wzruszyła ramionami.

— *No, więc dobrze — odparła beztroskim tonem. — Umawiam się. I co z tego?*

— *To jest zdrada!*

Zaśmiała się.

— *Nie bądź śmieszny... Wytłumaczę ci wszystko, posłuchaj...*

Ale Gruby Cypek nie słuchał. Coraz bardziej podniecony mówił dalej:

— *Wszystko znośłem, twoje kłamstwa, absencje, wymigiwanie się od naszych prac, randki, kaprysy i zachcianki, a nawet niesmaczne flirty z Chrząszczem, ale teraz przebrała się już miarka! Sprzęgłaś się z Rejtanówką! Spiskujesz z tymi goryłami! Z kimś takim ohydny jak Okist... Naruszyłaś więź... Kiedy my zwieramy szeregi i zacieśniamy więź... ona rozluźnia i podgryza — zagrzmiął głosem nabrzmiałym goryczą i obrócił się do Defonsiaków, jakby szukając ich poparcia... Defonsiacy poruszyli się niespokojnie. Szmer oburzenia przeszedł przez całą Makullę. Oczy wszystkich, z wyrazem potępienia, spoczęły na Zawodnej Adeli. A Cypek, podbudowany tym poparciem, zagrzmiął z podwójną mocą w głosie:*

— *Czy mogę pozwolić na takie podgryzanie więzi?*

— *Nie!!! — rozległ się jednomyślny okrzyk Przybocznych Defonsiaków.*

— *A konszachty z Okistem, zaciekłym naszym wrogiem i prawą ręką*

Gnata, określę krótko. Koledzy: to się nazywa zdrada... — w zapale

świętym, uniesiony oburzeniem, Cypallo chciał mówić dalej i

przemawiałby jeszcze co najmniej pięć minut, ale na szczęście

zapomniał, że ma wciąż w ustach gumę do żucia, i zakrztusił się nią.

Zapanowało teraz małe zamieszanie, przyboczni zaczęli walić Grubego

Cypka w kark, żeby mu pomóc wykrztusić tę gumę, a Adela miała czas

ochłonąć po tym niespodziewanym ataku i przygotować odpowiedź.

Myślałem, że wygarnie teraz Obrzydliwemu Cypalle, co myśli o tej

zabawie w świętą wojnę, o defnosiackich frontach i więzieniach, bo

właśnie nadarzała się okazja, żeby to wszystko wygarnąć. I powie to

wszystko, co mi powiedziała w parku szpitalnym, o szczeniackim

charakterze tej zabawy, i wytoczy wszystkie argumenty, które wtedy

przede mną wytoczyła, i oświadczy, że już czas zostawić tę zabawę

młodszym klasom, ale, ku mojemu zdziwieniu, Adela nie powiedziała

nic z tych rzeczy. Zamiast tego wzruszyła zniecierpliwiona ramionami i

patrząc na Cypka, który nareszcie wykrztusił gumę i dysząc ciężko

położył się na makulaturze, powiedziała:

— *Jesteś Otello — wydeła pogardliwie usta. — Nie udawaj, że ci*

zależy na Defonsiarni. Po prostu jesteś zazdrosny Otello. Ale ty na

pewno nawet nie wiesz, co to znaczy.

Insynuacja ta była sporym kamieniem obrazy dla Cypka, który

uważał się za poetę i filar młodzieżowej kultury w naszym mieście.

Uniósł się ze swojego papierowego łóża i zachrypiał trzymając się za

nadwężone gardło:

— Nie pomogą ci zagrania z Szekspira, ty fałszywa Desdemono...

Uduszę sprawiedliwie — uzupełnił po chwili zboląłym głosem, dając dowód głębokiej znajomości literatury klasycznej.

Adela stropiła się nieco tą niewątpliwie przykrą perspektywą duszenia.

— Wulgarny jesteś — powiedziała z niesmakiem. — Chcesz być przywódcą, a nie kierujesz się mózgiem, tylko... ech, lepiej nie mówić, czym... Jeśli naprawdę zależy ci na Defonsiarni, to powinienes się cieszyć, że zaprzyjaźniłam się z Tomkiem Okistem!

Obłok kurzu i przestraszone mole na nowo wzbiły się w powietrze.

To Cypallo zatrząsł się na swoim papierowym łożu zbyt gwałtownie. Z oburzenia.

— Słyszeliście?! Ja mam się cieszyć! A to niby z czego?

— Że Tomek zerwie z Rejtanówką i z Gnatem, że się uwolni od tej okropnej paczki. Właśnie o tym mówiliśmy w ogrodzie szpitalnym.

Oświadczenie Adeli zrobiło pewne wrażenie na Defonsiakach.

Nawet Cypallo chrząknął zbity z tropu.

— Mówisz, że chciałaś zneutralizować Okista?

— Właśnie.

— I on był podatny?

— Bardzo... Pod pewnym względem nawet za bardzo — wyznała z pewnym zakłopotaniem Adela.

— Nie wierzę, żeby taki typ jak Okist był podatny — Cypallo spojrział

na mnie ze wstrętem. — I jeszcze jedno pytanie: dlaczego działałaś w tajemnicy?

— Żebyś wszystkiego nie popsuł...

— Te konszachty nastawiają mnie nieufnie...

— Konszachty? Kiepskie uszy mają więc twoi szpiedzy, a może za bardzo brudne. Każ im przetkać.

— To zbędne. Skoro możemy teraz porozmawiać z Okistem —

wycedził Cypek. — Mam dla ciebie miłą niespodziankę — uśmiechnął się złośliwie.

— Boję się twoich niespodzianek — powiedziała zaniepokojona Adela.

— Ta na pewno cię ucieszy! Kurtyna w górę, panowie — skinął na Defonsiaków. — Dokonajcie odstony!

Defonsiacy ochoczo ściągnęli ze mnie firankę i rozstąpili się na boki.

Przy mnie pozostało tylko dwu oprawców, niebezpieczny Krogulec i niejaki Melek. Przyciskali mnie do podłogi kolanami trzymając jednocześnie za ręce. Musiał to być widok równie niesamowity, jak przykry, bo Adela wydała okrzyk przerażenia:

— Kto to?

— Zapomniałem cię uprzedzić, mamy gościa — wycedził z udaną flegmą Cypek sięgając po torbę z daktylami. — Poczęstuj się!

— Nie, dziękuję... To jakiś kawał, chcesz mnie przestraszyć.

Zakneblowany człowiek?

— Przyjrzyj mu się dobrze.

— *O Boże, to przecież Tomek. W takim stanie?! — Adela zamarła na chwilę z wrażenia. — Nie rusza się! Co mu zrobiłeś, ty gorylu?! — obróciła się z oburzeniem do Cypały.*

— *Jest trochę w niewygodnej pozycji, to fakt, ale sam sobie winien, był niegrzeczny — rzekł Cypało wypluwając pestkę.*

— *Jak mogłeś?!... Wciąż te szczeniackie metody! — Adela podbiegła do mnie i uwolniła moją żuchwę z więzów. — Biedaku — pogłaskała mnie po głowie — więc dlatego nie przyszedłeś... a ja myślałam, że ordynarnie nawaliłeś, i byłam wściekła... Boże, jaka ja byłam wściekła na ciebie — otarła łzę z kącika oka. — Przebacz mi.*

Poczułem miód na sercu, jak mówi poeta, i uczucie błogości, które towarzyszy pomyślnie zakochanym. Ja niewątpliwie należałem do tego ekskluzywnego grona. Adela troszczy się o mnie, jest do głębi przejęta moim losem, a nade wszystko — ta łza w oku!... Co tu ukrywać! Do głębi się wzruszyłem i było mi niesamowicie głupio, że wczoraj podejrzewałem Adelę o nieszczerłość. Siedziałem więc na podłodze, niebezpiecznie rozklejony tudzież oszołomiony, i machinalnie robiłem sobie masaż szczęki dolnej.

— *Patrzcie, szczęka mu ścierpła! — zachichotał ten szczeniak Ziemek i wszyscy Defonsiacy zarechotali ubawieni.*

Adela spojrzała na mnie z troską.

— *On chyba jest wciąż nieprzytomny! Coście mu zrobili?! Wygląda zupełnie... zupełnie...*

— *Zupełnie niemądrze. Zgadza się — dokończył Cypek. — Ale nie z*

powodu szczęki. To w ogóle jest głupek.

*— Uważaj, ty... — usiłowałem się podnieść na chwiejnych nogach i
powiedzieć Cypkowi, co ja z kolei myślę o jego funkcjach umysłowych,
ale Przyboczni Defonsiacy posadzili mnie z powrotem. By
zaprotestować przeciwko tej przemocy, zacząłem przeraźliwie szeleścić
makulaturą, a gdy nie zrobiło to spodziewanego wrażenia na Cypku,
sięgnąłem po mocniejszy punkt repertuaru i począłem śpiewać
buntowniczą pieśń karmaniołę, gdzie uparcie przewijał się posępny
motyw Cypały:*

Cypało obleśny,

bój się naszej pieśni!

Dzień nadejdzie gniewu,

kiedy zamiast śpiewu

będzie się szczypało

twoje tłuste ciało,

ohydny Cypało!

Tym

razem

poskutkowało.

Pieśń

wywołała

nader

żywe

zainteresowanie, a następnie szczere rozbawienie u Adeli, natomiast u

Cypka — przyjemny atak furii.

— Zwiążcie mu z powrotem szczęki! — ryknął, a widząc, że

Defonsiacy zbyt opieszale rozglądają się za nową chustką, sam zaczął zbliżać się do mnie z wyrazem mordy na twarzy.

— Zostaw go! — Adela stanęła odważnie między nim a mną.

— Mam słuchać, jak bluzga?

— Nie traktuj tego poważnie!

— A jak mam traktować?! — krzyczał Cypek. — To są produkcje poniżej wszelkiego poziomu! Tandetne teksty! To obraża normalne ucho! To psuje smak artystyczny moich ludzi!

— Uspokój się — powiedziała Adela. — Nie każdy ma twój poetycki talent... i twoją muzykalność... Biedak śpiewa, jak umie...

— Śpiewa? Paradna jesteś! On strzyka jadem! Słyszysz przecież!

— Czego się mogłeś spodziewać! Napadłeś go, porwałś i jeszcze cię dziwi, że nie śpiewa jak kanarek?...

— Ja? — Cypek stuknął się w pierś. — Ja go napadłem?! Porwałem?!

Słyszeliście?! Oto sprawiedliwość kobieca! — Rozłożył bezradnie ręce. —

Sam już nie wiem, śmiać się czy płakać... Nie, jednak będę się śmiał — postanowił i ku zdumieniu zebranych zaśpiewał nagle:

Śmieję się, pajacu, z mej miłości zdradzonej...

A potem istotnie zaniósł się strasznym, operowym, acz niewątpliwie autentycznie gorzkim śmiechem pajaca z opery Leoncavalla.

— Co ty wyrabiasz?! Czy wyście wszyscy tutaj powariowali? —

Adela patrzyła to na Cypka, to na mnie, zupełnie zdezorientowana. —

Jurek, przestań! Czemu się śmiejesz tak głupio?...

— Bo to już się robi komiczne — odparł Cypek.

— Co?

— Jeszcze pytasz?! Twoja zasadnicza pomyłka.

— Pomyłka?

— Tak. Co do Tomka. Tym razem pomyliłaś się zasadniczo i fatalnie.

Współczuję ci serdecznie.

— Znowu zaczynasz... Nie chcę tego słuchać...

— Zaraz... chwileczkę! Czekalaś na niego? Umówiliście się?

— Tak.

— Nie przyszedł?

— Nie.

— Myślałaś, że go schwytałem i że przeszkodziłem mu... No więc posłuchaj. Nie schwytałem go, nie przeszkodziłem. Taka jest prawda.

— Nie wierzę.

— Powiedz jej — zwrócił się do mnie Cypek.

Przygryzłem wargi. Nagle opuścił mnie mój wisielczy humor.

— To prawda, nie porwali mnie...

— Więc dlaczego nie przyszedłeś na nasze spotkanie? — zmarszczyła brwi Adela.

— Otóż to! — podchwycił Cypek. — Dlaczego nie przyszedł? Rzecz nagle zaczyna się robić ciekawa. Odpowiedz jej — warknął do mnie.

Milczałem. Nagle zdjął mnie lęk, czy potrafię wyjaśnić Adeli...

— No, odpowiedz, nie wstydz się — szydził Cypek.

Obróciłem się do Adeli:

— Potem ci wytłumaczę... Nie tutaj...

— Dlaczego? — zdziwiła się Adela.

— Błagam cię... — szepnąłem.

— Nasz dzielny Tomcio ma, jak widzisz, pewne opory — wyjaśnił

Cypek. — I nie dziwię mu się — zarechotał. — No cóż, chyba wyręczymy wstydliwego Tomcia. Otóż nie przyszedł Tomcio na spotkanie z tobą, bo miał pewne ważniejsze sprawy... osobiste...

— Jakie sprawy? — Adela nieruchomo utkwiała we mnie wzrok.

Nie widziałem innego wyjścia. Postanowiłem opowiedzieć jej całą prawdę.

— Stało się coś okropnego, Adelo — zacząłem głuchym, jakby nieswoim głosem. — Oni schwytali Matyldę... Nie zdążyłem cię zawiadomić...

— Którą Matyldę? — zamrugła oczyma Adela.

— Matyldę Opat — uzupełnił Ziemek Ziemiński.

— To ta od pogrzebów? — zmarszczyła czoło Adela.

— Nie tylko od pogrzebów — westchnął dwuznacznie Cypallo. — To Wspaniała Matylda wielorakich talentów, między nimi szczególnie odczuwaliśmy, to znaczy szczególnie przykro, jej talent akrobatyczny, przechodzi bowiem przez ogrodzenia, oraz talent reporterski i fotograficzny, a dziś Wspaniała Matylda objawiła nam dodatkowo jeszcze jeden talent: szpiegowski...

— Przeniknęła! — zasapał podniecony Ziemek. — Z aparatem!

— *Z aparatem?*

— *Z aparatem fotograficznym...*

— *Przysłali ją... Okist i Gnat!*

— *Przysłałeś tu Matyldę? — zapytała Adela.*

— *Nie — odparłem.*

— *Kłamie! Podglądała nas!*

— *Robiła lewe zdjęcia!*

— *Dla bandy Rejtana.*

— *Złapaliśmy ją.*

— *Mamy ją tu, w piwnicy...*

Defonsiacy ochoczo, jeden przez drugiego, opowiedzieli całą historię uwięzienia Matyldy, niefortunnych pertraktacji z Gnatem i jego oszukańczego fortelu.

— *Powinnaś usprawiedliwić Tomka Okista — uśmiechnął się*

Cypało gębą pełną daktyli. — W końcu, koszula bliższa ciału. Koszula, czyli Matylda.

— *Ona jest jego dziewczyną! — pisał ten fafel Ziemek popisując się znajomością układów towarzyskich. — To on ją wkręcił do redakcji.*

Gnat nie chciał, ale on ją wkręcił na siłę.

— *Cicho, szczeniaku! — krzyknąłem.*

— *A co, może nie wiem? Widziałem was na kortach i w parku*

szpitalnym, i koło zakładu „Trumna”, i jak jechaliście z nią na

karawanie... Nie będziesz się zapierał, przyszedłeś tu po nią! Może nie?

No, powiedz?

Zapanowało ciężkie milczenie. Słysząc było ujadanie psów i bicie zegara na wieży. Wszyscy patrzyli na Adelę, a Adela patrzyła na mnie.

— Czy tak było? — zapytała wreszcie dziwnie bezdźwięcznym głosem.

— Oczywiście. Przybiegł po tę gaskę — wtrącił Cypało.

— Nie ciebie pytam. Niech Tomek odpowie.

— Tak było — wykrztusiłem — ale...

— Ja czekałam — przerwała Adela.

— Wiem, to okropne, ale nie mogłem... Zrozum. Musiałem ją... To... to była sytuacja wyjątkowa... Musiałem ją ratować!

— To ładnie z twojej strony — rzekła Adela znów tym bezdźwięcznym tonem. Nie podobał mi się ten ton.

— Chyba nie wierzysz w to, co mówi ten intrygant — wyjąkałem. — Matylda nie jest... To znaczy już nie jest... To znaczy odkąd ty... — zaplątałem się głupio. — Ale nie mogłem jej zostawić... Nikogo nie mógłbym zostawić, tym bardziej że ona... to przecież moja...

— Przyjaciółka — podpowiedziała zimno Adela.

— Koleżanka — sprostowałem.

— Ależ Adelo, nie ma o czym mówić — zaśmiał się Gruby Cypek. — Tomcio po prostu jest bardzo koleżeński. On uwielbia ratować!

— Zwłaszcza koleżanki — dodał szyderczo Krogulec. — Tomcio jest przecież harcerzem.

— Nie słuchaj ich... Oni tak umyślnie... — mówiłem gorączkowo. — Ale ty chyba mi wierzysz... Są takie powinności, obowiązki, że trzeba

odłożyć wszystko... Gdybyś ty się znalazła w takiej opresji, to ja...

— Oczywiście, też byś mnie ratował — przerwała ironicznie Adela. —

Wszystkie dziewczęta traktujesz równo. Jesteś na tym etapie smarkatej, koleżeńskiej równości — mówiła coraz bardziej podniesionym głosem, z trudem panując nad sobą. — No więc posłuchaj mnie, ty smarkaczu — wybuchnęła — i zapamiętaj sobie! Ja nie chcę być traktowana równo jak one wszystkie! Jak ta cała twoja banda! Zapomniałeś, jak się umówiliśmy?

— Nie zapomniałem...

— Wiesz, co miałeś zrobić?

— Miałem ci dać odpowiedź...

— Miałeś wybrać! Tak czy nie?

— Tak, ale właśnie...

— Dość! Nie trudź się...

— Ależ...

— Już nic nie potrzebujesz mówić! — ucięła Adela. — Wszystko jasne! Wiem, co wybrałeś, a raczej: kogo...

— Adelo, zrozum mnie...

— Och „zrozum mnie i zrozum mnie” — zniecierpliwiała się. — Nudny z tym jesteś. Czy uważasz mnie za kretynkę? Bądź spokojny. Rozumiem cię doskonale. Nie potrafisz z nimi zerwać! Z nikim z twojej paki. Nie dorosteś jeszcze do pewnych rzeczy. Po prostu jesteś szczeniak...

— No, nareszcie trafiłaś w sedno — odetchnął Gruby Cypek. —

Zdumiewające, jak mogłaś kompromitować się z takim szczeniakiem —

ziewnął ostentacyjnie dając w ten sposób wyraz swojego głębokiego lekceważenia całej sprawy.

— Wydawał mi się dość poważny. Skąd mogłam wiedzieć. Czytałam jego felieton o dziewczętach. Nawet mi się podobało...

— Odpisał pewnie z Siesickiej — Cypek żuł flegmatycznie daktyla. — On tyle wie o miłości, co wyczyta z książek.

Defonsiacy zarechotali grubym śmiechem.

Próbowałem się podnieść, zaprotestować ostro i oświadczyć, że moja twórczość jest całkowicie oryginalna i oparta na własnych przeżyciach, ale Przyboczni natychmiast przydusili mnie do podłogi, a ten łobuz, Krogulec, wpakował mi spiesznie do ust wielki knebel ze zmiętego papieru... Nie był to zresztą zbyt szczęśliwy (dla Defonsiaków) pomysł. Bo ja nie zamierzałem wcale skapitulować. Gdy tylko moi oprawcy zajęli się rozmową z Adelą, począłem z poświęceniem żuć ten knebel. Trudność polegała na tym, że był on sporządzony z nader twardego papieru, a mianowicie ze starych „Problemów”, i to głównie z okładki. Żułem jednak te „Problemy” cierpliwie, miarowym ruchem żuchwy, aż zmiękły i zamieniły się w papkę. Teraz należało tylko sprawnie wypluć. To też stanowiło problem, ponieważ trzymali mnie położonego na wznak, a ja czułem, że od tego żucia straciłem w ustach siłę. Zaryzykowałem jednak w końcu, wykorzystując wszystkie rezerwy mocy, i udało się nadspodziewanie. Knebel wyskoczył mi z ust jak rakietą, rozprysł się pod sufitem i opadł prosto na twarz zagapionego w Adelę Krogulca. Defonsiak krzyknął jak oparzony, puścił mnie i zaczął

ścierać z siebie zagadkową papkę. Natychmiast skorzystałem z tej pomysłnej okazji, uwolnioną ręką zaaplikowałem cios w szczękę drugiemu Przybocznemu i wyrwałem się łatwo.

W sekundę później byłem już na prawej stercie makulatury.

Wspiąłem się po paczkach jak po schodach; dwie ostatnie zepchnąłem na głowy goniącym mnie Defonsiakom; spadli na dół z nieludzkim wrzaskiem, a ja zająłem pozycję pod staroświecką lampą na łańcuchu, tam gdzie był zaciek na suficie i wszystkie papierowe paczki były na pół zbutwiałe i mokre.

— Rozkazuję ci zejść natychmiast! — krzyknął Cypek.

Ale ja roześmiałem się tylko szyderczo. Zacząłem robić bomby z mokrego papieru i ciskać w Defonsiaków, celując szczególnie w Cypka.

Oberwał solidnie parę razy.

— Przestań, ty łotrze! — krzyczał do mnie rozjuszony, na próżno zastaniając się przed bombardowaniem. — Zobaczysz, ja ci pokażę! Widziałaś, co on wyrabia? — obrócił się do Adeli. — Urządził sobie zabawę — sapał. — Jego to bawi!

Ale ja nie przestawałem. Amunicji było pod dostatkiem i miałem dogodną pozycję strategiczną, więc używałem sobie.

Adela przyglądała mi się z niesmakiem.

— Tak, miałaś rację — powiedziała do Cypka — zrobiłam grubą omyłkę... To jeszcze zupełny szczeniak.

— Niech ja go dostanę w swoje ręce... — dyszał Cypek. — Co tak stoicie?! — krzyknął do Defonsiaków. — Ściągnąć łobuza.

— *Niby jak? Nie ma dojścia, szefie — jęknął Przyboczny Melek.*

— *Brać go szturmem! Jak was uczyłem?!*

— *Nie mamy drabin.*

— *Zrobić żywą drabinę! — krzyknął Cypek. — Jazda! — rąbnął Melka w plecy.*

— *Za mną! — krzyknął rozpaczliwie Melek, po czym wskoczył na grzbiet Krogulcowi. — Podsadźcie mnie! Wyżej! Tak!*

Omam nie sięgnął mojej nogi, ale ja w ostatniej chwili trafiłem go celnie bombą. Melek złapał się za głowę, stracił równowagę i cała żywa drabina runęła na podłogę. Ale stosy papierzysk zamortyzowały upadek, więc już na nowo gramolili się popędzani okrzykami Cypka.

Zrozumiałem, że biorą się do szturm na serio i że dłużej nie wytrzymam w tym szanccu. Co robić w takiej sytuacji? Rozejrzałem się niespokojnie. Moją uwagę przykuły dwie lampy zawieszane u sufitu na łańcuchu. Jedna była blisko mnie. Postanowiłem zabawić się w Tarzana, akrobatę i komandosa w jednej osobie. Spróbowałem, czy ów łańcuch od lampy trzyma się mocno, a potem rozhuśtałem się na nim jak wahadło, odbiłem się mocno od ściany i przeleciałem na drugą stronę jak Tarzan na lianie, a po drodze „zawadziłem” nogą o Melka i ponownie strąciłem go na podłogę. Wylądowałem na stercie paczek w przeciwległym rogu pokoju. Tu, nie zwlekając, uczepiłem się drugiej lampy i po ponownym odbiciu odbyłem powietrzną podróż z powrotem, tym razem kosząc po kolei wszystkich Defonsiaków, z wyjątkiem Grubego Cypka, który przezornie położył się na podłodze i stamtąd

wydawał bezładnie rozkazy:

— Powstać! Wy, tchórze, jak wam nie wstyd! Nie możecie pognać jednego głupiego fafla... Do ataku, niedojdź! Za nogę go złapać, za nogę i ściągnąć! Przynieście bosaki strażackie i tyczki z ogrodu!

— Stać, nie ruszać się! — wykrzyknąłem ze szczytu mojej papierowej reduty. — Jeden krok, a zwałę na was wszystkie paczki!

— Do ataku, zuchy moje! Brać go! — zagrzewał do boju Cypało i dla przykładu bohatercko poderwał się pierwszy.

— Będę rzucił! — zagroziłem i na próbę strąciłem jedną paczkę z groźnym napisem „Polityka”. Potoczyła się ze złowróżbnym szelestem i jednego z przybocznych Cypały, niejakiego Pikulę młodszego, uderzyła tak mocno w biodro, że aż padł na kolana, tuż pod nosem Adeli.

Adela odskoczyła i przestraszona przytuliła się do Obrzydliwego Cypały. Zrobiło to na mnie nader przykre wrażenie i jeszcze bardziej rozzłościło. Nie panując dłużej nad sobą, począłem jak szalony spychać jedną paczkę na drugą... Leciały kolorowe „Przekroje”, potężna „Kultura”, potwornie ciężkie „Problemy”, gruba „Przyjaciółka”, nie licząc zwykłych gazet, aż w okamgnieniu utworzyła się potworna lawina makulatury, która szumiąc i szeleszcząc przeraźliwie spadła na Defonsiaków. Z okrzykami paniki rzucili się do drzwi, ale mało który uszedł bez szwanku. Większość została na placu boju. Przywaleni paczkami, nadaremnie próbowali się wygrzebać, za każdym śmielszym ruchem leciały na nich nowe zwalę makulatury. Na wielu paczkach popękały sznurki. Pisma, gazety, zapisane zeszyty, różne papierowe

ścinki, okrawki i inne śmieci rozsypały się po całym składzie, tworząc dość jednolitą pulsującą warstwę, coś w rodzaju gigantycznego kożucha albo jakiejś suchej piany, z której raz po raz, tu i tam pokazywały się głowy półprzytomnych Defonsiaków i znikaly z powrotem pod powierzchnią.

W lot pojąłem, że nadeszła odpowiednia chwila, żeby prysnąć.

Zsunąłem się więc na dół, dałem susa do drzwi i przez sień przedostałem się na schody do piwnicy. Obejrzałem się. Chyba nikt mnie nie zauważył. Teraz szybko do Madzi! Zbiegłem po schodach i zastukałem w umówiony sposób — trzy razy po trzy uderzenia — do drzwi pieczarkarni.

— Kto? — odezwał się strażnik.

— Kroogulec — zająknąłem się z wrażenia, ale na szczęście strażnik nie zauważył w tym zająknięciu nic nienaturalnego, bo prawdziwy Krogulec też się jękał.

— Kto? — powtórzył strażnik, jakby z niedowierzaniem.

— Krogulec.

— Ty?! — wykrzyknął wyraźnie zaskoczony. — Wiesz, że szef zakazał ci tu przychodzić, bo zbratałeś się z więźniem.

Zaniemówiłem na moment. To było dla mnie zupełne zaskoczenia.

Krogulec? Ten okrutny Krogulec, który dwa razy schwytał Matyldę — rozkleił się?! Polubił w końcu swą ofiarę! Niesamowite! Postanowiłem bliżej wybadać sytuację.

— Chyba przesadzasz, Misiu — powiedziałem.

— *Nie jestem Misiem — warknął strażnik przez drzwi. — Jestem*

Robertem. Nie poznajesz?

— *Nie dosłyszałem. Tu są bardzo grube drzwi... Może byś otworzył i powiedział, o co mnie właściwie oskarżają.*

— *Niestety, Krogulec, upadłeś. Okazało się, że nie jesteś odporny na dziewczyny i dałeś się usidlić tej Opat. Wasze rozmowy i śmiechy słychać było aż na górze. To bardzo rozzłościło szefa. Wszyscy się bardzo dziwili, Krogulec, że ty, przyboczny szefa, masz taki słaby charakter.*

— *Ty masz mocny?*

— *Nie cierpię dziewczyn — oświadczył z głębokim przekonaniem Robert. — To lizuski i skarżypyty! Przez nie zostałem po lekcjach i musiałem się uczyć deklamowania jakiegoś wiersza o naginaniu gałęzi... Żeby choć naszego patrona, Gałczyńskiego, ale to nie był Gałczyński. To był jakiś Eljaszek. Zostałem za karę, bo na lekcji czytałem nie swoje wypracowanie i one mnie wydały przed panią, wydały mnie głupim chichotem i spojrzeniami — wyznał ponuro.*

— *Masz rację, one bywają takie... — przytaknąłem, żeby go udobruchać.*

— *Tak mówisz, a jednak polubiłeś tę Opat.*

— *To dlatego, że przewiozła mnie kiedyś karawanem pogrzebowym.*

Fajnie było.

— *To nie powinno wpłynąć na twoje służbowe obowiązki — zauważył chłodno Robert.*

— *Jasne — zgodziłem się pokornie. — Dlatego zostałem słusznie ukarany przez szefa. Zdegradował mnie!*

— *Zdegradował? Nie wiedziałem.*

— *Tak, do roli stewarda.*

— *Stewarda? Co to jest?*

— *Coś w rodzaju kelnera służbowego, bracie... Właśnie przyniosłem ci posiłek...*

— *Nareszcie — odetchnął strażnik. — Myślałem, że szef już zapomniał o mnie. Co przyniosłeś? Miała być funda ekstra.*

— *Zaraz zobaczysz, otwórz tylko.*

Strażnik otworzył skwapliwie, a wtedy ja wtargnąłem gwałtownie i nim się zorientował, kim jestem — zarzuciłem mu fartuch na głowę i pchnąłem go na pryzmę wilgotnej ziemi.

— *Uciekaj!* — *krzyknąłem do oszołomionej Matyldy.*

— *To ty, Zyzio?* — *zapytała niepewnym głosem, w którym tliła się radosna nadzieja.*

— *To ja, Tomek — zasapałem.*

— *Zyzio cię przysłał?*

— *Do diabła z Zyziem!* — *zdenerwowałem się. — Uciekaj, kiedy mówię, bo inaczej zostaniesz tu ze szczurami na noc.*

Pociągnąłem ją gwałtownie do drzwi. Najwyższy był czas pryskać, bo strażnik wyplątał się już z fartucha i gramolił się rozpaczliwie, cały oblepiony czarną ziemią, podobny do kudłatej małpy. Wybiegliśmy na schody.

— *Jak wyjdziemy? — wykrztusiła Matylda. — Drzwi wyjściowe pawilonu są zamknięte na klucz i pilnowane...*

— *Przez dach — zadyszałem. — Po tych schodach z sieni.*

Zatrzymałem Matyldę na ostatnich stopniach i ostrożnie uchylilem klapę. Nikogo nie było w sieni. Pomogłem wyjść Matyldzie.

Skradając się na palcach, przeszliśmy pomyślnie sień. W pawilonie panowała dziwna cisza. Czyżby Defonsiacy już wyszli? Może myślą, że uciekłem do ogrodu i szukają mnie na zewnątrz pawilonu?

Weszliśmy na pierwszy stopień schodów wiodących na poddasze i wtedy dopiero usłyszałem czyjeś sapiące oddechy. Chciałem cofnąć się, ale było za późno. Z mroku wynurzyły się nagle ciemne postacie, a z góry schodził pomału, z okrutnym uśmiechem na szerokiej twarzy, Obrzydliwy Cypałło.

— *Cześć, Okist!*

— *Cześć — wymamrotałem ze ściśniętym gardłem.*

— *Wiedziałem, że będziesz próbował ulotnić się tędy — rzekł Cypałło.*

— *Jesteś bardzo domyślny — powiedziałem.*

— *Nie spodziewałeś się?*

— *Nie myślałem, że tak szybko pozbieracie się i że potrafisz na nowo zorganizować tych patalchów.*

— *Reorganizacja to moja specjalność. No cóż, moje na wierzchu — uśmiechnął się znowu. — Wygrałeś bitwę, ale wojnę przegrałeś... Czas dokończyć zabawę.*

— *Chcesz dalej się w to bawić?*

— *Chłopcy to lubią — powiedział. — I muszą mieć satysfakcję, że wygrali. Poturbowałeś ich trochę...*

Spojrzałem na Defonsiaków. Istotnie, wyglądali dość żałośnie, sińce i zadrapania, pobrudzone szaty, poobrywane guziki i pełno śmieci w rozczochranych włosach.

— *Możemy pertraktować — powiedziałem.*

— *Wywieszasz białą chorągiew?*

— *Możemy*

pertraktować

bez

wywieszania

chorągwi

—

powiedziałem.

Cypek spojrzał pytająco na Adelę. Adela wzruszyła gniewnie ramionami.

— *Siądźmy — zamruczał Cypek.*

Usiedliśmy. On na wyższym stopniu, ja — niżej.

— *Chcesz daktyla? — wyciągnął lepką od słodyczy torbę.*

— *Dziękuję. Jakie są twoje warunki?*

— *Podpiszesz akt kapitulacji — Cypek spojrzał na zegarek. — Daję ci na to pięć minut, bo śpieszę się do kina na „Tylko dla orłów”. Mam nadzieję, że załatwimy to bez dyskusji. Na dyskusję już nie mam czasu.*

Warunki będą ulgowe. Oświadczysz tylko, że żałujesz tego, co zrobiłeś, zrywasz z Zygmuntem Gnackim i przechodzisz na słuszną stronę, to znaczy na naszą stronę...

— Nie gódź się na nic! — powiedziała Matylda. — Zygmunt zaraz tu przyjdzie i rozpocznie układy. A jeśli będą za bardzo się stawiać, wyzwie Cypka na pojedynek i zwycięży go!

— Raczej wątpię — skrzywiłem się.

— Wątpisz w Zyzia? — wykrzyknęła.

— On tu już był — wyjaśnił z ponurą miną Krogulec.

— Był?! Jak to?

— Był i wybył.

— Kłamiesz! Po co by tu przychodził?!

— Po swój aparat — oświadczył z okrutnym uśmiechem Cypało.

— Aparat?!

— Fotograficzny.

— Mieliście przecież per... pertraktować — wykrztusiła Matylda.

— Pertraktacje to był tylko jego podstęp. Po prostu porwał aparat i uciekł!

Matylda oblała się rumieńcem.

— Nie wierzę ci! Umyślnie chcesz go zohydzić? On nie mógłby tak postąpić? Nie mógłby... Na pewno coś ważnego go zatrzymało i dlatego wydelegował Okista. No, powiedz, Okist — dodała ze łzami w oczach zwracając się do mnie — dlaczego nic nie mówisz!

— To nie jest właściwy czas ani miejsce na wyjaśnienia —

powiedziałem. — Potem porozmawiamy.

— Tak, masz rację — Matylda opanowała się. Podniosła dumnie głowę.

Melek szturchnął mnie w żebro i wręczył mi kartkę papieru zapisaną kulfoniastym pismem.

— To jest akt kapitulacji — powiedział — podpisz zaraz, bo szef śpieszy się do kina, a nam jeść się chce.

— Mogę podpisać tylko to, że Zygmunt Gnacki jest oszustem i że z nim zrywam — powiedziałem. — Nic więcej.

— To za mało. Musisz oświadczyć, że przechodzisz na naszą stronę.

— Nie. To byłaby zdrada!

— Przecież... Skoro zrywasz z Gnatem...

— Gnat to jeszcze nie cała szkoła, nie mogę porzucić kolegów i... i...

— I koleżanki — podchwycił Cypek. — Mów, bracie, bez owijania w bawełnę. Po prostu chodzi o Matyldę.

— Ją też możemy przyjąć — wtrącił Krogulec i uśmiechnął się beczelnie do Matyldy Opat. — Możemy ją nawet przyjąć do redakcji.

— Tak, możemy ją przyjąć — zgodził się łaskawie Cypało.

— Nie! — rozległ się nagle z góry dźwięczny sopran.

Rozdział XIX

OCEAN SMUTKU, CZYLI TAKIE JEST ŻYCIE [\[top\]](#)

Wszyscy drgnęli i zadarli głowy do góry. Dwa stopnie powyżej

Cypka, z nogą założoną niedbale na nogę, siedziała Adela.

— Nie godzę się na przyjęcie ich do nas — powiedziała akcentując

każdą głoskę. — Nie chcę tu widzieć Okista! Nie mogę na niego patrzeć!

— Adelo! — jęknąłem.

— Niech się wynoszą stąd natychmiast! On i ta Opat! Wypuść ich i nie sprowadzaj mi takich typów.

— Zaraz... — warknął Cypek. — Chyba należy mi się coś od Okista?!

Musi zapłacić za swoją bezczelność! Choćby za to, że śmiał cię podrywać w parku szpitalnym.

— To nie jego wina, że się zakochał — Adela wzruszyła ramionami.

— Każdy może zakochać się we mnie. — W jej oczach zabłyszczały wesole ogniki. — Czy uważasz to za takie dziwne?

— Nie... To znaczy... Nie o to chodzi, że się zakochał, ale że śmiał cię podrywać — zasapał Cypek. — Nie będę karał za miłość, ale za bezczelność.

Nieprzyjemny dreszczyk przeszedł mi po skórze. Dookoła sami

Defonsiacy. Patrzą na mnie zimno. Dyszą zemstą. Czekają tylko na

znak... I Matyllda. Co za wstyd! Słyszy to wszystko o mnie i o Adeli. Co

przeżywa, co sobie myśli? Spojrzałem na nią kątem oka, ale ona

śluchała spokojnie, z umiarkowaną ciekawością — tak można by

określić — z umiarkowaną ciekawością, ale bez emocji. No tak, jeszcze

jeden dowód, że byłem jej obojętny, a w końcu, czego się mogłem

spodziewać? Interesował ją zawsze tylko Zygmunt Gnacki i tak już

chyba pozostanie. Zawsze tylko ten okropny Gnat, nigdy ja... A jednak,

mimo wszystko, odczułem pewną ulgę i nieco uspokojony przeniosłem z

powrotem wzrok na Adelę, która beztróska poprawiała sobie włosy.

— *Nie bądź zazdrosny — odezwała się do Cypka. — Ludzie zazdrośni są śmieszni.*

— *Chcesz, żebym to zniósł w milczeniu?! — wykrztusił Cypek. — To niemożliwe. On mnie znieważył. Jestem oburzony!*

— *Niepotrzebnie. On dla mnie nic nie znaczy — oświadczyła swobodnie Adela.*

Ostupiałem. To było mocniejsze od uderzenia w twarz! Po prostu jakbym dostał raketę kosmiczną w głupi łeb! Gwiazdy i czarna otchłań... Chciałem krzyknąć, zaprotestować, ale ani jedno słowo nie przeszło mi przez ściśnięte gardło.

Zapanowała chwila pełnej napięcia ciszy, bo Defonsiacy — zaskoczeni — też milczeli. I nawet Cypek. Nawet on stracił język w gębie i z szeroko rozdziawionymi ustami patrzył na Adelę.

— *Nie... Nie wierzę ci — wyjąkał wreszcie. — Tomek dla ciebie... nic?*

Przysięgnij!

— *Naprawdę nic!*

— *Adelo... Jak to?! — zerwałem się wzburzony. — Przecież sama mówiłaś...*

— *Zamknij się! — Adela przerwała mi ostro i przejechała pieszczotliwie grzebieniem po obrzydliwych kudłach tego Obrzydliwca Cypałły. — Misiu, ty masz całą głowę w śmieciach... Nie ruszaj się, muszę zrobić z ciebie człowieka.*

Cypek poddał się z widocznym zadowoleniem zabiegowi.

— *Po co ty zadajesz się jeszcze z tymi smarkaczami? — ciągnęła*

Adela czesząc go energicznie. — To już niemądre w twoim wieku. Spójrz, jak ty wyglądasz... Wiem, że przyzwyczałeś się do rządzenia i lubisz sobie używać na smarkaczach, ale chyba już czas z tym skończyć... To cię kompromituje...

— Dobrze, dobrze, pomyślę o tym — zasapał zniecierpliwiony Cypek i szybko zmienił temat: — W kinie „Szpak” grają „Tylko dla orłów” — spojrzał na zegarek. — Gdybyśmy się pospieszyli, to moglibyśmy zdążyć na ostatni seans... Co ty na to?

— Szefie, ale przecież ci jeńcy... — wtrącił zaniepokojony Goryl. — Co zrobimy z Okistem? I z tą Opat?

— To prawda, muszę jeszcze załatwić z Okistem — powiedział Cypek.

— Co tu jeszcze jest do załatwienia — Adela wzruszyła ramionami. —

Po prostu ogłosisz koniec zabawy.

— Koniec zabawy?

— Dosyć tego dobrego, skończyło się, kropka!

— Ale ten Okist...

— Nudzisz mnie! — zdenerwowała się Adela. — Niech mu Goryl albo Krogulec da jabłko na pożegnanie i cześć!

— Jabłko? — jęknął zawiedziony Goryl.

— Jabłko i przytyka w ucho! To wszystko. Nie chcę, żeby potem

strugał bohatera i myślał, że cokolwiek tu było naprawdę — spojrzała na mnie drwiąco spod zmrużonych rzęs. — Bo jemu chyba za dużo się zdawało.

— Chyba tak — mruknął Cypek z oczyma wlepionymi w ziemię. —

Gotów sobie pomyśleć Bóg wie co. Chyba za dużo ci się zdawało, Okist — rzekł do mnie nie podnosząc głowy. W jego głosie dźwięczał dziwny smutek.

— Bo widzisz, Okist, my bawiliśmy się tylko — Adela uśmiechnęła się kącikiem ust. Coś okrutnego było w tym uśmiechu. Nawet Cypallo musiał to odczuć i znów spuścił oczy.

— Tak, bawiliśmy się tylko — mruknął i przygryzł wargi. — Wynoś się — wybuchnął nagle i zepchnął mnie brutalnie ze schodów.

Wylądowałem na plecach, w środku sieni. — I ty też — wskazał na Matyldę, która, wciąż jeszcze zapłakana, ocierała oczy. — Mamusia na was czeka... Dzieci już chodzą spać o tej porze.

Defonsiacy patrzyli na nas ponuro, a potem zaczęli szemrać:

— Jak to? Szef ich puszcza? Tak zwyczajnie? A nasz okup? Nie spełnili żadnych warunków! Nawet nie podpisali niczego! — gwar stawał się coraz większy i już wszczynął się niebezpieczny ruch w sieni.

— Głupcy jesteście! — krzyknął Cypek z wyżyny schodów. — Mam większą satysfakcję... Chyba jesteście ślepi, że tego nie widzicie... Słowo wam daję, nie mógłbym mieć większej satysfakcji od tego, czego doznałem przed chwilą... Okist to dobrze rozumie... Spójrzcie na niego. Prawda, że rozumiesz to, Okist, i tym bardziej cierpisz? Więc powiem ci na osłodę. Nie jesteś takim szczeniakiem, jak myśli Adela...

Ta dziwna przemowa uspokoiła nieco Defonsiaków, choć chyba nie wszystko zrozumieli. Mimo to podejrzewałem, że poturbują nas zdrowo, gdy będziemy wychodzić. Za bardzo bolały ich jeszcze wszystkie guzy i

zadrapania, na twarzy i na honorze. Ale na dobrą sprawę, mało mnie to już obchodziło. Po tym, co tu doznałem od Adeli, byłem jakby drewniany i znieczulony.

Jednak Cypek to bystry chłopak, choć na to nie wygląda. Od razu ocenił sytuację i powiedział temu małemu twardoszowi o wystającej szczęce, swojemu przybocznemu, Ziemkowi Ziemińskiemu:

— Odprowadzisz ich aż do bramy. I słyszałeś, co było mówione. Na dzisiaj koniec zabawy. Odpowiadasz za nich.

— Tak jest, szefie — pisnął ochoczo Ziemek nie przestając żuć gumy.

— Jazda! — popędził nas.

Ruszyłem jak manekin. Jak to dobrze — myślałem — że Adela postawiła sprawę od razu jasno i zdecydowanie. Męczyłbym się, rzucał, szarpał, robiłbym sobie jakieś nadzieje, a tak: szast-prast i po operacji. Jak to dobrze, że cios był taki celny i silny, gdy cios jest zbyt silny, od razu traci się czucie i człowiek jest jak sparaliżowany. Właściwie już nic go nie boli. Zamiast bólu, ogarnia go tylko jakiś dziwny smutek, wielki, spokojny i niezgłębiony jak ocean.

Madzia trzymała się znacznie lepiej. I mówią, że dziewczyny są słabsze!... Szła z zaciśniętymi ustami, wyprostowana, jakby zapatrzona w dal. Wspaniałe, twarzowe okulary kryły jej wzrok. Szła, jakby nie widząc wzburzonych decyzją szefa Defonsiaków, triumfującego Cypka i uśmiechów Adeli. Tylko gdy jakiś Defonsiak znalazł się na jej drodze, marszczyła brwi i zwalniała kroku, a wtedy nasz konwojent, Ziemek Ziemiński, przystępował do akcji.

*Okazało się, że był bardzo skuteczny i szybki. W razie jakiegokolwiek
przeszkody — uruchamiał od razu pięści małe, ale kościste.*

Bombardował

nimi

jak

automat.

Dzięki

niemu

bezpiecznie

wydostaliśmy się na aleję. Nawet spodobał mi się... Dobry chłopak...

Widząc nasze ponure miny, starał się nas rozerwać rozmową. Ciekawie

mówił. Z początku puszczałem wszystko mimo uszu, ale potem

spróbowałem go słuchać, bo zaczął rozprawiać o Adeli.

— Cypek myśli, że to on ma satysfakcję, ale wszyscy wiedzą, że

największą satysfakcję ma Adela — mówił z miną rzeczoznawcy. —

Przecież wszyscy wiedzą, że ona namotała wszystko.

— Namotała? — zamarłem na moment.

— Cypek przestał się jej słuchać... Adela nie mogła znieść takiej

niesubordynacji...

— Żartujesz

chyba!

—

przerwałem.

—

To

Cypek

był

podporządkowany Adeli?!

— *Może przesadzam, ale tak było przeważnie... Cypek był wodzem na pokaz i oficjalnie, ale naprawdę to rządziła Adela — ciągnął Ziemek.*

— *W końcu Cypek zaczął się buntować i rozglądać za innymi dziewczynami... W środę była u nas straszna draka z tego powodu. I*

Adela postanowiła ukarać Cypka. Chciała tak zrobić, żeby był zazdrosny. I dlatego spotkała się z tobą w parku szpitalnym...

Nowa fala krwi uderzyła we mnie.

— *Nie... nie wierzę ci... Przecież bała się, żeby nikt nas nie zauważył... żeby nie zobaczył, że jest ze mną... — wykrztusiłem.*

— *Tak jest. Nie chciała, żeby ktoś zobaczył ją z tobą... Rozumiesz, chodzenie z tobą jest... jest... — urwał zakłopotany.*

— *Chciałeś powiedzieć: kompromitujące — rzekłem z goryczą.*

— *No wiesz, masz mały wzrost i nie liczysz się jeszcze... To znaczy chciałem powiedzieć, że nie masz na razie żadnej marki u dziewczyn.*

Byłeś dla Adeli tylko środkiem do celu...

— *A cel?*

— *Przez ciebie chciała poznać Gnata. Gdyby zaprzyjaźniła się z Gnatem, to byłoby ciosem dla Cypka...*

— *Co za intryga! — wykrztusiłem.*

— *Tak, intryga — pisnął podniecony smarkacz. — Gdyby udało się*

jej pójść do parku szpitalnego z Gnatem, to by była wielka scena, wielkie przedstawienie na pokaz, i już wcale by się z tym nie kryła, przeciwnie...

— Nie rozumiem, przecież ona chciała, żebym zerwał z Gnatem.

— Bo chciała rozbić jego paczkę. Żeby tylko do niej należał. Ona lubi mieć chłopaków na wyłączną własność!

— Okropne!

— E, zwyczajna historia... Zawsze idzie o to samo. Kto ma rządzić — powiedział Ziemek i wypluł gumę.

— A ja myślałem, że ona i Cypek... że oni naprawdę się... lubili...

— Miłość! — Ziemek zaśmiał się pogardliwie. — To jest tylko w filmach, i to raczej starych — dodał z miną znawcy.

— Jesteś równie mały, jak zepsuty — powiedziałem. — Miłość istnieje naprawdę. Popatrz na nią — wskazałem na Matyldę, które szła kilka kroków za nami, niby blisko, a osobno, wciąż przecierając okulary. Ta idiotka wszystko zrobiła z miłości!

Ziemek spojrzał na Matyldę z niedowierzaniem, jak na egzotyczna okaz.

— E, tam! — zaśmiał się ponownie, machnął ręką i zniknął w ciemności.

Zostaliśmy sami na ulicy.

— Nareszcie sobie poszedł — odetchnęła Matylda i zmniejszyła dystans. — Teraz możesz powiedzieć mi całą prawdę.

Próbowała nawiązać rozmowę, ale ja nie słuchałem. Od rewelacji

Ziemka kręciło mi się w głowie. Z pewnością mówił prawdę.

Przypomniałem sobie zachowanie Adeli... Wszystko zgadzało się. Więc byłem dla Adeli tylko „środkiem do celu”, jednym z wielu, i nawet nie najważniejszym; najważniejszym był znowu Zygmunt Gnacki, a ja tylko pomocniczą „wstydliwą znajomością”! Co za hańba! O, niegodziwa Adelo!

I od razu opadł ze mnie ów kostium chłodnego „obserwatora z wieży”, w który wlałem, żeby ten szczeniak Ziemek nie naigrawał się ze mnie, i poczułem się na nowo skopanym kundlem, wydanym na pastwę okrutnego miasta... Uciec! Schować się w ciemności! Lecz ciemność nie była pusta... Miała oczy. Czaiły się w niej wszędzie złośliwe i szydercze. Zdawało mi się, że cały świat wie już o mojej klęsce i nabija się do rozpuku ze mnie. Tysiące kpiących oczu zagradza mi drogę... Uragają mi wylupiaste ślepia latarń w sinych powiekach z mgły. Osaczają mnie oczka kałuż. I wysokie okna śmieją się ze mnie... A ja idę w te światła, coraz bardziej jaskrawe, rażące, bezczelne, błyskające barwami tęczy i szkliste jak lzy, których mam pełno w oczach. Idę oślepiiony, zamroczony, sam przeciw wszystkim, samotny, choć Matylda krzyczy obok, ale czy to ma jakieś znaczenie? Może trzy dni temu, owszem, ale dziś już nie. Idziemy obok siebie, ale każde z nas ma własne zmartwienia, i ona zupełnie nie rozumie, co się ze mną stało, zresztą na szczęście! Bo gdyby rozumiała, byłoby jeszcze gorzej, a tak mogę grać rolę... To ostatnia pociecha, że gdy nie można już żyć naprawdę, to zawsze można grać rolę.

*Ale swoją drogą to straszne, to niesprawiedliwe, żeby w tak
młodym wieku, na progu świadomej egzystencji tak dostać od życia!
Taki cios to gorzej niż pałą przez łeb! Zupełnie fatalna historia. Coś się
skończyło w moim życiu, wiem to na pewno. Czy odzyskam
kiedykolwiek moją dawną równowagę, mój humor? Bardzo wątpliwe.
Czy będzie mi się chciało rzeć, ganiać, skakać, stroić żarty, wygłupiać w
klasie, drzeć koty z Defonsiarnią i klócić się z Gnatem? Tropić tajemnicę
Bambosza i Pelmana, robić draki szpitalne, kawały, hece i wszystko, co
dotąd robiłem i czym żyłem? Z pewnością nie. To już koniec. Rozdział
zamknięty, coś przewaliło się i odeszło w mrok razem z dzisiejszym
dniem, razem z Grubym Cypkiem i z Ziemkiem... Czy z Adelą też? Krew
napłynęła mi do twarzy, na usta cisnęły się gwałtowne słowa, ale
zdławilem je i wydałem tylko nieartykułowany pomruk niedźwiedzi.*

— Co ci jest? — Matylda złapała mnie za rękę.

Milczałem.

*— Dlaczego nic nie mówisz i zachowujesz się tak dziwnie? —
zaniepokoiła się. — Dokąd właściwie idziemy?... Gdzie zostało
wyznaczone spotkanie?*

Spojrzałem na nią półprzytomnie.

— Jakie spotkanie?

— Z Zygmuntem Gnackim. Przecież musimy zdać sprawę...

— Nie będzie spotkania — powiedziałem i przyśpieszyłem kroku.

*— Zaczekaj — zatrzymała mnie i spojrzała mi w oczy. — Co ty
ukrywasz?*

Nie miałem ochoty nic wyjaśniać.

— Powiedz prawdę — nalegała. — Cały czas myślałam, co tu nie jest w porządku... Bo przecież coś nie jest w porządku, prawda? Ale teraz już chyba możesz powiedzieć całą prawdę. Co z Zygmuntem? Nie udało mu się? Jakaś wpadka?

— Udało mu się świetnie — powiedziałem.

— Więc dlaczego nie przyszedł? Miał wypadek?

— Nie.

— Ale on cię tu przysłał? Powiedz, Defonsiacy kłamali!

Zrobiło mi się smutno. Och, to straszne niszczyć czyjąś piękną

wiarę. „Głupi Zyziu, czy znajdziesz jeszcze kiedyś w życiu kogoś, kto

będzie ci tak wierzył bezgranicznie?” — pomyślałem i przez chwilę

zastanawiałem się, czy nie zafundować jej złudzenia, ale zaraz potem

pomyślałem: zasłużyła na prawdę, i odezwałem się głośno:

— Chcesz, żebym ci wszystko powiedział?

— Tak.

— Zastanów się. Można żyć w złudzeniu — mówiłem nie tyle do niej,

ile do siebie, ironicznym tonem. — Niektórzy nawet tak wolą. Gdybyś

wszystkich uciekających od prawdy mogła wpędzić na bieżnię, to

zapelniliby stadiony całego świata... To się nawet zdarzało wybitnym

ludziom, nawet wodzom...

— Ale to się chyba źle kończy — szepnęła Matylda.

— Tak, to się bardzo źle kończy — powiedziałem.

— Więc ja nie chcę uciekać od prawdy — oświadczyła mężnie. — Ale

po co to wszystko mówisz? — jej głos zadrżał, a oczy nagle napęłniły się niepokojem. — Czy... Defonsiacy...

— Defonsiacy mówili prawdę — odpowiedziałem krótko.

— I... i Zygmunt chciał mnie zostawić?!

— Tak.

— I ty sam... na własną rękę... O, Tomku — oparła głowę o moje ramię i poczułem, że wstrząsa nią łkanie.

— Weź się w garść — powiedziałem. — Nie ty jedna...

— Zupełnie nic dla niego nie znaczą... Zupełnie nic...

— Nie histeryzuj. Po prostu Zygmunt nie sprawdził się.

Zakłopotany sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem jabłko.

— Weź! To od Krogulca. On cię lubi.

Potrząsnęła głową.

— Szkoda — powiedziałem — kwas jabłkowy dobrze działa na bolącą psychikę.

— Nie... nie mogę. Udlawiłabym się.

Wytarłem jabłko o spodnie i flegmatycznie zabrałem się do jedzenia.

— Wiem, że jestem strasznie głupia, bo nabiłam sobie głowę

Gnatem, ale czy na to można coś poradzić? Powiedz sam.

— Nie — odparłem ponuro. — Na to nic nie można poradzić.

— I na to też nie — otarła palcem łzę w kącie oka.

Popatrzyłem na nią i stwierdziłem, że wygląda okropnie. Mokra okulary zsunęły się na koniec nosa. Włosy strąkami lepiły się do

policzków. No, no, ale ją wzięło! — pomyślałem. Bezradnie rozglądała się po kałużach, jakby tam chciała znaleźć pomoc, a potem niezdarnie zaczęła szukać po kieszeniach džinsów chusteczki.

Nic nie zostało z dawnej Matyldy. Przypomniałem sobie ten dzień, kiedy przybyła do naszej szkoły, taka inna, kolorowa, pewna siebie, taka niezależna i beztroska... No i dostała po kulach, nawet ona, przejechało się po niej życie...

Widząc, że to szukanie idzie jej nader niesporo, wręczyłem jej moją „awaryjną” chusteczkę, którą mama co dzień wsadza mi do kieszonki mojej koszuli.

Wytarła szkła, a potem oczy, ale nie na wiele się to zdało, bo za chwilę zwilgotniały jej znowu od łez.

— Przepraszam cię, ale same mi lecą — usiłowała się uśmiechnąć.

Pomyślałem, że tu nie pomoże chusteczka, raczej psychologia.

— Nie szkodzi — powiedziałem. — Popłacz sobie, to ci ulży. Płacz wielu ludziom pomaga. Nawet Adam Mickiewicz płakał przez całe życie.

— Naprawdę? — podniosła na mnie zrozpaczone oczy.

— Słowo.

— Nawet gdy był zupełnie dorosły?

— Wtedy płakał wyjątkowo rzęsiście. Przeczytaj sobie jego wiersz.

„Polały się łzy moje czyste, rześiste”... Najgorzej, gdy się nie umie płakać. Ja też chciałbym na przykład, a nie umiem — westchnąłem nieszczęrze.

— Ty?

Skinąłem głową z bardzo posepną miną.

— Więc to prawda, że ty z Adela...

Milczałem z godnością.

— Zyzio powiedział... — oczy jej się znów zaszkliły.

— Do jasnej Defonsiarni — wybuchłem — przestań o nim myśleć!

Nieważne jest, co on mówi, ważne jest, żeby twoja stara nie zrobiła z ciebie marmolady. Była bardzo spieniona, gdy dzwoniła do mnie...

— Spieniona? Mama?

— To znaczy: rozzłoszczona i złośliwa. Podejrzewała, że jesteś u mnie, tylko nie pozwalałam ci podejść do telefonu. Może byś najpierw zadzwoniła i wybadala jakoś stopień spienienia i ogólną sytuację... w chacie.

— Masz rację — Matylda osuszyła sprawnie ostatnią łzę — trzeba zadzwonić.

Z zadowoleniem stwierdziłem, że moje zabiegi psychologiczne przynoszą pożądany efekt. Zwłaszcza to zręczne skierowanie uwagi na tory praktyczne. Matylda była osobą praktyczną. Postawiłem na praktyczność i wygrałem.

Podeszliśmy do telefonu w budce na rogu. Matylda z zimną krwią podniosła słuchawkę. Nawet mnie to nieco zaskoczyło.

— Mamo... to ja! — zameldowała bez tremy. — Jestem, mamoo... Nie, nic się nie stało. Byłam cały czas u Tomka Okista...

A to dopiero! Zdębiałem zupełnie. No, to jestem zrobiony. Nie spodziewałem się tak znakomitego efektu mych starań. Nie uległo

wątpliwości, że główka Matyldy zaczyna pracować normalnie, skoro próbuje mnie wrabiać...

— Mama chce z tobą mówić — Matylda z niewinną miną podała mi słuchawkę.

— Jesteś wstrętny kłamczuch i oszust — usłyszałem głos pani

Opatowej. — Więc jednak Muszka była u ciebie, a mówiłeś, że nie. Co tyle czasu robiła?!

— Bzykała na szybie, proszę pani, a potem spała w szparze.

— Co? Jakieś głupie żarty! Niech natychmiast wraca do domu.

— Zaraz ją odprowadzę, proszę pani.

— Nie życzę sobie. I żebyś nie pokazywał się więcej u nas w domu!

— Niech i tak będzie. Jakoś to zniosę, proszę pani.

Odłożyłem słuchawkę i spojrzałem ciężkim wzrokiem na Matyldę.

— Och, Tomku, nie gniewaj się, jesteś taki dobry, więc pomyślałam...

— Tego już trochę za dużo... — zasapałem. — To bardzo ładnie, że zaczynasz funkcjonować normalnie i że już przyszedłeś do siebie, ale, moja droga, ja też miałem ciężki dzień i tak wystawić mnie...

— Musiałam... Wiesz, jaka jest mama... przecież nie mogłam powiedzieć, że byłam więziona w piwnicy, bo dostałaby ataku... a tak zniosła gładko i skończyło się bezboleśnie...

— Zupełnie bezboleśnie — skrzywiłem się.

— Och, przebac mi — spojrzała na zegarek.

— Przebaczam ci.

— *Lece!* — *Matylda pocałowała mnie szybko w policzek, stuknęła*
mnie zimnym nosem w skroń, pomachała ręką i poleciała jak na
skrzydłach do chaty.

I zostałem już naprawdę sam na pustej ulicy.

EPILOG [\[top\]](#)

Dziś przejrzałem po raz ostatni moje notatki. Poczynilem parę
uzupełnień i znacznie więcej skreśleń. Były zbyt wesołe, a ja od czasu
tych historii szpitalnych przestałem być wesołkiem. To był chyba
ostatni wyglup w moim życiu.

Okazało się zresztą, że nasze głupie przygody szpitalne na coś się
jednak przydały. Takie właśnie nieprzewidziane i dziwne są zawitości
życia. Oberon chciał koniecznie przed końcem roku zaliczyć na poczet
osiągnięć szkolnych to koło PCK, żeby poprawić sobie bilans prac
społecznych w budzie. Poszliśmy mu na rękę. Nie było żadnych
trudności ze zwerbowaniem członków nowej organizacji. Wystarczyło
opublikować w naszej gazecie to, co niedawno przeżyliśmy w tym
„przybytku cierpienia”, jak mówi nasz przyjaciel, doktor Malina.

Oczywiście w gazecie nie wszystko się mogło zmieścić. Mieliliśmy sporo
kłopotu z wyborem materiału, ale w końcu udało nam się zamieścić
część strawnego dla gogów materiału, po skreśleniu najbardziej
drastycznych scen. Tytuł daliśmy specjalnie chwytliwy, może trochę za
długi, ale za to sensacyjny:

W UŚCISKACH WĘŻA ESKULAPA,

czyli

NIEZWYKŁE PRZYGODY SZPITALNE,

czyli

PACJENCI MIMO WOLI

W rezultacie na koniec roku szkolnego Oberon mógł napisać w sprawozdaniu i ogłosić na ostatnim apelu: „To był rok wyjątkowo obfity w inicjatywy społeczne młodzieży...” Dyplomatycznie zapomniał ogłosić, że był to także rok obfity w nasze mniej chwalebne inicjatywy prywatne i jeszcze obfitszy w draki, ale nie mieliśmy o to do niego pretensji.

Oberon z przyzwoitości zaproponował mnie i Zygmunтови Gnackiemu funkcje kierownicze w nowo powstałej organizacji, ale z ulgą przyjął naszą rezygnację. Oberon nie ma do nas zaufania, i słusznie. Do inicjatyw to my jesteśmy dobrzy, ale do tyrania na stanowisku to chyba jeszcze nie. Prezesura do nas nie bardzo pasuje. Zresztą Gnat nie zgodziłby się na mnie, a ja na Gnata. No i prezesem została oczywiście Brunhilda Przypora, a Matylda — sekretarzem. Kolumb mógł odkryć Amerykę, ale podobno nie sprawdził się jako wielkorządca królewski. Bohaterowie często bywają zmęczeni. Prawdopodobnie Oberon brał to pod uwagę. On jest mocny w historii. Zresztą Oberon miał od początku złe przeczucia i tym razem te przeczucia go nie zawiodły, bo w końcu Gruba Cesia zidentyfikowała nas jako sprawców zamieszania w szpitalu i do szkoły wpłynęła oficjalna skarga na nas. Oczywiście zrobiło to trochę zamieszania w budzie. Oberon musiał przerabiać sprawozdanie i wykreślać stamtąd nasze nazwiska. Ale tym razem obeszło się, o dziwo, bez mycia głowy i

mów gabinetowych. Przeciwnie. Oberon odczuł wyraźną ulgę. „Coś mi nie grało, bo ten kamyczek nie pasował mi do mozaiki — powiedział — a teraz nareszcie wszystko mi się zgrabnie ułożyło i jest jasne...”

Tak, dużo rzeczy się w tych ostatnich dniach wyjaśniło. Także sprawy pewnych moich przyjacieli. Nie będę się więcej przyjaźnił z Kwękaczem. Niestety potwierdziło się, że był zdrajcą i szpiegiem na usługach Defonsiaków. Może miał swoje powody, żeby nas nie kochać za bardzo, ale żeby postępować tak podle?! Nie, nic go nie może usprawiedliwić.

Z Zygmuntem Gnackim także koniec... Nie sprawdził się. Ale nawet nie to jest najważniejsze. Po prostu zbyt się różnimy. Dawniej, gdy byliśmy malcami, to nie rzucano się tak w oczy, ale teraz widać aż nadto wyraźnie. Nie mamy wspólnego języka. Więc żegnaj, Gnacie, po siedmiu latach przyjaźni, byłeś dobry do szczeniackich zabaw, a teraz — cześć! Niech każdy z nas pójdzie swoją drogą!

Rzecz w tym, że moja droga rysuje się nader niejasno od czasu, gdy padłem ofiarą niegodziwej Adeli. Nie otrząsnąłem się dotąd z tej klęski. Na próżno sobie tłumaczę: Po prostu mi nie wyszło... Sprawa z Adelą to zwykle nieporozumienie i pomyłka. Rzecz normalna — padłem ofiarą iluzji. Podobne zjawiska zachodzą na pokazach prestidigitatorskich. Skąd mogłem wiedzieć, że Adela należy go groźnego klanu iluzjonistów? Zapewne ma w tej materii wrodzony talent. Ale była to przecież przyjemna iluzja; jeszcze teraz robi mi się słodko na samo wspomnienie... Zresztą sam sobie jestem winien. Mój łeb to był balon

napompowany głupimi marzeniami. Wypuścili mi gaz, to wszystko.

Teraz opadłem na dół. Nie ma sprawy. Po prostu będę chodził po ziemi.

Że mi nie wyszło, to fakt! No cóż, życie byłoby zbyt proste, gdyby

*każdemu zawsze wychodziło, a tak jest znacznie ciekawiej, pisarze mają
temat i mogą powstawać dramaty. Dramat to piękna rzecz...*

Jutro zaczną się wakacje. Po raz pierwszy są mi dokładnie obojętne.

*Nie snuję żadnych planów. Patrzę ospale przez okno. Słońce niemrawo
przebija się przez ciężkie chmury. Jeśli będzie pogoda, Adela przyjdzie
na korty...*

Stanę z boku, przy siatce, i będę patrzył z daleka.

[\[top\]](#)

[1 \(łac.\) z punktu widzenia wieczności \[^\]](#)